WYDANIE SPECJALNE NA WIELKANOC

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 13/571 25 MARCA–1 KWIETNIA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

PiS nie obudził się po wyborach – alarmuje Józef Orzeł

Europejski Zielony Ład Tuska i Morawieckiego

Gdzie się podziali polscy konserwatyści?

Jak się rodził ukraiński nacjonalizm

Bracia Muzułmańscy podbijają Europę

Japońscy samuraje z pielgrzymką w Watykanie

ISSN 2269-8500
Nr indeksu 288829
Nakład: 52 000 egzemplarzy

Esej Pawła Lisickiego

ŚLEDZTWO W SPRAWIE ZMARTWYCHWSTANIA

PISZĄ: ZIEMKIEWICZ • CEJROWSKI • SEMKA • WARZECHA • JUREK • MASŁOŃ • MAŻEWSKI • GOCIEK
SIEDLECKA • GMYZ • BOJAŃCZYK • KARWELIS • POSPIESZALSKI • WIEROMIEJCZYK • GABRYEL

Narodowy Bank Polski informuje:

Dzięki dobrej polityce pieniężnej NBP inflacja szybko się obniża, zgodnie z prognozą NBP.

Roczna dynamika cen konsumpcyjnych w okresie luty 2023 r. – marzec 2024 r.

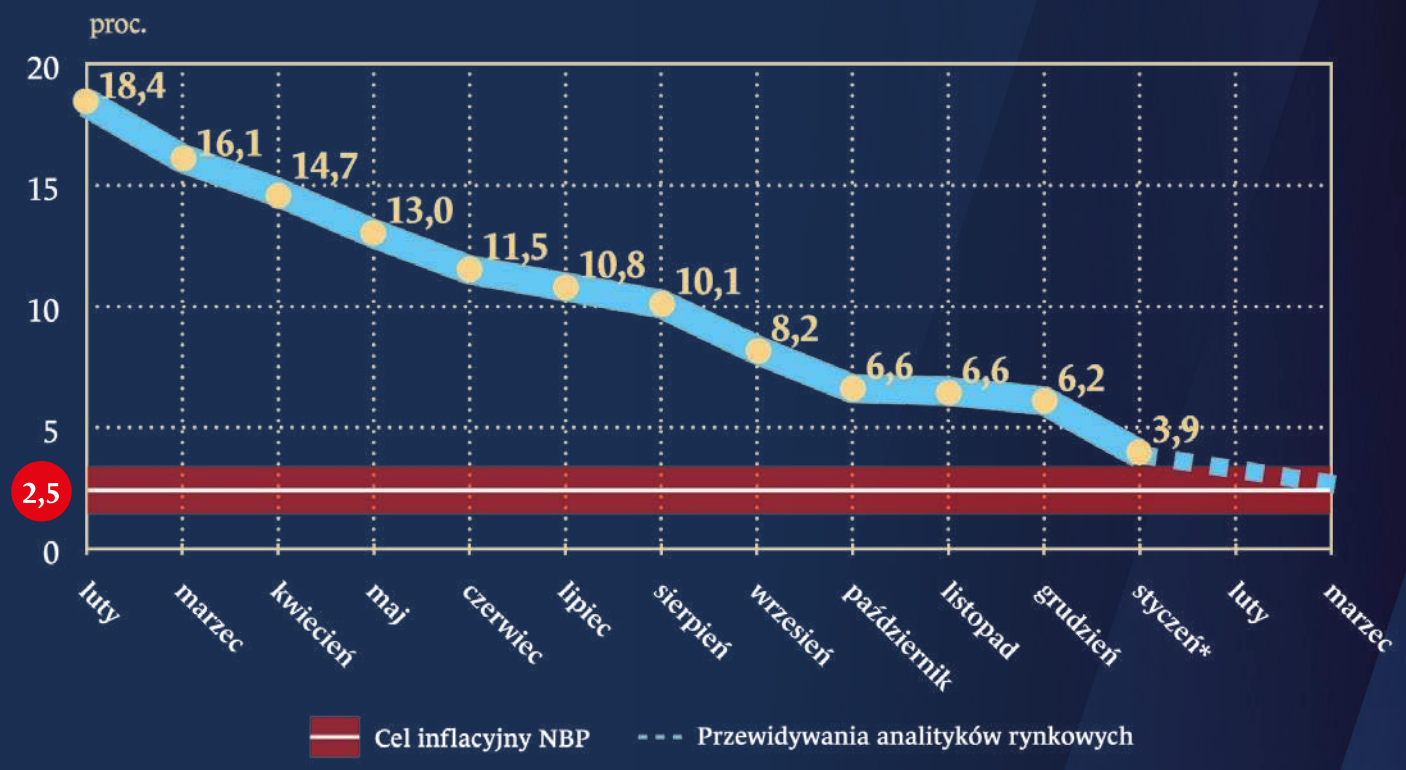

Źródło: dane GUS. | *wstępne dane GUS za styczeń 2024 r.

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

W styczniu inflacja wyniosła 3,9% r/r i jest już bardzo blisko celu inflacyjnego NBP, który wynosi 2,5% +/-1 pkt proc.

nbp.pl

eprasa.pl f4c7b261e1

W RZECZY SAMEJ

Emanuel na wojennej ścieżce

PAWEŁ LISICKI

Od chwili, gdy prezydent Francji Emanuel Macron zadeklarował, że nie wyklucza wysłania wojsk na Ukrainę, polscy (i nie tylko polscy) komentatorzy zachodzą w głowę: dlaczego akurat on? Skąd pomysł wysłania do Odessy (a może w inne miejsca) francuskich sił specjalnych?

W Polsce szczególnie popularna jest opowieść o tym, że jest to jedynie zmyłka, bo przecież w i a d o m o, iż Niemcy i Francja pozorują pomoc Ukrainie, a naprawdę już porozumiały się z Rosją. W takim przypadku Paryż, sugerując wysłanie żołnierzy, prowadziłby jakąś wielopiętrową intrygę, której celem miałoby być… Nie skończyłem tego zdania, bo nie jest go w stanie skończyć ogół zwolenników tezy o tajnym porozumieniu Paryża i Berlina z Moskwą. Nie trzyma się ona bowiem, szczerze mówiąc, kupy.

Drugie możliwe wytłumaczenie odwołuje się do porachunków między Francją a Rosją w Afryce. Niedawno doszło tam do kilku zamachów stanu, których efektem było wyrzucenie resztek francuskich wojsk. Jednak trudno mi uwierzyć, żeby jedynym motywem działania Macrona było pragnienie odwetu w tej sprawie.

Żeby zatem zrozumieć postępowanie (a na razie zapowiedź postępowania) Macrona, trzeba spojrzeć, sadzę, z nieco szerszej perspektywy. Obecny prezydent Francji jest co się zowie wzorowym wręcz przykładem globalisty, za co dostaje regularnie pochwały w Davos. Jest przekonanym aborcjonistą: dzięki niemu Francja wprowadziła ostatnio do swojej konstytucji zapis „gwarantujący wolność" zabijania nienarodzonych dzieci do 14. tygodnia życia w łonie matki. To dzięki niemu we Francji obowiązują drakońskie prawa utrudniające obronę życia. Jednocześnie liczba aborcji systematycznie rośnie, podobnie jak spada przyrost naturalny.

Prezydent Macron jest wielkim zwolennikiem wprowadzenia ustaw eutanazyjnych – po zagwarantowaniu prawa do aborcji ma to być jego kolejny sukces. Widać zatem, że jest on typowym globalistycznym antynatalistą, podobnie zresztą, o czym mówił wiele razy, zaciekłym genderystą.

Prezydent Macron wyznaje również skrajną wersję klimatyzmu, opowiadając wszem wobec, że jeśli wszyscy nie zbudujemy Zielonego Ładu, to nastąpi armagedon. Jak pozostali prymusi z Davos okazał się też, co uwidocznił francuski sposób walki z „pandemią", zamordystą. To on głosił tezę, zgodnie z którą niezaszczepieni są chodzącym zagrożeniem dla zaszczepionych. Dlatego nie mają wolności, a każdy musi bezwzględnie poddać się tyranii covidowej.

Jeśli zatem prezydent Macron wspomina o interwencji na Ukrainie, to nie z powodu troski o Ukraińców, ale najpewniej dlatego, że jest to formą realizacji idei z Davos. Największym niebezpieczeństwem dla globalistów jest przegrana Joe Bidena w listopadowych wyborach w USA. To stojący za nim demokraci odpowiadają za politykę, która przyczyniła się do wojny na Ukrainie. W obliczu zagrożenia klęską wyborczą w USA wystąpienia Macrona mają zaognić konflikt do tego stopnia, żeby nawet ewentualne zwycięstwo Trumpa uniemożliwiło wstrzymanie wojny z Rosją. ©℗

NASTĘPNY NUMER TYGODNIKA „DO RZECZY" UKAŻE SIĘ WE WTOREK 2 KWIETNIA

eprasa.pl f4c7b261e1

TEMAT TYGODNIA

14 PAWEŁ LISICKI
ZDARZENIE BEZ ŻADNEJ ANALOGII
Śledztwo w sprawie Zmartwychwstania

KRAJ

22 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM
PIS ODKLEIŁ SIĘ OD RZECZYWISTOŚCI
Klęska na horyzoncie

25 ŁUKASZ WARZECHA
RYZYKOWNA PROPOZYCJA MACRONA

28 PIOTR SEMKA
W EPOCE ARCYBISKUPA WOJDY

31 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLACY JAKO KRÓLIKI DOŚWIADCZALNE

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
CO Z TĄ KONFISKATĄ?

KULTURA

36 RADOSŁAW WOJTAS
WOLNOĆ, TOMKU, W SWOIM ZAMKU?
Odbudowywać czy nie?

40 PIOTR GOCIEK
TO, CO UTRACONE

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 LECH MAŻEWSKI
PROGRAM I KONIUNKTURA
Co z polskimi konserwatystami

52 ROZMOWA Z DR. MARKIEM WOJNAREM
UKRAIŃSKIE MARZENIA O IMPERIUM

55 MAREK JUREK
TROPY ODNOWY KOŚCIOŁA

58 PAWEŁ CHMIELEWSKI
CZY KOŚCIÓŁ PRZYJMIE MASOŃSKI RELATYWIZM?

HISTORIA

62 ŁUKASZ CZARNECKI
PIELGRZYMI Z KRAJU WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA
Pierwsze japońskie poselstwo w Europie

66 ROZMOWA Z RAFAŁEM DAJBOREM
CZTERDZIESTOLATEK PO PÓŁWIECZU

ŚWIAT

70 OLIVIER BAULT
BRACIA MUZUŁMAŃSCY PODBIJAJĄ EUROPĘ
Stary Kontynent poddaje się bez walki

73 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZBRODNIA I KULTURA

76 WITOLD REPETOWICZ
KOGO CIĄGNIE NA CYPR

79 ADAM HLEBOWICZ
„ROBCZIK" – O TOŻSAMOŚCI LITEWSKICH POLAKÓW

EKONOMIA

82 TOMASZ CUKIERNIK
ZIELONY ŁAD. KTO ZAWINIŁ?
Jedynym wyjściem jest wyjście z UE

PODRÓŻE

86 JACEK PRZYBYLSKI
BILETY DO RAJU
Przybywa opłat dla turystów

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
KŁOPOTY ZE SPADKIEM
Wielu chętnych do fortuny

FELIETONY:
SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (65), GABRYEL, WARZECHA (85), PRZYBYLSKI (89), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (96), SIEDLECKA (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl f4c7b261e1

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratapraszy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Dzień Sukkuba

Szanowni Państwo, był Dzień Szakala, jest Dzień Dziadka, Babci, Dziecka, Matki, Wojska Polskiego... No i oczywiście Dzień Kobiet. W przeciwieństwie do pozostałych nie ma obecnie zdefiniowanego podmiotu. No bo których kobiet? W naszych opętanych demonami płciowości czasach nie jest to takie oczywiste. Na przykład kilka lat temu w Meksyku zażądano, by w wyborach do parlamentu obowiązywał parytet kobiet. Trzydziestu sześciu męskich kandydatów zadeklarowało, że czują się kobietami, i nikt nie mógł im niczego zarzucić. Najkorzystniej byłoby zatem podzielić ów dzień na dwie części. Do południa np. Dzień Kobiet Naturalnych albo Heteronormatywnych, a od południa osób wyglądających jak kobiety, czujących się kobietami, mężczyzn po tranzycji, transseksualistów, a także kobiet biologicznych, które domagają się terminacji ciąży (iście szatańska ewolucja lingwistyczna od czasów zwykłej skrobanki!). Można też uchwalić całkiem odrębne święto – Dzień Sukkuba.

Sukkub to demon męski, który przybiera postać kobiety, by deprawować mężczyzn. Obecnie może być też na odwrót, bo – jak widać – deprawacja dotyczy szerszej publiczności. Akceptację społeczeństwa zyskały przecież niemal wszystkie formy opętania, należałoby je więc chyba uczcić specjalnym świętem.

Niech więc po prostu kobiety mają swoje święto, a demony w kobiecej postaci swoje – Dzień Sukkuba.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Gawęda Szymborskiej

Szanowna Redakcjo!
Nie jestem jakąś szczególną admiratorką Wisławy Szymborskiej. Niektóre jej wiersze cenię, niektóre nie robią na mnie wrażenia... [...].

Jestem ciekawa, co uczynią szaleni reformatorzy polskiego szkolnictwa, będący jednocześnie wielbicielami obu Polek nagrodzonych Literacką Nagrodą Nobla, z „Gawędą o miłości ziemi ojczystej" Wisławy Szymborskiej. Wiersz pochodzi z tomu „Pytania zadawane sobie" wydanego w 1954 r.! Ten przykład liryki patriotycznej nie jest jednak utworem typowym dla okresu socrealizmu. Badacze dostrzegają w nim prostotę, brak patosu...

A oto fragment:
„Jakiej miłości brakło im,
że są jak okno wypalone,
[...]
jak drzewo z nagła powalone,
które za płytko wrosło w ziemię,
któremu wyrwał wiatr korzenie".

Pozdrawiam serdecznie
Czesława Scheffs

„Pisowskie kwanty", Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" nr 5/2024

Zgadzając się w pełni z Pańskim zdaniem na temat hordy demolującej od kilku miesięcy Polskę, pozwolę sobie podpowiedzieć Panu inne adekwatne określenie tej bandy, a mianowicie: banda hunwejbinów. Barbarzyńcy, wandale itp. osobnicy zostali już dawno „oswojeni" w Europie, natomiast hunwejbini cieszą się od nie tak dawna sławą niszczycieli porządku w całym świecie. Inaczej nie myślę o rządach Tuska od chwili ujawnienia (i zaaplikowania nam!) wszystkich kolejnych posunięć [...].

Z poważaniem,
Teresa Janiszewska

Wyjaśnienie

Odpowiedź Mariusza Kamińskiego, byłego ministra spraw wewnętrznych i koordynatora służb specjalnych w latach 2015–2023, na pytanie: „Ilu posłów liczy aktualnie Sejm RP?", w wywiadzie opublikowanym w numerze 12/2024 tygodnika „Do Rzeczy" z 18 marca 2024 r., powinna brzmieć: „To zależy od perspektywy. Z naszej perspektywy 461 posłów. Z perspektywy pana Hołowni 459. Jak nie liczyć, skład Sejmu jest niekonstytucyjny".

Ryszard Gromadzki

Wyjaśnienie

W felietonie Piotra Semki „Ostrożny wybór, oby trafny" („DRz" nr 12/2024) wkradła się literówka w nazwisku abp. Adriana Galbasa. Za błąd przepraszamy.

eprasa.pl f4c7b261e1

NA PIERWSZY OGIEŃ

Przyjdzie zły rolnik i cię zje

PIOTR SEMKA

Gdy parę tygodni temu przejeżdżałem przez małe niemieckie, pomorskie miasteczko Anklam, zatrzymałem się na chwilę, aby obejrzeć dwie jednoczesne demonstracje na miejscowym rynku. Główny wiec urządziły partia SPD i partia Zielonych. Odbywał się on pod hasłem „Wspólnie zatrzymać skrajną prawicę". Po drugiej stronie placu ustawiła się znacznie mniejsza demonstracja z transparentami: „Olaf, nie jesteś naszym kanclerzem" i „Ten rząd musi odejść". Co charakterystyczne, głównym akcentem tej drugiej demonstracji był duży zielony traktor. Najwyraźniej w Niemczech ciągnik został symbolem protestu antysystemowego.

Protesty rolnicze w całej Europie stały się zwiastunem oporu wobec europejskiego establishmentu, na czele z Komisją Europejską. To z tego powodu np. w Niemczech rolnicze demonstracje witają z sympatią nie tylko ludzie zatroskani o rentowność agrobiznesu, lecz także wielu obywateli niezadowolonych z systemu demokracji bezalternatywnej, który wyłonił się w RFN. Ten podział wywołuje też u części niemieckiej lewicy reakcje niechęci, postrzegania chłopów jako czynnika destabilizacji i zagrożenia dla demokracji.

W niektórych krajach pojawiają się już pierwsze jaskółki pedagogicznego antyruralizmu, czyli antywiejskości. Oto niemiecka pisarka i aktorka Anke Engelke wydała właśnie książeczkę dla dzieci pt. „Zajęcza szkółka, czyli jak lis i zając zostali przyjaciółmi". Wydawca promuje ją tak: „Aktorka Ange Engelke rymuje i reinterpretuje starą historię, promując opowieść, która nie tylko wstrząsa wzorami do naśladowania, lecz także kończy wrogość między lisem a zajączkiem".

Wydawca nawiązuje w ten sposób do starej wersji bajki z 1924 r., w której „zajączkowa szkółka" służy do nauczenia małych zajączków, jak poruszać się w życiu i unikać ich największego wroga – lisa. W obecnej wersji lis staje się weganinem i przyjacielem zajączka. A kto jest ich największym wrogiem? Otóż w nowej opowieści są nimi ludzie, a dokładnie rolnicy. To oni w bajeczce rozpylają trujące substancje i posługują się dużymi, niebezpiecznymi maszynami rolniczymi. Autorka książki mówi: „Postanowiłam opowiedzieć o przyjaźni zająca i lisa wobec wspólnych zagrożeń. Horrorem jest dla nich wielka kosiarka. Dla logiki tej historii zamieniłam ludzi w straszydła".

Rolnicy taką licentia poetica nie są zachwyceni. Prezes Izby Rolniczej w Saksonii, Torsten Krawczyk, wskazuje: „To typowe, że wybierasz na wroga kogoś, z kim masz najmniejszy kontakt. Tak więc przyroda jest super, tylko rolnik jest zły. Skoro już książeczki dla dzieci nie są obiektywne, to jak mamy spodziewać się potem obiektywnej dyskusji o żywności i rolnictwie? Ta książeczka opisuje świat, w którym rolnicy zatruwają środowisko, myśliwi strzelają do uroczych zwierzątek, a kombajny zbożowe to niebezpieczne, diabelskie wynalazki".

I kto jeszcze wątpi, że niemieccy postępowcy nie przygotowują się już do własnej interpretacji ducha epoki? Ciekawe, kiedy takie książeczki pojawią się u nas. ©℗

FOT. FACEBOOK.COM/ORBANVIKTOR

PROFESOR LEGUTKO NAGRODZONY PRZEZ WĘGRÓW

„Profesor Ryszard Legutko otrzymał Nagrodę Jánosa Hunyadyego za ochronę europejskich wartości i wolności. Niech żyje przyjaźń polsko-węgierska!" – poinformował w środę premier Węgier Viktor Orbán, zamieszczając w mediach społecznościowych zdjęcie z laureatem. Odbierając w Brukseli prestiżową nagrodę, prof. Legutko ostrzegł, że „europejskie wartości i wolność są dziś zagrożone i wymagają obrony". ***(jap)***

eprasa.pl f4c7b261e1

Elżbieta Kruk

Poseł do Parlamentu Europejskiego

Chrześcijańskie podstawy Unii Europejskiej – Quo Vadis Europo?

Czym jest Unia Europejska dzisiaj? Jakimi kieruje się wartościami? Na ile respektuje katalog zasad stworzony przez ojców-założycieli: Konrada Adenauera, Alcide De Gasperiego, Roberta Schumana? Te zasady to: poszanowanie tożsamości kulturowej i religijnej krajów narodowych oraz przestrzeganie zasad solidarności i pomocniczości. Jaka jest odpowiedź?

Taka, że Europa rzeczywiście potrzebuje kulturowego odrodzenia. Widzimy bowiem, że w realizacji wielkiego projektu multi-kulturalizmu oczekuje się od Europejczyków, by wyparli się samych siebie, wspierali upadek europejskiej kultury, tradycji i religii. Współcześni „inżynierowie dusz" nie chcą pamiętać, kim byli ojcowie-założyciele UE, usiłują wymazać ze świadomości zbiorowej wiedzę o ich formacji duchowej. To jest droga donikąd, bo tak jak do powstania Zjednoczonej Europy mogła prowadzić jedynie prawdziwie chrześcijańska myśl polityczna, tak tylko inspirowane nią koncepcje mogą zaowocować rzeczywistym odrodzeniem kulturowym.

Trzeba odejść od lewackiej roboty obracania europejskiej tożsamości w zgliszcza. Unia Europejska może się rozwijać tylko wtedy, kiedy będzie unią ojczyzn, kiedy będzie cenić bogactwo ich różnorodności, kiedy będzie cenić swą własną kulturę i tożsamość.

Życzę Państwu
wiele radości i spokoju.
Niech czas
Zmartwychwstania
Pańskiego
pełen będzie
głębokiej wiary,
szczerej nadziei
i bogatych
przeżyć duchowych.

ELŻBIETA KRUK
Poseł do Parlamentu Europejskiego

eprasa.pl f4c7b261e1

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Donald do ozłocenia

Donald Tusk powrócił do pogróżek pod adresem prezesa Narodowego Banku Polskiego, Adama Glapińskiego. Premier po raz kolejny postraszył go postawieniem przed Trybunałem Stanu, zapowiadając, że „wniosek jest już gotowy".

Powody, dla których miałby Glapiński stanąć przed owym trybunałem, są, delikatnie mówiąc, wzięte z zupy – za rzekome „zniszczenie niezależności" NBP, które nie wiadomo, w czym miałoby się wyrażać, i za „brak walki z drożyzną". Wiadomo, że nie o to chodzi. Więc o co? Sam Tusk, powracając do pogróżek, motywował je faktem, że obietnica wytoczenia Glapińskiemu procesu to jeden ze „100 konkretów na pierwsze 100 dni rządów". Mało przekonująca argumentacja, wiadomo już, że z tych „100 konkretów" ponad 90 zrealizowanych nie zostanie – Tusk nigdy do swoich obietnic nie był szczególnie przywiązany.

Może chodzić o to, aby powtórzyć operację, którą Tusk wykonał po „aferze cmentarnej", by usunąć szefa CBA: prokuratura postawiła wtedy Kamińskiemu zarzuty, też zupełnie z zupy, a wtedy przestał spełniać wymóg „nieskazitelności" i wyleciał w połowie kadencji. Usunięcie Glapińskiego pozwoliłoby zaś mianować „swojego" szefa NBP, by szybko wprowadził Polskę do strefy euro i zgodnie z panującymi w niej zasadami odesłał polskie rezerwy złota do Frankfurtu. Dla ledwie zipiącej gospodarki niemieckiej byłoby to zbawieniem i nietrudno zgadnąć, że za taki rabunek na ich korzyść Niemcy gotowi by byli Tuska ozłocić.

Przypomnę, dlaczego parę tygodni temu Tusk w sprawie zarzutów dla Glapińskiego zamilkł z dnia na dzień: bo w obronie niezależności NBP publicznie zabrała głos szefowa MFW, Christine Lagarde. Jak dotąd nie informowała ona o zmianie stanowiska, ale przy skali niemieckich wpływów możliwe jest, że została przekonana, by jednak Tuskowi na ten akt „przywracania praworządności" pozwolić. I to jest naprawdę poważne niebezpieczeństwo dla Polski.

Choć wciąż jest nadzieja, że pogróżki Tuska to tylko kolejna z jego „przykrywek". ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Niuanse i deniuanse

Jedną z instytucji radykalnie zreformowanych przez Franciszka jest założona przez św. Jana Pawła II Papieska Akademia Życia. Już kilka lat temu zmienił się jej charakter i skład. A teraz Akademia ogłosiła pracę zbiorową „La gioia della vita" („Radość życia"), m.in. na temat… eutanazji. Autorzy przekonują do potrzeby zniesienia jej prawnego zakazu, który jedynie naraża społeczeństwa na „wzrost konfliktów i nielegalnych oficjalnie praktyk". Oczywiście nie akceptują dobijania chorych, są jedynie za „zniuansowanym podejściem" prawnym i przeciw CZE (całkowitemu zakazowi eutanazji). Tak jak aborcjoniści przez pół wieku, zanim nie ogłosili, że dzieciobójstwo prenatalne stanowi prawo człowieka, byli w większości jedynie za „zniuansowanym podejściem" i przeciw CZA („całkowitemu zakazowi aborcji").

Nie oskarżajmy jednak pochopnie współczesnej liberalnej cywilizacji, najwyraźniej imponującej autorom „Radości Życia", o wszechniuansujący relatywizm! Niuansowaniu prawa do życia niewinnych towarzyszy bowiem np. systematyczne deniuansowanie zakazu kary głównej. Immunitet chroniący przed nią zbrodniarzy ma być całkowity i totalny, bez żadnych niuansów!

Nas przed skutkami tego niuansowania zdrowego rozsądku chronić może na szczęście narodowa kultura. Jej konstytutywnym składnikiem jest od dwóch wieków pochwała wszczynania w potrzebie „konfliktów i nielegalnych oficjalnie praktyk" w sposób „wyrządzający szkody dobru publicznemu i współżyciu społecznemu" okupujących nas imperiów. Nawet krytykę powstań prowadzono u nas w imię innych, długofalowo bardziej skutecznych form wszczynania „konfliktów" czy nawet „nielegalnych oficjalnie praktyk". Nas bowiem historia lepiej od innych nauczyła, że mówią „»Pokój, pokój«, a tymczasem nie ma pokoju" (Jr 8, 11). I obyśmy to narodowe doświadczenie potrafili z pożytkiem wykorzystać dla całego chrześcijaństwa. ©℗

eprasa.pl f4c7b261e1

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

O tym, co się nie śniło filozofom

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Profesor Spartaco Pupo [po włosku „dziecko" albo „kukiełka" – przyp. P.K.] ma 50 lat, wykłada filozofię na wydziale nauk politycznych i społecznych kalabryjskiego uniwersytetu w Rende, na podbiciu włoskiego buta. Jest najwybitniejszym włoskim znawcą pism i traktatów szkockiego filozofa sławy światowej Davida Hume'a (1711–1776). Wiele z nich jako pierwszy przełożył na włoski. Wykładał przedtem w Londynie, Cambridge i Glasgow.

Zapewne z podszeptu diabła 8 marca z okazji Dnia Kobiet profesor na swoim prywatnym koncie na FB złożył wszystkim paniom życzenia i zacytował swego mistrza Hume'a, który 300 lat temu, jako jeden z prekursorów równouprawnienia niewiast, napisał: „Ludy, które obnoszą się z przekonaniem o wyższości mężczyzn nad kobietami, dyskryminują je, biją i mordują, to ludy barbarzyńskie. W narodach cywilizowanych mężczyźni swoją wrodzoną przewagę fizyczną łagodzą galanterią i rycerskością".

Grupa sfanatyzowanych feministek uznała, że profesor identyfikuje się z poglądami Hume'a, diagnozując u obu galopujący paternalizm, skłonności patriarchalne i seksizm. Następnego dnia huczał o tym, rażąc obelgami, cały włoski Internet feministyczny. Profesor uznał, że nie będzie polemizował z wariatkami. Kilka dni później otrzymał list z niezależnego biura radczyni zaufania Uniwersytetu Kalabryjskiego. Radczyni, powołując się na Kodeks postępowania uczelni i grożąc bliżej niesprecyzowanymi sankcjami, nakazała profesorowi najpierw złożyć rzetelną samokrytykę, a potem feralny wpis z cytatem z Hume'a usunąć. Zarzuciła mu, że nie zdystansował się do obrażających kobiety słów szkockiego filozofa.

Słowem: Uniwersytet Kalabryjski powołał urząd niezależnej supercenzorki z prawem ingerencji w prywatną korespondencję swoich pracowników i stosowania sankcji wobec tych, którzy zgrzeszyli myślą.

Profesor się wściekł i powiedział, że to stalinizm w formie czystej, więc idzie z tym do sądu i do Trybunału Konstytucyjnego. Może być ciekawie. Może poskromią szurnięte złośnice. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl f4c7b261e1

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

AUTOKRYTYKA NA PEŁNEJ

Skoro „Gazeta Wyborcza" postanowiła „zdemaskować" Krzysztofa Stanowskiego, to prof. Magdalena Środa musiała do krytyki dołączyć – żeby tylko ktokolwiek nie pomyślał, że jej wywiad sprzed miesięcy należy uznać za „legitymizowanie" postaci tego złego człowieka.

Feministka wyjaśniła, że zgodziła się na rozmowę (jeszcze w Kanale Sportowym), bo „nie ogląda telewizji i właściwie nie wiedziała, gdzie idzie". „Swoje występy przyprawia seksizmem, pisizmem i radosnym samozadowoleniem. To facet, który nic nie czyta, który wie, że po to, by być zauważalnym,

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

trzeba być chamem i arogantem" – napisała Magdalena Środa pod ostatnim artykułem „Wyborczej" na temat twórcy Kanału Zero. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. „Zdradzę wam, że z prof. Magdaleną Środą rozstaliśmy się w miłej atmosferze, ale potem wróciła do domu, poczytała komentarze, w których bardzo wiele osób twierdziło, że wyszła na kompletną idiotkę... No i już mnie nie lubi" – ironizuje Stanowski. „Oczywiście nie będę się odnosił do poniższego, ponieważ jestem człowiekiem, który nie stosuje języka nienawiści i kocham ludzi" – podsumował. Jedno jest pewne – mądrości prof. Środy w Kanale Zero nie usłyszymy.

TROCHĘ ŻAL

Prezenterka Monika Richardson może mieć trochę niesmak. No bo jak to tak?! Do TVP wrócili już prawie wszyscy, a ona nie?! Pozostało jej więc snucie fantazji o wsadzaniu ludzi do więzień. Richardson widzi za kratami Jacka Kurskiego. Komentując utratę posady przez byłego prezesa TVP w Banku Światowym, stwierdziła, że „to dopiero początek jego kłopotów". – Ja myślę, że on skończy w więzieniu. Ileś milionów przeszło przez TVP, na pewno ich nie zobaczyli szeregowi pracownicy. No to gdzie są te pieniądze? Karma wraca – przekonuje celebrytka w rozmowie z Pomponikiem. Co ciekawe, tak ostra dla TVP Richardson znacznie łagodniej wypowiada się o TV Republika. – W każdej telewizji następuje selekcja wiadomości. Ta selekcja nie jest obiektywna nigdy, jest przefiltrowana. Tak jak montaż. Oczywiście im mniej, tym lepiej, im bardziej dyskutuję na temat jednego aspektu sprawy i drugiego, tym bliższe są obiektywizmowi, ale nigdy nie osiągną 100 proc. – podsumowała. Czyżby redaktor Monika słała CV do Tomasza Sakiewicza?

KUBA NIE DOCENIŁ

Aktor Filip Pławiak był gościem podcastu „Wojewódzki & Kędzierski". Pławiak, który w filmie „Goralenvolk. Biała odwaga" wcielił się w rolę głównego bohatera Andrzeja Zawrata, nie spodziewał się zapewne, że będzie musiał zmierzyć się z krytyką. – Ten film nie dowozi. Ja nie wiem, o czym on jest. Dla mnie brakuje mu wyrazistości fabularnej. Nie wiem, czy to jest podhalańska wersja „Romea i Julii", czy to jest moralitet wojenny [...]. To jest pierwszy film z tobą, którego nie przeżyłem. Miałem wrażenie, że ciebie bardziej pociąga wspinaczka niż fabuła – ocenił Wojewódzki. Po tych słowach w studiu zapadła cisza, a Pławiak wręcz zaniemówił. – Przepraszam, jeżeli za ostro – dopowiedział showman. Aktor odparł w końcu, że Kuba „ma prawo do swojej opinii". – Nie wiem, co ci mam na to powiedzieć [...]. Mogę to zderzyć z tym, co ja odczuwałem, oglądając ten film. Dla mnie niesie on dużo emocji. Pozwala dużo przeżyć i nie zostawia w spokoju widza po wyjściu z kina. Może to jest związane z tym, że miałeś pewne oczekiwania względem tego filmu – wskazał Pławiak. Wojewódzki jednak nie odpuszczał. – W skali filmów, które obejrzałem, to nie jest dobry film – dodał. W odpowiedzi wzburzony aktor nazwał go... „szaleńcem". – Przed premierą filmu i po tym całym szumie, który pojawił się po premierze, pomyślałem sobie, że jak ktoś mi powie, że to nie jest dobry film, to sobie pomyślę, że to jest szaleniec. Dlatego o tym mówię, bo nie potrafię zrozumieć pewnych rzeczy, które dzieją się w przestrzeni kinematografii w Polsce. Nie oceniamy bowiem tą samą skalą różnych filmów – podsumował. Chyba zabolało.

SZYBKA AKCJA

Media żyją rozwodem prezenterki Katarzyny Bosackiej z politykiem KO Marcinem Bosackim. My nim nie żyjemy, ale to, jak szybko poszło, zasługuje na uwagę. W połowie zeszłego roku wybuchła wiadomość o tym, że miał on wyprowadzić się z domu i zamieszkać z inną kobietą. Teraz „Fakt" donosi, że w ubiegłym tygodniu miała miejsce rozprawa rozwodowa – w trybie zdalno-ławniczym. Sprawę załatwiono ekspresowo. „Naprawdę nic nie zapowiadało nagłego zwrotu akcji. Ten nastąpił o 9.34, kiedy ławniczki opuściły salę rozpraw i została ona zamknięta. Wszystko wskazywało na to, że rozprawa się zakończyła" – czytamy. Rozprawa rozwodowa miała się zakończyć po zaledwie 34 minutach. „Katarzyna Bosacka potwierdziła nam, że sąd właśnie orzekł rozwód. Nie chciała jednak komentować całej sprawy ani tego, że sama rozprawa była błyskawiczna" – podsumował tabloid. Małżeństwo 26 lat, rozwód 34 minuty. ©℗

eprasa.pl f4c7b261e1

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, wiele się ostatnio mówi na temat równości płci. Wiecie, iż mężczyźni są niby dyskryminowani, bo mają wyższy wiek emerytalny, mają iść do wojska, częściej chorują i krócej żyją. I of kors rozpoczyna się wokół tego gadanie, iż sprawiedliwie by było wtedy, iżby kobiety miały to samo co oni.

Jest to of kors myślenie ze wszech miar błędne, iż równość nie oznacza tego, iż kobiety mają mieć tak samo jak mężczyźni. Równość polega na tym, iżby miały lepiej, iż się to po prostu należy po latach patriarchalnego ucisku w tym polskim katotalibanie, gdzie waginoosoba była traktowana przez ojca, męża i księdza jak żywy inkubator!!!

A poza tym już też tak nie przesadzajmy, iż mężczyznom jest źle. Czy wyższy wiek emerytalny to jest realna krzywda czy raczej uprzywilejowanie, iż mogą pracować dłużej, realizować się zawodowo, zarabiać i odkładać na emeryturę?

A waginoosoba, która idzie na emeryturę, mając lat 60, zostaje wtedy w domu, mąż jest w pracy, więc ona musi gotować, sprzątać, prać i dbać o jego zachcianki. Kto tu tak naprawdę ma gorzej? Dłuższy wiek emerytalny mężczyzn to tak naprawdę forma systemowej przemocy ekonomicznej i społecznej wobec kobiet.

Albo to wojsko? Przecież mężczyźni lubią broń, strzelanki na komputerach, seriale o żołnierzach. Przecież pobór i służba wojskowa to dla nich przedłużenie wirtualnej przygody w warunkach realnego życia. Jakby tak ktoś ich oderwał od „FIFY" i kazał grać w prawdziwym meczu, to by tak nie narzekali.

Więc, naprawdę, niech ci wszyscy obrońcy męskości nie narzekają tyle i zastanowią się, czy tam, gdzie oni widzą dyskryminację, inni nie widzą uprzywilejowania i wyzysku wobec waginoosób.

Lol, kochani. Jakaś brytyjska dziennikarka jest podobno zachwycona, że w nocy w Warszawie mogła czuć się bezpiecznie. Jakby naprawdę pojedyncze zalety z przebywania w tym kraju mogły równoważyć wszystkie niedogodności, których przecież nawet okazjonalnie i chwilowo przebywający tu turysta musiał doświadczyć.

Przede wszystkim ostatnio znów było zimno, co of kors jest dobre dla planety, ale ze wstydem musimy przyznać, iż my wolimy, jak jest ciepło. No i mógł w każdej chwili wydarzyć się strajk rolników – pewnie już osobodziennikarka nie czułaby się tak bezpiecznie, jakby nagle stanęła oko w oko z kawalkadą wąsatych januszów atakujących stolicę na swoich ursusach.

Poza tym nie zapominajmy, iż nadal tak do końca nie udało się odsunąć PiS od władzy i podstawowe prawa kobiet w tym kraju wciąż są brutalnie łamane i deptane przez demiurga z Żoliborza!!!11jeden

A jakby tego było mało, nadal nie ma jasności co do tego, przez kogo, gdzie i w jakim stopniu jest łamana konstytucja. Więc serio, nie dajmy się zachodniej propagandzie, iż w tym kraju jest nie wiadomo jak fajnie… ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Panie ministrze, nie dam rady!

Pan pojedzie tą drogą, panie Staszku. Tutaj, w prawo!

Panie ministrze, nie dam rady. Zawieszę się na tych muldach.

Kto takie gówniane samochody zamówił dla rządu?!
No wie pan, na ogół to my jeździmy po normalnych drogach. A nie polami, żeby blokady ominąć.

Pan tam się wciśnie, teraz!
Nie mogę, przecież mi tym lemieszem dach skoszą. Ale pan jest wiceministrem rolnictwa, niech pan do nich wyjdzie, może pana przepuszczą.

Żeby mi kłonicą w łeb dali? Żartuje pan?
No to może ja ich poproszę…

Niech pan okna nie otwiera! Gnojowicą leją!
… !

Nowy garnitur! Szlag by to… ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Panowie rolnicy oczywiście nie mieli odwagi, żeby gnojówkę wywalić na Nowogrodzkiej".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze, o protestach rolników*

eprasa.pl f4c7b261e1

dwaj panowie g

Hitem tygodnia była wieść o tym, jak to były premier Mateusz z prezydentem Andrzejem Sebastianem montują nową partię, a dokładnie to w ich imieniu montują ją Bielan z Mastalerkiem. Cóż, możemy potwierdzić jedno: Mateusz i Andrzej Sebastian się jakiś czas temu faktycznie pogodzili. Dlaczego musieli się godzić? A to nawet zabawne. W ostatnich latach sporo osób mówiło im, że powinni współdziałać, bo się idealnie uzupełniają: Mateusz ma wiedzę o gospodarce, lecz nie ma charyzmy, a Andrzej odwrotnie. No i obu takie sugestie strasznie urażały.

Jakie osobowości, takie tratwy ratunkowe. Po wypłynięciu listu, w którym Marcin Ociepa (OdNowa) skarży się na wycinkę ociepowców z list samorządowych, mówi się w PiS, że nie ma się co martwić, bo Ociepa i tak chce wyjść na dobre ze Zjednoczonej Prawicy. Po co? Aby budować nowe ugrupowanie pomiędzy PO a PiS. Ech, widać lata mijają, a złudzenia, że taki potwór z Loch Ness jest w stanie istnieć – nie umierają.

Tymczasem wypłynęła nazwa funduszu, z którym PiS zakulisowo dyskutował o utworzeniu w Polsce dużej telewizji prawicowej. Alpac Capital, inwestorzy portugalscy powiązani z bratankiem Viktorem Orbánem. Cóż, wiemy nawet, że jakiś czas temu zięć Orbána osobiście przyjechał do Polski, by pewne sprawy negocjować. Rozmawiano także w Brukseli, z udziałem bardzo ważnych figur. Ale wszystkich napalonych przestrzegamy – takie szczegóły wypływają na jaw tylko wtedy, gdy deal się wysypie.

W wąskich kręgach PiS nie brakuje jednak optymistów, którzy utrzymują, że po tym, jak TV Puls nie chciała się sprzedać nowemu inwestorowi, sprawa jednak powróci, ale w innej formule. Wariant rezerwowy to inwestycja Portugalczyków w telewizję braci mniejszych K. Co składa się z zapowiedziami Naczelnika, że nowa telewizja nie będzie budowana w oparciu o TV Republika. Nas to nie dziwi, znamy doskonale teorię i praktykę zarządzania wpływami, stosowaną przez Nowogrodzką. Kiedy ktoś za bardzo idzie w górę, trzeba go przyciąć. A maluczkich wywyższać. Tak osiągamy stan równowagi strategicznej. Inna sprawa, że według wiewiórek bracia mniejsi niespecjalnie się palą do nowego dealu.

Żeby było ciekawiej – portugalscy Węgrzy czy też węgierscy Portugalczycy to niejedyna grupa węgierska zainteresowana mediami w Polsce. Jak słyszeliśmy, całkiem inni Węgrzy, związani z pewną wpływową węgierską panią polityk, pukają do drzwi Mediów Narodowych. Zazdrościmy bratankom umiejętności grania na wielu fortepianach. Ba, zazdrościmy im nawet fortepianów.

Tymczasem relacje polsko-węgierskie ulegają zacieśnieniu na innych polach, o czym świadczy order wręczony przez Orbána w Brukseli prof. Legutce. Musimy wyznać, że często rozmawiamy z różnymi konserwatystami z Europy Środkowej i oni – niezależnie, czy z Czech, ze Słowacji albo z Węgier – bardzo wychwalają polskich profesorów, jako autorytety i tak dalej. Tylko w PiS ich nie lubią, co oczywiście więcej mówi o PiS niż o Europie Środkowej.

Wracamy do Polski. Jak się wydaje, czystki w prokuraturze nie są prowadzone na chybił trafił, tylko mają swój schemat. Wiele wskazuje na

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl/4c7b261e1

to, że w pierwszej kolejności postanowiono się rozprawić z prokuratorami, którzy walczyli z mafiami, ze szczególnym uwzględnieniem mafii VAT-owskich. Na pierwszy ogień poszedł pogromca osławionej grupy „Predatora" Cezary Fiertek. Szef Prokuratury Okręgowej w Olsztynie. W ramach tego śledztwa posadził kilkadziesiąt osób, które kręcąc paliwami, wyłudziły co najmniej 50 mln zwrotu z VAT. W kolejce są kolejni prokuratorzy od VAT.

Prokuratorowi krajowemu – dublerowi Kornelukowi – trudniej byłoby przeprowadzać czystki, gdyby nie zdrada Komandora. I nie chodzi o posągową postać z opery „Don Giovanni", ale o prawdziwego komandora, czyli Marka Piotrowicza, który w wojsku dorobił się marynarskiego stopnia oficerskiego. Był on osobą zaufaną Godzilli, czyli Bogdana Świeczkowskiego, który uczynił go szefem kadr. A nowi postanowili skorzystać z jego wiedzy. On zaś chętnie na współpracę przystał.

Jeśli już jesteśmy przy dublerze Korneluku. Jedną z jego pierwszych decyzji była przesiadka. Poprzedni dubler Bilewicz jeździł zwykłą skodą. Korneluk kazał z garażu wyciągnąć wypasione bmw X6, które zostało jeszcze po Godzilli. Auto zostało kupione, ponieważ potężny Boguś do większości samochodów się nie mieścił. Korneluk mógłby się pomieścić w znacznie mniejszych pojazdach, ale – jak mówią złośliwi – jego ego już nie.

Tymczasem w bastionach Platformy Obywatelskiej, czyli w zakładach karnych, jest nerwowo. Po zapowiedzi, że z kryminałów wyjdzie ponad jedna czwarta osadzonych, trwa nerwowe oczekiwanie, kogo obejmie amnestia. Przypomnijmy, że w 1989 r., kiedy zapowiedziano amnestię, stało się to zapalnikiem buntu w więźniu w Czarnem. A to z tego powodu, że amnestia była częściowa, więc nie objęła wszystkich. Obecnie nastroje są podobne. No, ale czego się nie robi dla najwierniejszego elektoratu.

Prasówka. Zaintrygował nas wywiad z Andrzejem Kowalczysem, reklamowanym przez Interię jako „przyjaciel Donalda Tuska". Przykro nam, ale musimy sprostować. Tacy jak Donald nie mają przyjaciół. Są wokół nich tylko dwa rodzaje ludzi: ci, którymi się wysługują, i ci, którzy wysługują się nimi.

Kowalczys opisuje ze szczegółami, jak wygląda kampania samorządowa w Gdańsku, gdzie ubiega się o reelekcję jako radny. Na przykład sąsiad z bloku mówi do niego podobno: „Andrzej, ja ciebie znam, chętnie bym na ciebie zagłosował, ale to, że jesteś na ulotce z tym Niemcem i tą partią, to cię dyskredytuje i nie masz szans na mój głos". Powątpiewamy, to musi być zmyślone. Przecież w prawdziwym Gdańsku za takie herezje na temat Tuska już by takiego sąsiada roznieśli na pikielhaubach.

Z Sejmu. Każdy tydzień przynosi nowe osiągnięcia na niwie satyry i humoru. Ledwo nacieszyliśmy się dialogiem Kukiza z Jońskim („Był pan piosenkarzem" versus „A pan kierownikiem basenu"), a już dostaliśmy w prezencie dialog Kaczyński-Śliż („Pan świadek" versus „Pan członek"). Nawet aktorzy drugoplanowi dają radę. Michał Szczerba: „Aktualnym zajęciem jest prowadzenie gospodarstwa?". Lech Kołakowski: „Aktualnie nie jestem na wsi, jestem w Sejmie".

Tylu ludzi obecnie narzeka na postęp i upadek dawnych obyczajów, tymczasem są kręgi, w których wraca się do sprawdzonych tradycji. Na przykład w pewnym częstochowskim szpitalu wicedyrektorką od administracji została przyjaciółka Izabeli Leszczyny. Miała ku temu ważny powód. Wcześniej bowiem to samo stanowisko piastował jej mąż (przyjaciółki, nie Leszczyny), tyle że awansował. My też uważamy, że stanowiska i urzędy w Polsce powinny być dziedziczne. Sugerujemy tylko ustalenie zawczasu, czy kierujemy się primogeniturą czy dopuszczamy sukcesje boczne. ©℗

REKLAMA

eprasa.pl f4c7b261e1

Zdarzenie bez żadnej analogii

eprasa.pl f4c7b261e1

Paweł Lisicki

Nie ma w przeszłości żadnego budulca, który mógłby posłużyć dla wzniesienia gmachu wiary w Zmartwychwstanie. Kluczowe pytanie, które musi sobie zadać historyk chrześcijaństwa, występujący tu w roli detektywa, brzmi: Skąd wzięła się wiara pierwszych uczniów Jezusa z Nazaretu w to, że powstał On w ciele z martwych? Czy można ją zredukować do tajemniczego skoku świadomości? Czy też musiało się wydarzyć coś na tyle niezwykłego, że wiara ta okazała się odpowiedzią na tajemniczy fakt?

FOT. ADOBE STOCK

To centralny punkt całego rozumowania, trzeba mu zatem poświęcić odpowiednio dużo miejsca. Od niego zależy powodzenie całego śledztwa. Pytanie brzmi: Czy w myśli żydowskiej lub pogańskiej, poprzedzającej narodziny Jezusa, znajdujemy przekazy, które mogłyby stanowić podstawę dla narodzenia się wiary chrześcijańskiej? Wszystkie konkretne dowody wskazują na to, że nie. Takich przekazów, które mogłyby posłużyć jako podstawa dla wiary, nie znajdziemy w tradycji ani żydowskiej, ani pogańskiej.

NA CO CZEKALI ŻYDZI

Otóż wbrew wielu popularnym twierdzeniom znawców Żydzi w czasach Jezusa oczekiwali Zmartwychwstania jedynie u kresu czasów. Nikt nie oczekiwał tego, czym zaskoczył Bóg. Żydzi, ale też nie wszyscy, bo z wyjątkiem saduceuszy, partii mającej za czasów Jezusa władzę nad Świątynią, wierzyli w życie pozagrobowe, ale zmartwychwstanie ciał miało się dokonać u kresu czasu i miało dotyczyć albo wszystkich, albo samych sprawiedliwych. Nikt nigdzie nie twierdził przed tym, nim doszło do powstania Jezusa z martwych, że jeden człowiek po swojej śmierci może wrócić do życia, i to jeszcze życia w przemienionym ciele. Nikt nie dzielił Zmartwychwstania na dwa etapy – najpierw Chrystus, a potem u kresu czasów wszyscy inni. Nikt i nigdy przed Zmartwychwstaniem Chrystusa!

Spróbujmy wyobrazić sobie Ziemię przed pojawieniem się na niej życia albo świat natury przed pojawieniem się człowieka: nikt, żyjąc w chwili przed (a więc przed pojawieniem się życia czy człowieka), nie mógł przewidzieć i nie mógł wyobrazić sobie, jak to, co żywe, będzie wyglądać lub kim będzie człowiek. Wiem, to tylko analogia i jak wszystkie nieco chybiona, bo trzeba wyobrażać sobie kogoś, kto miałby wyobraźnię, przebywając w martwym lub nieludzkim świecie. Jednak mam nadzieję, że jest ona pomocna. Musimy zrozumieć, że zanim Chrystus powstał z martwych, nikt o takiej możliwości nie wspominał, przynajmniej wyraźnie.

Nigdzie – ani wśród Żydów w Judei, ani w Galilei, ani w Idumei, ani w całym Cesarstwie Rzymskim ze wszystkimi jego niekończącym się prowincjami w Italii, Grecji, Afryce, na Bliskim Wschodzie, Iberii ani w królestwie Partów, ani w państwach Hindusów, ani w Chinach – nikt nigdzie nie słyszał o tym, żeby jeden konkretny człowiek powstał trzy dni po swojej śmierci z martwych. Nie słyszał, bo było to całkowicie niemożliwe i nie do przyjęcia. Zdarzały się zapewne wypadki pozornej śmierci. Zdarzały się opowieści o wskrzeszeniu do życia umarłych. Nigdy jednak nie słyszano o tym, żeby ktoś powstał do życia sam, i to nie do zwykłego, normalnego życia, ale do całkiem nowej formy bytu: niezwiązany żadnymi czasowo-przestrzennymi ograniczeniami.

GŁOS Z NIEBA PRZEMÓWIŁ

Pod tym względem cud Zmartwychwstania, a więc wtargnięcie nieskończonej Bożej mocy do świata historycznego i naturalnego, przypominał cud powstania życia z tego, co martwe, i stworzenia człowieka. To tak, jakby nagle w samym środku Sahary pojawił się kwitnący ogród, i to bez oazy! To właśnie czyni opowieść o Zmartwychwstaniu Chrystusa czymś tak niezwykłym. Uczniowie Jezusa nie mieli skąd czerpać opowieści o Zmartwychwstaniu. W całej tradycji judaizmu nie znajdziemy wyraźnego stwierdzenia, że Mesjasz powstanie z martwych. Ta wiedza stała się dostępna uczniom dopiero wtedy, gdy postanowił ich na ten temat pouczyć sam Chrystus. Zobaczmy tę niezwykłą scenę opisującą drogę do Emaus. Jezus pyta uczniów, którzy jeszcze go nie rozpoznali, dlaczego są tak poruszeni. Odpowiedzieli, że przyczyną jest „to, co się stało z Jezusem Nazarejczykiem, który był prorokiem potężnym w czynie i słowie wobec Boga i całego ludu; jak arcykapłani i nasi przywódcy wydali Go na śmierć i ukrzyżowali. A myśmy się spodziewali, że On właśnie miał wyzwolić Izraela" (Łk 24, 19–21). Uczniowie wyrażają powszechne przekonanie uczniów: spodziewali się, że Chrystus wyzwoli Izraela. Na tym ich nadzieja się kończyła. Tak też zapewne interpretowali Jego zapowiedzi Zmartwychwstania: miał to być moment odrodzenia narodowego, dokładnie tak, jak to przepowiedział Ezechiel. Ożyją kości, ożyje lud, Izrael wróci z wygnania. Dlatego są tak rozbici i niespokojni.

Uczniowie są smutni, bo ich nadzieje wzięły w łeb. Opowieści o tym, że

eprasa.pl f4c7b261e1

Jezus żyje, to dla nich babskie gadanie. Nie wiedzą, co o tym myśleć. Na pewno jednak nie sądzą, że Jezus powstał z martwych. Nie, cokolwiek by sobie wyobrażali, na pewno nie myśleli o tym, że powstał on z grobu. Nawet doniesienia kobiet niczego w nich nie zmieniły. I wtedy Jezus mówi: „»Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swej chwały?«. I zaczynając od Mojżesza, poprzez wszystkich proroków, wykładał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego". Zauważmy: Jezus tłumaczy im konieczność cierpienia jako warunek wejścia do chwały po trzech latach przebywania z nimi i nauczania ich. Po tych trzech latach nie oczekują Jego zmartwychwstania, spada ono na nich niczym grom z jasnego nieba.

Nie wymyślili tego, nie wykoncypowali. Wtedy też dopiero, pouczeni przez Jezusa, „gdy zajął z nimi miejsce u stołu, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go i dawał im. Wtedy oczy im się otworzyły i poznali Go, lecz On zniknął im z oczu. I mówili nawzajem do siebie: »Czy serce nie pałało w nas, kiedy rozmawiał z nami w drodze i Pisma nam wyjaśniał?«" (Łk 24, 30–32). Tak, serce w nich pałało, ale jeszcze go nie poznali. Dopiero sam Chrystus wyjaśnił im, co się stało. Żeby uwierzyć, że Chrystus powstał z martwych, nie wystarczyły im ani pusty grób, ani doniesienia kobiet, ani pisma. Oczy otworzyły się im dopiero pod wpływem słów samego Chrystusa. Inaczej: nic z tego, co wcześniej słyszeli i czytali, nie naprowadziło ich na myśl o Zmartwychwstaniu. Do tego konieczna była sama interwencja Boga.

Oczywistą jest rzeczą, że gdy teraz czytamy Ewangelie, łączymy z niektórymi słowami Chrystusa nasze wyobrażenie o Jego Zmartwychwstaniu. Gdy wspomina On choćby o tym, że powstanie trzeciego dnia z martwych, to odczytujemy te słowa dosłownie – przecież skoro się to zdarzyło, to najwyraźniej On to przewidział i przepowiedział. Z perspektywy jednak uczniów i słuchaczy Jezusa sprawa wyglądała inaczej. Oni jeszcze żyli w świecie, w którym Zmartwychwstanie było jedynie daleką bardzo obietnicą.

NIE WIEDZIELI, CO O TYM MYŚLEĆ

Uczniowie nie przewidzieli, że te niejasne zapowiedzi odnoszą się tylko do samego Jezusa, że stanie się to nie u kresu dziejów, ale trzy dni od Ukrzyżowania, że Jezus pojawi się przed nimi ten sam i jednocześnie inny. Ten sam – będą Go mogli poznać, a na Jego ciele będą ślady męczarni. I inny – w ciele chwalebnym, mającym całkiem nowe, wcześniej nigdy z ciałem niełączone cechy.

Ze wszystkich tych analiz wynika jednoznacznie, że za życia ziemskiego Jezusa uczniowie nie spodziewali się, że powstanie On z martwych.

Doskonale pokazują to same Ewangelie, co zresztą jest dodatkowym znakiem ich historycznej autentyczności. „A gdy schodzili z góry, przykazał im, aby nikomu nie rozpowiadali o tym, co widzieli, zanim Syn Człowieczy nie powstanie z martwych. Zachowali to polecenie, rozprawiając tylko między sobą, co znaczy »powstać z martwych«". (Mk 9, 9–10). Marek jasno pokazuje, że uczniowie są zaskoczeni, nie widzą, co mają myśleć, nie rozumieją swego Nauczyciela. Mówi On o Synu Człowieczym, który ma powstać z martwych. Dla nich wtedy, miesiące, rok, dwa lata przed śmiercią i Zmartwychwstaniem, słowa te były zagadką, tajemnicą. Jeszcze nie wiedzieli i nie rozumieli. Jeszcze nie wiedzieli i nie rozumieli, bo jeszcze Chrystus zmartwychwstały tego im nie objawił. Dlatego oszołomieni, skołowani, rozprawiali, co znaczy „powstać z martwych"? Czy to znaczy ruszyć przeciw Rzymianom, bo wtedy Bóg da im moc, wygnają obcych z Ziemi Świętej? Czy to znaczy wyprowadzić lud na pustynię, tak jak to zrobił Mojżesz, bo wtedy Bóg sam będzie walczył za nich?

Określenie „powstać z martwych" na pewno nie kojarzyło się uczniom Jezusa z tym, że ich Nauczyciel trzy dni po swej śmierci nagle w ciele wyjdzie z grobu

Określenie „powstać z martwych" kojarzyło się im z naukami Ezechiela o powrocie wojska Izraela, ze sprawiedliwymi świecącymi niczym gwiazdy, z obietnicą przywrócenia królestwa Izraela. Na pewno nie z tym, że ich Nauczyciel trzy dni po swej śmierci nagle w ciele wyjdzie z grobu i będzie ich nauczał.

To samo dotyczy innych ewangelicznych zapowiedzi Zmartwychwstania. „I zaczął ich pouczać, że Syn Człowieczy musi wiele cierpieć, że będzie odrzucony przez starszych, arcykapłanów i uczonych w Piśmie; że będzie zabity, ale po trzech dniach zmartwychwstanie. A mówił zupełnie otwarcie te słowa. Wtedy Piotr wziął Go na bok i zaczął Go upominać" (Mk 8, 31–32). Dlaczego Piotr upomina Jezusa, skoro usłyszał, że Ten „po trzech dnia zmartwychwstanie"? Z prostego powodu: inaczej niż dla nas dla Piotra słowa te były tylko metaforą. Tym, co z nich zrozumiał, było to, że Chrystus będzie odrzucony, będzie cierpieć, zostanie zabity. To, że po trzech dniach zmartwychwstanie, oznaczało być może tyle, że wkrótce po śmierci dojdzie do sądu nad wrogami. Z pewnością nie oznaczało to tego jednego, co się właśnie wydarzyło: cielesnego powstania Jezusa do życia. Święci Marek, Mateusz i Łukasz zgadzają się: przed tym, zanim sam Jezus nie powiedział uczniom, że zmartwychwstał, nie rozumieli tego. Bez Jego oświecenia jeszcze po jego śmierci, jeszcze po tym, jak ciało opuściło grób, a kobiety przybiegły, niosąc radosną wieść, jeszcze wtedy nie rozumieli.

Tak, Jezus przepowiadał zarówno swe cierpienie, jak i śmierć oraz Zmartwychwstanie, ale Jego uczniowie byli na te przepowiednie głusi. Widzieli w nich metaforę, symbol. Zbyt mocno w ich umysłach tkwił obraz Mesjasza, zwycięskiego króla Izraela, żeby mogli pojąć sens słów Mistrza.

MILCZENIE PRZYPOWIEŚCI

Sam Jezus, poza trzema zapowiedziami swego Zmartwychwstania, nie wspomina o nim nawet w przypowieściach. „Nie ma wątpliwości – doktryna powstania zmarłych do życia była przed zmartwychwstaniem Chrystusa, to jest w okresie opisywanym w Ewangeliach, tak mało rozpowszechniona wśród uczniów, że ledwo pojmowali, co ona znaczy" (Mk 9, 10) – zauważał słusznie J.J. Blunt, amerykański biblista z XIX w. Wszyscy, którzy twierdzą, że Ewangelie powstały późno, a ich zapisy nie tyle od-

eprasa.pl f4c7b261e1

powiadają historycznym zdarzeniom, ile raczej wypełniają potrzeby pierwszych wspólnot, znajdują się w związku z tym w kropce. Dlaczego to, co powinno być główną treścią wszystkich przypowieści – powstanie Chrystusa z martwych, życie wieczne w przemienionym ciele – w ogóle w nich nie występuje? Przypowieści wspominają o sądzie ostatecznym, o odpłacie, o czekającej wiernych uczcie w Królestwie, sugerują powrót Mesjasza, Jego rehabilitację, ale nic nie mówią o tym, co przecież miało stać się podstawą życia Kościoła, o powstaniu Jezusa z martwych. Dopóki nie powiedział tego uczniom po Zmartwychwstaniu sam Jezus albo dopóki nie powiedzieli tego kobietom aniołowie, dopóty ta prawda znajdowała się całkowicie poza zasięgiem pojmowania apostołów. Ewangelie wyraźnie mówią, że żeby została ona przyjęta, konieczne było Słowo, Boże Objawienie.

Nie ma chyba innej przypowieści niż ta o dzierżawcach winnicy, która lepiej nadawałaby się, żeby wprowadzić do niej opowieść o Zmartwychwstaniu. A jednak na próżno byśmy jej tam szukali. „Posłuchajcie innej przypowieści! Był pewien gospodarz, który założył winnicę. Otoczył ją murem, wykopał w niej tłocznię, zbudował wieżę, w końcu oddał ją w dzierżawę rolnikom i wyjechał. Gdy nadszedł czas zbiorów, posłał swoje sługi do rolników, by odebrali plon jemu należny. Ale rolnicy chwycili jego sługi i jednego obili, drugiego zabili, trzeciego zaś ukamienowali. Wtedy posłał inne sługi, więcej niż za pierwszym razem, lecz i z nimi tak samo postąpili. W końcu posłał do nich swego syna, tak sobie myśląc: Uszanują mojego syna. Lecz rolnicy, zobaczywszy syna, mówili do siebie: »To jest dziedzic; chodźcie zabijmy go, a posiądziemy jego dziedzictwo«. Chwyciwszy go, wyrzucili z winnicy i zabili" (Mt 21, 33–39). Do tej pory wszystko się zgadza.

Pierwsi czytelnicy rozumieli doskonale, o co chodzi. Winnicą jest sam Izrael. Rolnikami są władze żydowskie. Posłane sługi to prorocy. Ich cierpienia i prześladowania to metaforyczny obraz losów proroków posyłanych do ludu – ostatnim z nich, który bezpośrednio przepowiada Jezusa, jest Jan Chrzciciel. A więc wszystko się zgadza. Przypowieść zostaje

Przed przyjściem Jezusa żadne żydowskie teksty nie wspominają o tym, by Mesjasz miał powstać z martwych

opowiedziana w Jerozolimie, na krótko przed śmiercią na Golgocie, więc słowa o tym, że rolnicy zabijają syna i dziedzica, wyrzucają go z winnicy, były rozumiane jako opis postawy władz żydowskich. To samo pisał św. Jan, gdy stwierdzał, że Słowo przyszło do swoich, a swoi go nie przyjęli. Aż by się prosiło, żeby w tym momencie, jeśli przypowieść ta została uformowana pod wpływem doświadczeń i oczekiwań pierwotnej gminy, pojawiła się wzmianka o Zmartwychwstaniu. Nic z tego. Jezus jakby zawiesza swój głos i zwraca się do słuchaczy: „Kiedy więc właściciel winnicy przyjdzie, co uczyni z owymi rolnikami? Rzekli Mu: »Nędzników marnie wytraci, a winnicę odda w dzierżawę innym rolnikom, takim, którzy mu będą oddawali plon we właściwej porze«" (Mt 21, 40–41). Dlaczego nie mówią: „Nędzników marnie wytraci, a winnicę odda w dzierżawę innym rolnikom, takim, którzy mu będą oddawali plon o właściwej porze, syna zaś przywróci do życia"? Albo jeszcze mocniej: „Nędzników odda pod sąd Syna, który wróci do życia"? Ani słowa na ten temat.

Zamiast tego Mateusz przekazuje: „Jezus im rzekł: »Czy nigdy nie czytaliście w Piśmie: Właśnie ten kamień, który odrzucili budujący, stał się głowicą węgła. Pan to sprawił i jest cudem w naszych oczach. Dlatego powiadam wam: Królestwo Boże będzie wam zabrane, a dane narodowi, który wyda jego owoce. Kto upadnie na ten kamień, rozbije się, a na kogo on spadnie, zmiażdży go«" (Mt 21, 42–44). Czym lub kim jest kamień? Oczywiście po wszystkim, co się wydarzyło na Golgocie, i po Zmartwychwstaniu, i po tym, gdy sam Jezus powiedział o tym, wiadomo było, że kamieniem jest Jezus. Ale dlaczego słowa te są tak enigmatyczne? Dlaczego przypowieści, a tę wybrałem tylko dlatego, że najlepiej nadawała się do przekazania informacji, milczą na temat Zmartwychwstania lub, w najlepszym razie, posługują się tajemniczym kodem?

To milczenie jest najlepszym dowodem ich wiarygodności. To milczenie pokazuje realny stan ducha uczniów. To milczenie zostanie pokonane dopiero przez interwencję z Nieba: bez niej uczniowie nie zdobyliby się, żeby powiązać informację o pustym grobie i o widzeniu Jezusa przez kobiety. Czy to, że nikt nie próbował włożyć do przypowieści tego, czego w nich nie było, mimo że to, czego można było po nich się spodziewać, gdyby zostały napisane ex post – wiary w Chrystusa, który trzeciego dnia powstał z martwych – nie dowodzi najlepiej rzetelności i autentyczności świadectw? Jednocześnie czy owa niezwykła powściągliwość co do najważniejszego faktu nie pokazuje świata, który jeszcze nie poznał Zmartwychwstania?

Można czytać tę przypowieść i dowolną inną, ile razy się chce, i nie znajdzie się tam zapowiedzi Zmartwychwstania. Jest tam, owszem, zapowiedź zwycięstwa sprawiedliwości, jest mowa o ukaraniu niewiernych i zbuntowanych, ale nigdzie nie mówi się, JAK to się dokona.

NARÓD I ZIEMIA

Przed przyjściem Jezusa żadne żydowskie teksty nie wspominają wyraźnie o tym, by Mesjasz miał powstać z martwych. „Żadne wierzenia żydowskie na temat żydowskiego boga, a z pewnością nic w wierzeniach nieżydowskich nie sugerowało uczniom, że powinni głosić zmartwychwstanie przedmiotu swego kultu. Jakiś rodzaj nowego życia po śmierci, zapewne, zmartwychwstanie, na pewno nie" – pisał anglikański teolog N.T. Wright.

To teza, którą dokładnie uzasadnia. Pisze, że nigdzie w obrębie całego judaizmu nikt nie utrzymywał, że jakakolwiek konkretna osoba zmartwychwstała. „Gdy starożytni mówili o zmartwychwstaniu, czy to negując je, czy też je potwierdzając, wspominali o dwóch etapach, w których się ono dokona. Zmartwychwstanie było poprzedzone przez przejściowy okres stanu śmierci (tak było też w przypadku Jezusa)". Mowa tu o starożytnych pismach żydowskich, bo dla pogan myśl o ciele, które wracało do życia po śmierci, była zwyczajnie czymś odpychającym.

eprasa.pl f4c7b261e1

Nadzieja biblijnych autorów, która była stała i niewzruszona, ogniskowała się nie na losie ludzi po śmierci, ale na losie Izraela i zachowaniu ziemi obiecanej. Naród i ziemia tego świata były znacznie ważniejsze niż to, co działo się z indywiduum w grobie. Nadzieja narodu polegała przede wszystkim na tym, że lud, nasienie Abrahama, Izaaka i Jakuba, będzie się rozmnażać i rozkwitać.

Z analizy tekstów biblijnych wynika, że, po pierwsze, zmarli „śpią razem z przodkami", po drugie, zmarli mogą zostać „przyjęci" przez YHWH do jakiegoś dalszego życia, po trzecie, co najmniej niektórzy zmarli mogą mieć nadzieję na zmartwychwstanie po takim „życiu po śmierci". Dla współczesnych zatem Jezusowi Żydów wiara w Zmartwychwstanie nigdy, podkreślę to raz jeszcze, nigdy, nie wiązała się z przekonaniem, że ktoś konkretny powstanie z martwych teraz, w tym świecie, w tym miejscu, w środku czasów.

Zmartwychwstanie oznaczało życie po „życiu po śmierci"; była to przyszła nadzieja na życie po śmierci, która realizowała się niejako w dwóch etapach. Pierwszy etap to sen w Szeolu, drugi etap to odzyskanie pełni życia wraz z ciałem po Ostatnim Dniu. Tak wyglądała przynajmniej wiara tych Żydów, którzy pozostawali pod wpływem myśli faryzejskiej. Istniała jednak także silna partia przeciwników wiary w jakiekolwiek życie pozagrobowe. Saduceusze zaprzeczali zmartwychwstaniu, a także wierze w istnienie stanu pośredniego po śmierci; nie negowali istnienia aniołów lub duchów, ale przeczyli, że zmarli znajdowali się w stanie, który przypominał życie aniołów lub duchów.

Nie dysponujemy zatem, powtórzę raz jeszcze, żadnym tekstem żydowskim wcześniejszym od Nowego Testamentu, który wspominałby o powstaniu z martwych do życia konkretnej, historycznej postaci. To samo milczenie spowija sprawę ciała zmartwychwstałego. Nigdzie nie znajdziemy żydowskich tekstów, w okresie sprzed roku 70 po Chrystusie, które zawierałyby dyskusję na temat tego, na ile przyszłe ciało będzie podobne lub niepodobne do obecnego. Taka dyskusja mogła się pojawić dopiero w latach 50. po Chrystusie, bo też dopiero wtedy znalazła się dla niej podstawa w samym fakcie Zmartwychwstania. Jeśli już pojawia się rozważanie przyszłego losu zmarłych, to wyraża się ono w języku tradycji greckiej.

MIĘDZY HADESEM A NIEŚMIERTELNĄ DUSZĄ

Chrześcijaństwo zrodziło się w świecie, gdzie jego podstawowa nauka była powszechnie uznawana za fałszywą. Wielu wierzyło, że zmarli nie żyją, poza judaizmem nikt nie wierzył w zmartwychwstanie.

Cyceron wyraża powszechne przekonanie Greków i Rzymian: ciało stanowi więzienie – pisał starożytny nauczyciel. Dla niego i jemu podobnych zmartwychwstanie nie było niczym pożądanym. Ci, którzy podążali za Platonem lub Cyceronem, nie chcieli po śmierci ponownie być w ciele; ci, którzy szli za Homerem, wiedzieli, że go nie otrzymają – pisał Wright. W tych kilku zdaniach brytyjski teolog streszcza powszechne podejście pogan do kwestii życia pozagrobowego. Dla tradycji platońskiej ciało było grobem, z którego po śmierci mogła się uwolnić dusza. Stąd popularne powiedzenie: soma (gr. ciało) sema (gr. grób). Z tego punktu widzenia cielesne zmartwychwstanie mogło budzić jedynie odrazę: po co dusza, a więc to, co wyższe i nieśmiertelne, miałaby się wikłać, brudzić i wracać do swego więzienia?

Po nieskończenie długiej wędrówce przez różne ciała (według Platona także zwierzęce) można było uzyskać wyzwolenie, ale jedynie całkowicie porzucając ciało. Wielu filozofów przyjmowało teorię metempsychozy, czyli transmigracji lub reinkarnacji dusz. Celsus, pierwszy znany i zarazem najbardziej zaciekły wróg Kościoła, myślał, że taka jest podstawa chrześcijańskiej wiary w zmartwychwstanie. Ponieważ dla Platona, tak jak w naukach hinduistów i buddystów, powrót do ucieleśnionej egzystencji oznacza, że dusza raz jeszcze wchodzi do swego rodzaju więzienia, ostatecznym celem nie jest wybór właściwego przyszłego życia w kolejnym rozdaniu, ale całkowita ucieczka z cyklu. Ci zatem, którzy w starożytności wierzyli w życie duszy po śmierci, nie pragnęli powrotu do ciała. To, co cielesne, było ograniczające. Ciało brukało, ograniczało, pętało. Po co zatem myśleć o powrocie do niego? Wszystkie argumenty, które Platon zebrał na rzecz nieśmiertelności duszy w „Fedonie", opierały się na przeciwstawieniu aktywności umysłu ciału.

„Wykształceni poganie przyjmowali jedynie opowieść o podróży duszy do Nieba: dusza umysł uwolniona od swego ziemskiego, przemijającego ciała – »grobu duszy« – pozostawiała za sobą wszelkie ciężary ziemskie i zmierzała ze sfery podksiężycowej ku słońcu, a potem ku niebiańskiemu eterowi" – pisał niemiecki historyk Martin Hengel. Autor przytacza liczne teksty greckie i rzymskie, które pokazują wiarę w nieśmiertelność duszy, kiedy ta już uwolniła się od ciała. Inaczej niż dla nas dzisiaj poganie przeciwstawiali sobie wiarę w nieśmiertelność duszy i chrześcijańską nadzieję na zmartwychwstanie ciał. Dla wielu współczesnych to jedno i to samo: kto wierzy w nieśmiertelność dusz, zakłada, że wcześniej czy później nastąpi ich powrót do ciał. Jednak poganie odrzucali taką nadzieję. Albo nieśmiertelność dusz, albo powstanie ciał z martwych – mówili. Albo, co też uznawało wielu, nic.

Niechęć do ciała jako miejsca obecności ducha doskonale pokazuje Hengel, cytując wielu rzymskich i greckich autorów z okresu przed narodzinami Chrystusa. Cyceron choćby jednoznacznie podkreśla, pisząc o ubóstwieniu Herkulesa i Romulusa: „Nie ich ciała zostały wyniesione do Nieba, gdyż natura nie pozwala na to, żeby to, co pochodzi z Ziemi, nie pozostało na Ziemi". Wyniesienie ciała do nieba, uwielbienie ciała, byłoby sprzeczne z naturą, tak jak postrzegali ją poganie. Jak już pisał jasno Pindar, podkreślał Hengel, boska, nieśmiertelna dusza przychodzi od bogów i wraca do nich, ale „nie z ciałem, lecz wtedy, gdy jest całkiem oddzielona i uwolniona od ciała, całkiem czysta, bezcielesna i święta". Gdyż sucha dusza jest według Heraklita „najlepsza i odfruwa od ciała niczym błyskawica z chmury […]. Nie powinniśmy zatem wbrew naturze wysyłać do nieba ciał dobrych wraz z ich duszami". Z wielu przykładów wynika wyraźnie, że w przeciwieństwie do starszych mitów, kiedy to cielesne porwanie do świata bogów mogło być udziałem największych herosów, „we wczesnym okresie pryncypatu zniszczenie ciała fizycznego było koniecznym warunkiem przyjęcia

eprasa.pl f4c7b261e1

do boskiego świata" – dowodzi Hengel. Gdyby zatem chrześcijanie kierowali się logiką i gdyby chcieli postępować tak jak Józef Flawiusz, a więc przekazywać swoje posłanie Rzymianom, posługując się językiem pogan, nigdy nie wpadliby na pomysł, by mówić o oczekiwanym Władcy świata, który powstał w ciele ze zmarłych. Nigdy, przenigdy.

WSTYDLIWY PRZEKAZ

Gdyby jakaś ich grupa planowała dotrzeć do pogan, zdobyć ich dla siebie, zbudować, jak to się dziś mówi, dobry wizerunek, nigdy nie mówiłaby o pustym grobie, o powstaniu z martwych. Wiedzieliby bowiem, że głosząc takie posłanie, wzbudza jedynie litość i pogardę. Mówiliby o tym, że dusza Jezusa wzniosła się do Nieba, opowiadaliby o tym, że widzieli, jak się unosi w górę, dowodziliby, że porzuciła ona ciało, które to albo naturalnie zniszczało, albo zostało przez nich samych uroczyście spalone. Gdyby chcieli zdobyć serca pogan, głosiliby coś zupełnie innego. Inaczej: gdyby mieli jakąkolwiek swobodę i mogli wybierać strategię, nie mówiliby o powstaniu z martwych ciała. Tyle że jej nie mieli. Przekazywali to, co otrzymali, a otrzymali to, co powiedział sam Bóg.

Poganin Celsus, używając drwin i karykatur, bezpardonowo atakował chrześcijańską nadzieję na Zmartwychwstanie. Pisał, że to jest „nadzieja robaków", gdyż „jakaż to dusza miałaby pożądać ciała w stanie rozkładu"? Ta absurdalna nadzieja oznacza faktycznie bluźnierstwo, gdyż Bóg „nie może czynić rzeczy obrzydliwych ani też chcieć czegoś wbrew naturze". A rzeczą obrzydliwą byłoby złączenie tego, co czyste i nieśmiertelne, duszy, ponownie z ciałem, materialnym, ograniczonym, nieczystym. „Ludzie, którzy wyznają taką wiarę, są splątani łańcuchami z ciałem i nie warto z nimi dyskutować". Gniew i pogarda Celsusa są zrozumiałe, przemawia przez niego wielowiekowa tradycja pogańskiej wrogości wobec ciała. Takich tekstów można przytaczać multum. Wniosek jest nie do podważenia: chrześcijańska wiara w powstanie Chrystusa z martwych nie mogła się narodzić i rozwinąć w środowisku pogan.

Dla chrześcijan odrzucenie cielesnego zmartwychwstania było tym samym, czym sprzeciw wobec biblijnego przekazu o Stworzeniu z Księgi Rodzaju (Rdz 1, 2), i negacją stwórczej wszechmocy Boga. Przez stworzenie człowieka czymś dobrym stała się też materia, tzn. glina, z której został uformowany człowiek, a przez Wcielenie, kiedy to Logos stał się ciałem, J 1, 14, została ona wręcz uświęcona – pokazywał Hengel. To, co poganie ze wstrętem odpychali, pierwsi chrześcijanie uważali za pierwotną zasadę świata: ciało nie jest samo w sobie złe, nie jest więzieniem i grobem duszy, ale jej domem.

Ta ich wiara nie była jednak efektem spekulacji, nie stanowiła nowej interpretacji ogólnych wierzeń żydowskich – była tym, czym była, jedynie wskutek faktu, który starali się opisać. Dla większości starożytnych powrót po śmierci w ciele oznaczałby, że dusza nie dosięgła swego celu. Byłby to dla niej powrót do więzienia. Dla wierzących w Zmartwychwstanie odwrotnie – to jest dla wielu Żydów i praktycznie wszystkich chrześcijan – nowe, ucieleśnione życie jest tym, co wytęsknione, i tym, co należy czcić. To jest absolutnie fundamentalna różnica. Świat pogański na wiarę w Zmartwychwstanie, tak długo, jak docierała ona do niego za pośrednictwem Żydów, był całkowicie głuchy. Przeciwnie, to najświatlejsi Żydzi, tacy jak Filon z Aleksandrii lub Józef Flawiusz, przekładali terminy żydowskie na greckie, przejmując ostatecznie język i wyobraźnię grecką.

Gdyby grupa chrześcijan planowała dotrzeć do pogan, nigdy nie mówiłaby o pustym grobie, o powstaniu z martwych

ANI ALCESTA, ANI APOLONIUSZ

Pozostali byli przekonani, że Hades to miejsce posępne, mroczne, pełne nieszczęścia, gdzie dusze przebywają niejako w półśnie. Znalezienie się tam było największym nieszczęściem. Śmiało można powtórzyć za Wrightem: nigdzie w całej tradycji pogańskiej, nawet gdy sięgnie się do mitów, nie znajdzie się opowieści przypominającej Dobrą Nowinę chrześcijan. Wprawdzie opowieść o Alceście jest fascynująca, ale trudno przyjąć, że jest dowodem wiary w zmartwychwstanie. Alcesta rzeczywiście wraca ze świata zmarłych do cielesnego życia. Zapewne umrze znowu, jak Łazarz w Ewangelii wg św. Jana, ale i tak opowieść o niej jest wystarczająco ważna, bo to jedyna taka historia o powrocie z zaświatów, którą przekazał cały świat starożytny – pisze Wright. To wszystko, co miała do przekazania mądrość pogańska.

Mit o Alceście, córce króla Tesalii Peliasa, żonie Admeta, w żaden sposób nie mógł jednak przyczynić się do rozwoju wiary chrześcijańskiej w Zmartwychwstanie. Alcesta kochała męża tak bardzo, że gdy ten rozgniewał Artemidę i miał zostać ukarany śmiercią, Alcesta zażyła truciznę i w ten sposób zapłaciła za jego przestępstwo własnym życiem. Według legendy wtedy do Hadesu zstąpił Herakles, pokonał boga Tanatosa i zwrócił na nowo żywą Alcestę Admetowi. Łatwo zauważyć, że jest to piękna opowieść o wierności małżeńskiej i oddaniu żony. Nie nadaje się jednak do roli pierwowzoru dla ewangelicznych przekazów o Chrystusie. To samo dotyczy pogańskich opowieści z okresu po Chrystusie.

Nawet najbardziej podobny do Niego bohater, którym wielu zdawał się być Apoloniusz z Tiany, żyje po śmierci jako dusza, a nie w ciele. Zjawia się we śnie i nie udaje, że ma ciało. W „Życiu Apoloniusza" wyraźnie też widać starą pogańską mądrość: to dusza jest nieśmiertelna. Gdy znika ciało, mknie ona niczym rączy wierzchowiec, by zmieszać się z eterem, świetlistym powietrzem. Zresztą, jak pokazałem wyraźnie w książce „Kto fałszuje Jezusa?", „Życie Apoloniusza" powstało sto kilkadziesiąt lat po Ewangeliach i zostało napisane na zlecenie przeciwników chrześcijaństwa z kręgu Sewerów, dynastii panującej w Rzymie pod koniec II i na początku III w. Ale nawet w „Życiu Apoloniusza" nie ma mowy o cielesnym zmartwychwstaniu!

Co myślano zatem o tym, kim byli zmarli, w starożytności? Były to byty, które niegdyś były wcielonymi istotami ludzkimi, ale stały się duszami, cieniami lub eidola. Gdy wcześni chrześcijanie mówili o tym, że Jezus powstał z martwych, naturalne znaczenie tego twierdzenia w całym świecie starożytnym było

eprasa.pl f4c7b261e1

takie, że z Jezusem stało się coś, co nie wydarzyło się z nikim innym. Zmarłym mogło przytrafiać się wiele, zmartwychwstanie nie.

BÓG NIE POWSTAJE Z MARTWYCH

Również wiara wczesnych chrześcijan w to, że Jezus był w pewnym sensie Bogiem, nie może być przyczyną wiary w Jego Zmartwychwstanie. Oprócz starych opowieści jak historia Liwiusza o Romulusie ci, którzy stawali się bogami w kulturze pogańskiej, w większości mieli groby albo znane i czczone, albo symboliczne, zanim, co naturalne, ich ciała nie spłonęły na stosie pogrzebowym. Ubóstwienie nie pociągało za sobą zmartwychwstania.

Przeciwnie: warunkiem ubóstwienia było pozbycie się ciała i zwłok. Bóg nie mógł przywdziać z powrotem zwłok. Nowina o Bogu, który powstał w ciele, mogła budzić jedynie politowanie. W świecie pogańskim status bogów mogli zyskać wielcy bohaterowie i wodzowie, zaczynając np. Juliusz Cezar, również jego następca, August, i kolejni władcy imperium. Nikomu nie przychodziło jednak do głowy, żeby łączyć boskość i cielesne powstanie z martwych. Przeciwnie: zwłoki boskich cezarów płonęły na stosach, a ich dusza oddalała się ku niebu, raz na zawsze żegnając się z ziemskim padołem. Podobnie nie ma mowy o tym, by Dobrą Nowinę wyprowadzić z egipskich opowieści o pośmiertnych losach Ozyrysa. Jak celnie pisali dwaj autorzy, Habermas i Licona: „Starożytny egipski kult Ozyrysa jest jedyną poprzedzającą chrześcijaństwo opowieścią o bogu, który przeżył śmierć […]. Jednak powrót Ozyrysa do życia nie był zmartwychwstaniem, lecz zombifikacją".

Wszystkie te rozważania prowadzą do niepodważanej konkluzji: zarówno dla Żydów współczesnych Jezusowi, jak i dla pogan myśl o tym, że ktokolwiek mógłby po swojej śmierci wrócić do życia w przeminionym, chwalebnym ciele w środku czasów, była czymś niewyobrażalnym. Nie niemożliwym, bo jak się miało okazać, to się naprawdę stało, ale właśnie niewyobrażalnym. Nikt nigdy nigdzie i w żaden sposób po swojej śmierci nie powstał z martwych do nowego życia. Tak jak nie sposób sobie było wyobrazić, na czym miałoby polegać nowe stworzenie, tak samo nie można sobie było wyobrazić, a więc unaocznić, przedstawić, jak ktoś, kto nie żyje, miałby ożyć w tym samym ciele i jednocześnie całkiem przemieniony.

Tylko sam Bóg mógł przełamać ludzki opór przed przyjęciem za prawdziwe tego, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło

Dopiero jeśli sobie to uzmysłowimy, zobaczymy, w jak rozpaczliwej sytuacji znajdują się racjonaliści. Całość ich rozumowania opiera się na przyjęciu, że chrześcijańska opowieść o Zmartwychwstaniu jest jedynie powtórzeniem, może nieco innym i zmodyfikowanym, ogólnego przekonania ludzkości. Że opowieść o powstaniu z martwych Jezusa poprzedziły inne podobne, dzięki czemu dopiero mogła powstać wiara Kościoła. Otóż nie ma takich innych.

Nie ma w przeszłości żadnego budulca, który mógłby posłużyć ludziom, czy to uczniom Jezusa, czy to towarzyszącym Mu kobietom, czy to wreszcie sympatykom dla wzniesienia gmachu wiary w Zmartwychwstanie. Nikt z nich nie mógł tego wymyślić. Albo inaczej: nawet gdyby komuś zaświtała w głowie podobna idea, gdyby ktoś sam z siebie wpadł na taki pomysł i podzielił się nim z innymi, zostałby uznany za szaleńca. Tak, przed rokiem 30, przed tym brzaskiem niedzieli kwietniowej roku 30 po Chrystusie, gdy prefektem Judei był Poncjusz Piłat, arcykapłanem Kajfasz, tetrarchą Galilei Herod Antypas, a w Rzymie sprawował rządy cesarz Tyberiusz, nikt nigdy nie słyszał wieści o tym, że jakikolwiek człowiek, a tym bardziej skazaniec zmarły na krzyżu, stracony na mocy prawomocnego wyroku, wyklęty przez swój lud za bluźnierstwo, miał wyjść z grobu w swoim własnym ciele, dodatkowo przemienionym.

To się nie mieściło w głowie. To musiało, gdy pierwszy raz o tym usłyszano, budzić powątpiewanie i lekceważenie. Pisał Tacyt, że to z Judei przybywa do Rzymu wszelki zabobon – i tak musiała w oczach Rzymian wyglądać opowieść o Chrystusie. Innymi słowy: żeby taka wiara została przyjęta i żeby była głoszona, i żeby dla niej ktoś gotów był umrzeć, musiała być oparta na bardzo mocnych, niezbitych dowodach.

Chrześcijańska wiara mogła pojawić się jedynie pod następującymi warunkami. Po pierwsze, uczniowie musieli mieć pewność co do śmierci Jezusa. Tego faktu nikt nie podważał. Zbyt liczni byli naoczni świadkowie i zbyt znana była historia jego stracenia z oskarżenia Żydów przez Piłata. Po drugie, musieli mieć pewność co do tego, że Jego grób, tam, gdzie złożono zwłoki zdjęte z krzyża, był po trzech dniach pusty. Żydzi nie mogli wyobrazić sobie bezcielesnego zmartwychwstania. W ich oczach był to oksymoron. Jeśli ktoś powstał z martwych, to tylko we własnym ciele albo wcale. Jeśli w grobie byłyby zwłoki, to mowa o zmartwychwstaniu byłaby niemożliwa. Po trzecie, musieli mieć pewność, że Tym, kogo widzieli, z kim rozmawiali, był ten sam Jezus z Nazaretu, którego znali przez lata ziemskiego nauczania. Musieli być pewni, że ma On tę samą tożsamość. Że się nie mylą. Musieli być przekonani, że nie mylili się i nie popełnili błędu. Wreszcie, po czwarte, że ten Chrystus nie tylko jest tym samym ziemskim Jezusem, lecz także w ścisłym tego słowa znaczeniu Panem i Bogiem, któremu należą się cześć i chwała, i pokłon.

Tylko sam Bóg swoim Słowem mógł przełamać naturalny ludzki opór przed przyjęciem za prawdziwe tego, co nigdy wcześniej i w stosunku do nikogo się nie zdarzyło, tego, o czym nikt nie marzył i sobie tego nie wyobrażał, tego, co nie pojawiło się w najbardziej rozpalonej wyobraźni. Tylko Bóg mógł też, po piąte, przemienić serca uczniów, bojaźliwych, słabych, niepewnych, nierozumnych, wątpiących, i uczynić z nich niezłomnych świadków, wolnych od strachu i obaw, gotowych stawić czoła wszystkim potęgom tego świata. Historyk musi dostrzec tę przemianę i przyjąć dla niej adekwatną przyczynę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst oparty jest na fragmencie książki „Prawdziwie zmartwychwstał. Śledztwo w sprawie najważniejszego wydarzenia w historii", która ukazała się nakładem wydawnictwa Fronda.

eprasa.pl f4c7b261e1

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA O POLSKĘ

Operacja „Unthinkable" – Supertajny brytyjski plan ataku na Związek Sowiecki

Wyklęci w oczekiwaniu na pomoc – Polacy mieli przystąpić do walki z krasnoarmiejcami, gdy na wschód będą zmierzały alianckie jednostki

Złoto Decebala – Na początku naszej ery na terenach dzisiejszej Rumunii panował przebogaty władca, którego poczynania przyprawiały o ból głowy rzymskich cesarzy

Odyseja Wielkiego Treku – Biali z RPA wciąż pamiętają o bohaterskich wyczynach voortrekkerów sprzed niemal 200 lat

Amerykański sen Stalina – Udział firm z USA w budowie sowieckiego przemysłu był kluczowy dla rozwoju ZSRS

Przekleństwo Medyceuszy – Dynastia rządząca Toskanią degenerowała się w zastraszającym tempie. Ostatni członkowie rodu w niczym nie przypominali swoich przodków

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl f4c7b261e1

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Z Józefem Orłem, filozofem i ekonomistą, założycielem Klubu Ronina
rozmawia Karol Gac

PiS odkleił się od rzeczywistości

KAROL GAC: 7 kwietnia odbędą się wybory samorządowe. Jakiego wyniku PiS pan się spodziewa?

JÓZEF ORZEŁ: Słabego. W ostatnich wyborach PiS miał samodzielną większość w ośmiu sejmikach, ale teraz pewne jest tylko województwo podkarpackie, dwa zaś są wahające – małopolskie i lubelskie. PiS nie obudził się po wyborach parlamentarnych. Po pierwsze, od razu po tych wyborach nastąpiła niedobra zmiana, gdy Jarosław Kaczyński powrócił do starej struktury partii z 16 szefami wojewódzkimi oraz Warszawą i zlikwidował podział aparatu PiS na 100 okręgów, czyli tak jak do Senatu. To krok niedobry, ponieważ to nie sekretarze – szefowie tej setki – są winni, że PiS nie rządzi. Zresztą oni wskazywali, że baronowie wojewódzcy tworzą własne imperia i układy, które nie wspierały aparatu partii na poziomie lokalnym. Teraz powróci jeszcze mniejsza aktywność. Nie da się więc osiągnąć dobrego wyniku w wyborach samorządowych, jeśli na tym poziomie aparat przestaje działać.

Drugi powód słabego wyniku to fakt, że PiS znajduje się na równi pochyłej, której pierwszym etapem były wybory parlamentarne. Teraz będzie zjeżdżał jeszcze niżej i pytanie, gdzie i kiedy się zatrzyma. Wiemy kiedy – w momencie, w którym przyklei się ponownie do rzeczywistości, bo na razie się odkleił. Tylko to oznacza, że przegrane będą też wybory do Parlamentu Europejskiego. PiS postawił w kampanii – wyjątkowo do samego końca – na twardy elektorat, a on nie wystarczy do wygranej, zwłaszcza w wyborach prezydenckich.

eprasa.pl f4c7b261e1

Trzeba wrócić do szukania większości, bo obecnie PiS stał się partią mniejszościową.

Szef gabinetu prezydenta Marcin Mastalerek powiedział w wywiadzie dla Radia Zet, że na początku kampanii samorządowej PiS miał „wielkie szanse na wygranie i zrobienie bardzo dobrego wyniku", ale zmienił zdanie po opublikowaniu list do sejmiku łódzkiego. Jego zdaniem PiS wystawił bardzo słabe listy, a „wyborcy głosują na ludzi", a nie na partie. Zgadza się pan z tym?

Wyborcy rzeczywiście głosują na ludzi w wyborach gminnych i powiatowych, ale nie do sejmików wojewódzkich, bo tam głosują na partie. Jeśli chodzi o listy PiS, to rzeczywiście są one słabe, ale dzieje się tak dlatego, że układali je baronowie według swoich interesów. Problem w tym, że listy PiS do PE też są słabe, a układało je już ścisłe kierownictwo partyjne.

Wielu kandydatów PiS postanowiło schować szyld partii. To pomoże?

Szyldy partyjne chowa się przede wszystkim w wyborach gminnych i powiatowych. Zaczęło się to bardzo dawno temu, choć PiS akurat zawsze starał się iść wszędzie pod swoim sztandarem. To był pokaz tego, że PiS traktuje wybory samorządowe jak plebiscyt partyjny, mimo że większość chowała sztandary partyjne.

Czy nie jest trochę tak, że PiS poddaje te wybory po prostu walkowerem? Kampanii właściwie nie widać, a większość kandydatów PiS na prezydentów największych miast jest praktycznie nieznana. Trudno, by kilka tygodni sprawiło, że uzyskają wysokie wyniki.

To jest coś, czego kompletnie nie rozumiem. PiS, nie wiadomo dlaczego, uważa, że jeśli nie może wygrać w wyborach w wielkich miastach, to pokazanie tam znanego polityka jeszcze bardziej zaszkodzi. Tylko w PiS zapominają, że w tych miastach mają 20–40 proc. swoich wyborców, więc należałoby dla nich wystawiać wyraźnych kandydatów. W ten sposób osieroca się swoją publiczność.

Spójrzmy na Warszawę. Tobiasz Bocheński byłby bardzo dobrym kandydatem na budowanie tożsamości mniejszości propisowskiej w stolicy oraz działania na przyszłość. Musiałby mieć tylko czas na kampanię, więc powinien być wystawiony dwa lata temu, a nie teraz. Część mieszkańców miast, którzy nie zauważą kontrkandydata z PiS dla swoich prezydentów, może już w wyborach prezydenckich i parlamentarnych nie pójść na wybory. Tu się mści takie niesamorządowe podejście PiS. Widać, że Jarosław Kaczyński na ostatniej konwencji samorządowej zmienił swoje nastawienie, ale za późno, a sam przeskok był zbyt gwałtowny i nie wyglądał na naturalny. Poza tym nie pojawił się już więcej. Niestety, w samym PiS nie ma żadnej debaty na temat tego, czym jest samorząd w państwie i jak rząd powinien z nim współpracować.

Czy ten spodziewany słaby wynik PiS w nadchodzących wyborach przyspieszy zmiany wewnątrz partii? Samorządy są przecież zapleczem dolnego aparatu, więc utrata posad wzbudzi jego niezadowolenie.

To prawda. Tym bardziej że osłabi to również baronów wojewódzkich, a także szefa partii. Sądzę, że debata o kondycji i błędach PiS odbędzie się dopiero po przegranych eurowyborach. Sami kandydaci do PE mówią o tym, że PiS dostanie ok. dziewięciu–dziesięciu mandatów mniej, a to byłaby klęska. Zwłaszcza że wybory do PE u nas nie mają wymiaru europejskiego, ale niemal wyłącznie krajowej wojny międzypartyjnej.

Załóżmy, że spełnią się pana prognozy dotyczące wyników wyborczych. Czego się pan w ich efekcie spodziewa? Wstrząsów wewnętrznych w obozie Jarosława Kaczyńskiego, zakończonych np. odłączeniem się Suwerennej Polski? A może jakiegoś innego wariantu?

Suwerenna Polska straciła lidera i go nie odzyska. To partia bardzo radykalnej diagnozy rzeczywistości, a zarazem bez żadnej praktyki w polityce europejskiej. Dla Polski to bez różnicy, czy pójdzie ona sama czy też nie, ale jeśli pójdzie, to się do niej doklei małe skrzydełko, które wyjdzie z PiS. To nie służy zadaniu zbudowania większości. To, czego PiS brakuje, to stałe nastawienie prawicowo-centrowe, a nie skrajnie radykalne. Był nawet taki pomysł w PiS, który na razie umarł, aby zebrać umiarkowanych polityków, wystawić ich na zewnątrz, a następnie ogłosić, że to sojusznik PiS.

Tylko herbata nie zrobi się słodsza od mieszania.

To prawda. Moja diagnoza sytuacji partyjnej jest podobna do tej prof. Andrzeja Nowaka. Nie zgadzam się jednak z receptą, czyli odsunięciem Jarosława Kaczyńskiego. W tej chwili, przy tej strukturze osobowej, którą ukształtował prezes PiS, czyli takiej, która daje mu pełnię władzy.

Powiedzmy sobie wprost: bez niego wybuchłaby wojna domowa w PiS.

Dokładnie. Skutkowałoby to rozbiciem na poszczególne frakcje, które wzajemnie by się pozagryzały.

Tylko czy w związku z tym PiS nie jest obecnie w położeniu, które można określić hasłem: „Z Jarosławem Kaczyńskim źle, ale bez niego nie lepiej"?

Tak. Tylko, kto może tę partię dokleić do rzeczywistości? Wyłącznie ten, kto prowadził ją, gdy się odklejała. W takim razie to Jarosław Kaczyński musi partię posprzątać i ustanowić swojego następcę, którego ta zmieniona partia przyjmie. Program PiS i następca prezesa muszą odpowiadać życzeniom większości Polaków. Samo wskazanie następcy skończyłoby się wojną wewnętrzną, więc prezes Kaczyński musi przygotować swoje zastępstwo i następstwo, a tego się nie robi z zewnątrz. Potem prezes Kaczyński, aby zapewnić bezpieczeństwo partii, musi otrzymać pozycję honorowego prezesa, ale z prawem weta, by PiS nie poszedł tam, gdzie nie powinien. Trzeba myśleć o następcy, jako kimś, kogo stać na przynajmniej 10-letnie kierowanie partią. Przed Jarosławem Kaczyńskim jeszcze długi czas, bo zmiana PiS i przygotowanie następstwa mogą potrwać dwa–trzy lata.

Tylko czy biorąc pod uwagę kwestie, o których mówił pan chwilę temu, to jednocześnie nie tworzy ryzyka, że przez tych kilka lat PiS tak się osunie na tej równi pochyłej, że będzie cieniem samego siebie?

Mogłoby tak być, gdyby nie to, że musimy wziąć pod uwagę szerszą perspektywę – zakończenie wojny na Ukrainie, układ między UE a Rosją na warunkach Moskwy i centralizację Unii, bo tak sobie życzą Niemcy, a USA im ulegają. Jeśli PiS dalej będzie odklejony od rzeczywistości, to elektorat zrobi z nim to, co robi elektorat, czyli znajdzie sobie inną partię suwerennościową. Nie będzie z tym żadnego problemu, bo życie polityczne nie znosi próżni. Natomiast ciekawe jest to, że ta próżnia już powstała i elitarna część

eprasa.pl f4c7b261e1

społeczeństwa nie tylko ją zauważyła, lecz także nawet w nią weszła.

To znaczy?

Stworzyła ruch obrony CPK. To najlepsza diagnoza tego, co stało się w wyborach parlamentarnych. PiS stracił władzę, więc nie ma opiekuna i wykonawcy dużych inwestycji. Część elektoratu widzi, że nowy rząd nie będzie niczego robił. Tym bardziej że te inwestycje są niezgodne z interesami niemieckimi. W związku z tym zaczęto ich bronić. To ruch profesjonalistów, którzy wiedzą, co to są kolej i lotnisko. Oni natychmiast zrozumieli, że trzeba działać.

Co przyniesie logika rozwoju tego ruchu? Gdy się broni CPK, inteligentny człowiek widzi, że te same kręgi przeciwników i zwolenników są przy innych inwestycjach, jak elektrownie atomowe, rozwój portów i budowa nowych, 100 obwodnic, modernizacja wojska i wielkie zakupy zbrojeniowe, rozwój zbrojeniówki i krytycznych sektorów gospodarki itd. To oznacza ruch obrony suwerenności Polski, a stąd już blisko do powstania ruchu politycznego, który może się stać kandydatem na koalicjanta PiS albo rywalem, jeśli PiS nie wróci na drogę budowy partii większościowej.

Podczas naszej ostatniej rozmowy powiedział pan, że nie widzi zbyt dużej ochoty w PiS do zmiany. Teraz ją pan widzi?

Nie, nie ma jej nadal.

Zmieńmy zatem stronę politycznej barykady. W ciągu ostatnich kilku miesięcy nowa koalicja dosyć intensywnie pokazywała swoje prawdziwe oblicze. Spodziewał się pan tego, co się wydarzyło, czy mimo wszystko był pan zaskoczony tempem rozwoju wypadków?

Nie. Zaskoczyła mnie tylko reakcja zdziwionych komentatorów. Donald Tusk chce mieć w państwie, w PO i w całej koalicji taką władzę, którą miał Jarosław Kaczyński. Wyraźnie mówi, że nie jest graczem w skali Polski, ale Unii Europejskiej. Jeśli tak, to koalicja ma prowadzić taką politykę, by go wspierać w tej grze, żeby mógł prowadzić jednoosobowe negocjacje z Brukselą i Berlinem. Warunkiem jest to, żeby doprowadził na stałe, by Polska nie była przeszkodą w nowym układzie z Rosją oraz centralizacji UE, czyli przeszkodą dla polityki niemieckiej.

Jednak pierwszy problem pojawił się za sprawą protestów rolników. Bruksela chce odejść od europejskiego rolnictwa, którego kształt zresztą sama wymyśliła. Celem jest to, by wielkie firmy i fundusze wykupiły ziemię rolników i założyły tam wielkopowierzchniową produkcję, a tych rolników zatrudniły w tych unijnych PGR-ach jako siłę roboczą. To jest część planu marginalizacji klasy średniej w Europie, a to samo dzieje się w USA, bo wtedy można zrobić wszystko ze społeczeństwem. Jeśli niczego się nie posiada, to nie ma czego i jak bronić.

Z tych protestów rolników można ułożyć komiks: 1) Tusk ostrzega komisarza Wojciechowskiego, by nic nie popsuł, bo sam negocjuje z KE. 2) Wojciechowski odpowiada, że Tusk niczego nie wynegocjuje, bo to on, Wojciechowski, właśnie przygotował świetną propozycję zmian w Zielonym Ładzie. 3) KE zawiadamia, że propozycja Wojciechowskiego jest jego prywatną propozycją, a KE uważa, że Zielony Ład da się pogodzić z interesem rolników, więc nie musi iść na żadne ustępstwa, a rządy muszą same załatwić sprawę ze swoimi rolnikami. 4) To strategiczna klęska Donalda Tuska, musi się podporządkować polityce unijnej i stąd pałowanie rolników na proteście w Warszawie. 5) Zadowolona KE udaje więc, że idzie na ustępstwa i wycofuje (czasowo) nakaz ugorowania. Wyprowadza kozę z mieszkania, którą wcześniej sama wprowadziła, a krytyczna sytuacja w naszym wspólnym mieszkaniu unijnym pozostaje, jaka była. Nadal będzie prowadzony import rolny z Ameryki Południowej, z Ukrainy, Rosji i Białorusi, bez standardów unijnych, czyli nadal rolnictwo UE będzie – na rozkaz KE – przegrywało z importem nieuczciwej konkurencji. 6) Zielony Ład musi się skończyć tym samym, co inne polityki europejskie – więcej władzy dla unijnej władzy, mniej wolności i zamożności dla społeczeństwa. Jeśli wygra centralizacja, to i wybory krajowe będą miały mniejsze znaczenie.

Co na to koalicjanci Tuska?

Jednym z głównych kierunków polityki koalicji są w miarę brutalne, wcześniej zaplanowane działania przeciwko PiS – audyty, komisje, rozliczenia, a w końcu procesy i więzienia. Jednak jak długo może trwać taki cyrk? Dopóty, dopóki jest chleb. Tyle że rządy PO charakteryzowały się marnotrawstwem pieniędzy, więc ich zabraknie. Zresztą już brakuje, bo ogłoszono powrót do 5 proc. VAT na żywność tydzień przed wyborami. To oznacza, że koalicja już sobie lekceważy i wyborców, i opozycję. Uważa, że i tak wszystko wygra.

Tusk pewnie sobie założył, że chęć i korzyści z rządzenia dla koalicjantów będą większe niż polityczne koszty, ale muszą się liczyć z ryzykiem, że ich własny elektorat od nich odejdzie. Interesujące jest to, jak Tusk to rozgrywa. Najpierw załatwił Lewicę, która liczyła na to, że pójdzie razem z PO do wyborów samorządowych. Ta więc znów uruchomiła sprawę aborcji i zamiast walczyć z PO, walczy z Hołownią, a więc i z PSL, Tusk zaś tylko patrzy z boku i zaciera ręce. Dla niego sprawa aborcji nie ma zapewne najmniejszego znaczenia. Zresztą być może jego celem jest to, by nic nie było załatwione do końca, by każdy konflikt pozostawał nierozwiązany, by napięcie społeczne rosło.

Wystartuje w wyborach prezydenckich?

Chyba tak, bo wie, że nie ma dla niego miejsca w Brukseli dopóty, dopóki musi pilnować porządku europejskiego w Polsce. A to potrwa kilka lat, zanim nie ułoży się nowy porządek od Władywostoku do Lizbony. Wydaje mi się, że UE przygotowała dla niego pułapkę. Obiecała, że jak wróci i sprawi, że Polska nie będzie problemem, to dostanie nagrodę. Problem polega na tym, że UE nie zmieni swojej polityki rewolucji klimatycznej i genderowej, ale jeszcze będzie w nią dalej brnęła. To oznacza, że Tusk będzie miał coraz większy konflikt z elektoratem.

Czy jednym z celów Tuska nie jest przy okazji wyeliminowanie prawicy z życia politycznego? Jakkolwiek by patrzeć, zerwał z pewnymi niepisanymi zasadami III RP.

To prawda. Granicą jego działań jest powszechny bunt społeczny, a jak się będzie tak rządziło finansami, to czas chleba się skończy i wsadzanie PiS-owców do więzienia nie wystarczy. Tusk może jednak dostać wolną rękę od władz unijnych na takie łamanie demokracji, o jakim jeszcze nie śniliśmy. Włącznie z tym, by uniemożliwić zwycięstwo PiS w wyborach prezydenckich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

Łukasz Warzecha

Ryzykowna propozycja Macrona

Należy uczynić wszystko, aby Polska pozostała poza działaniami zbrojnymi i aby się w sposób czynny do wojny rosyjsko-ukraińskiej nie włączyła

Spośród różnych wypowiedzi z ostatniego czasu, dotyczących wojny na Ukrainie, największe wrażenie zrobiły na mnie nie te pochodzące od polityków, ale jeden z tekstów mojego wielokrotnego oponenta w tych sprawach, Marka Budzisza, opublikowany 15 marca na portalu wPolityce.pl i zatytułowany „Tym razem Emmanuel Macron może mieć rację". Budzisz analizuje w nim obecną sytuację Ukrainy, uznając ją w gruncie rzeczy za fatalną – choć nie używa takiego słowa. Zajmując się kondycją gospodarczą i finansową tego państwa, przyznaje, że nie byłoby ono w stanie finansować swojej bieżącej działalności bez zachodniej pomocy. Zabawne – bo oznacza to de facto, że Ukraina jest państwem ekonomicznie upadłym, kiedy zaś sam na to wskazywałem trochę ponad rok temu, spotkały mnie klasyczne wyzwiska („ruska onuca" itp.).

Najbardziej porażający jest jednak ostatni fragment tekstu autora „Pauzy strategicznej". Tłumaczy on tam, co jego zdaniem motywowało prezydenta Francji do wspomnienia o wysłaniu wojsk państw NATO na Ukrainę. Tu znów uwaga na marginesie: wyjaśnienia Budzisza, dotyczące Francji, a pośrednio także przecież Niemiec, zadają kłam tezie lansowanej uparcie przez komentatorów bliskich poprzedniej władzy, że Niemcy oraz Francja czekają tylko, aż będzie można wrócić do dawnych interesów z Rosją. To nieprawda – i wskazuję na to od dawna. Zarówno w Paryżu, jak i w Berlinie nastąpiło autentyczne zerwanie z koncepcją rosyjskiego kierunku, wzmacniane dodatkowo tym, że rządzące tam siły muszą się odróżnić od największych własnych politycznych wewnętrznych rywali, którzy wciąż z taką koncepcją flirtują, acz nie wprost, a więc Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen i Alternative für Deutschland.

REAKCJA ŁAŃCUCHOWA

Pisze Budzisz, powołując się na dziennik „Le Monde", że zamiarem Pałacu Elizejskiego byłoby wysłanie bardzo ograniczonych, nawet symbolicznych sił do Odessy, czyli łącznika Ukrainy z Morzem Czarnym i tamtejszymi szlakami handlowymi. Miałyby to być siły typu tripwire forces. „Tripwire" to dosłownie drut wyzwalający pułapkę. Tak nazywa się oddziały, których zadaniem nie jest faktycznie wywarcie jakiegokolwiek wpływu militarnego, a jedynie wyzwolenie reakcji łańcuchowej.

Zacytujmy Budzisza: „Chodzi o zbudowanie klasycznych tripwire forces – sił, które jeśli zostaną zaatakowane, to najprawdopodobniej ulegną, żołnierze mogą zginąć i ten fakt zwiększa prawdopodobieństwo zaangażowania się państw trzecich, w tym wypadku członków NATO, w wojnę.

Tego rodzaju ryzyko ma skłonić Putina, tak jak skłaniają siły w państwach bałtyckich, do większej powściągliwości i ograniczenia swych apetytów aneksyjnych.

[...] Jeśli nie będziemy zdolni do choćby rozważenia takiego ruchu, to w efekcie ucierpi również nasza wiarygodność sojusznicza. Bo jaką wartość ma partner, który mając do czynienia z ważnym, własnym interesem strategicznym, boi się wysłania ograniczonego kontyngentu wojskowego w kluczowy region?

To prawda, ci żołnierze mogą zginąć, istnieje takie ryzyko. Ale jeśli uda się dzięki temu odstraszyć Moskali i uniknąć znacznie większej wojny i większych ofiar, to tego rodzaju decyzję odpowiedzialny przywódca powinien być w stanie podjąć, a przynajmniej poważnie rozważyć".

To kluczowy fragment. Możemy założyć, że Budzisz trafnie rozszyfrowuje sekwencję wydarzeń na froncie dyplomatycznym z ostatniego czasu, a więc: alarm ogłoszony najpierw przed spotkaniem w Paryżu przez premiera Słowacji pana Roberta Ficę; potem wypowiedź pana prezydenta Macrona; następnie deklaracje polskich polityków, unikających – nadal – jednoznacznego i całkowicie jasnego stwierdzenia, że Polska na Ukrainę swoich żołnierzy nie pośle; później wspólną wizytę pana prezydenta i pana premiera u Joe Bidena – trudno uwierzyć, aby w jej trakcie nie była omawiana kwestia sytuacji Ukrainy – a na koniec nagłe spotkanie Trójkąta Weimarskiego. Natomiast koncepcja tripwire forces i lekkie potraktowanie możliwego wejścia państw NATO do konfliktu budzą przerażenie.

Tu podkreślić trzeba zastosowany przez Budzisza zwrot: „członkowie NATO", a nie po prostu „NATO". Gdyby bowiem opisany przez publicystę wPolityce.pl plan miał się zrealizować, nie mielibyśmy do czynienia z akcją sojuszu północnoatlantyckiego jako takiego. Używanie w kontekście wejścia na Ukrainę i faktycznego włączenia się do gorącej wojny sformułowań zawierających nazwę „NATO" jest swego rodzaju manipulacją, ma bowiem stworzyć u odbiorców wrażenie, że byłaby to akcja najsilniejszego przymierza wojskowego świata.

Nic podobnego. Na takie przedsięwzięcie z całą pewnością nie zgodziłoby się co najmniej kilku członków sojuszu: Turcja, Słowacja, Węgry, być może także Włochy. Faktyczne przystąpienie do

eprasa.pl f4c7b261e1

wojny niektórych państw NATO – maskowanie tego faktu jako jakiejś „misji pokojowej" nie miałoby podstaw, bo misje wymagają międzynarodowego mandatu, którego tu oczywiście by nie było, nawet ze strony UE – oznaczałoby, że nie działałby tu traktat północnoatlantycki, a więc i artykuł 5. Gdyby zatem nastąpiło odwetowe uderzenie Rosji na któreś z zaangażowanych w tę akcję państw – w tym na Polskę – nie mielibyśmy podstaw, aby domagać się podjęcia działań opisanych w traktacie. O tym aspekcie sytuacji polscy politycy na wszelki wypadek opinii publicznej nie wspominają.

ZAGROŻENIE DLA POLSKI

Budzisz w swoim tekście pomija kwestie niewygodne z punktu widzenia odbioru jego rozważań przez czytelnika. Przede wszystkim to, że opisywana taktyka może spowodować rosyjskie uderzenie na Polskę. Także to, że tego typu konsekwencje oznaczają dla Polski dramatyczne skutki, nawet gdybyśmy mieli do czynienia z atakiem bardzo ograniczonym, wręcz symbolicznym. Polska momentalnie bowiem staje się w oczach zagranicznych inwestorów czy spekulantów walutowych krajem praktycznie zaangażowanym w wojnę. Zobaczylibyśmy bez najmniejszej wątpliwości dramatyczny spadek wartości złotego oraz błyskawiczną ucieczkę inwestycji. Ba, można założyć, że podobny skutek miałoby nawet samo przygotowanie podobnej operacji.

Dezynwoltura, z którą Budzisz kreśli swój scenariusz, przywodzi na myśl niektóre wypowiedzi z początku konfliktu, w tym słynną wypowiedź Józefa Orła sprzed dokładnie dwóch lat, wygłoszoną w Polskim Radiu 24. Założyciel Klubu Ronina oznajmił wówczas, że polscy żołnierze powinni wejść na Ukrainę. I mówił dalej: „Misja pokojowa w zachodniej Ukrainie, która oczywiście zakończy się strzelaniem. Ale rozwińmy ten kierunek. Będzie przeniesieniem tej wojny, a może jej ograniczenia do Ukrainy. To nie jest pewne. Bo jeżeli tam wejdą polskie jednostki, to Rosja oczywiście może uznać, że trzeba jakiś grad rakietowy przyszykować na Polskę […]. To byłoby starcie lotnictwa NATO – przede wszystkim amerykańskiego, ale nie tylko – z rosyjskim i po kilku dniach mielibyśmy niebo NATO-wskie".

Problem leży w tym, że zarówno Budzisz teraz, jak i Orzeł dwa lata temu nie podzielają podstawowego i fundamentalnego założenia, że należy uczynić wszystko, aby Polska pozostała poza działaniami zbrojnymi i aby się w sposób czynny do wojny rosyjsko-ukraińskiej nie włączyła. Wydaje się niestety, że takiego założenia nie podzielają również najważniejsze osoby w polskim państwie. Jako się rzekło, brakuje bowiem twardego, jasnego i absolutnie jednoznacznego zapewnienia, że polscy żołnierze na pewno na Ukrainie się nie znajdą. Wszystkie wypowiedzi – czy to pana premiera, czy pana prezydenta – które do tej pory na ten temat padły, były w pewien sposób – jeśli je dokładnie przeanalizować – warunkowe.

Budzisz nie ustawia jednak swoich rozważań w kontekście znacznie ważniejszym: co mianowicie mielibyśmy osiągnąć i czemu zapobiec, ryzykując przecież nie tylko śmierć naszych żołnierzy, lecz także uderzenie Rosji na Polskę – jako się rzekło, choćby symboliczne, ale realne. To pytanie tym ważniejsze, że pozwala nam ocenić, na ile prawdopodobna może być perspektywa rozszerzenia się wojny poza Ukrainę.

CZEGO CHCE PUTIN?

Tu z kolei kluczowe jest pytanie o plany Putina. Wiadomo oczywiście, że w Polsce od kilkunastu tygodni trwa propagandowa batalia, mająca przekonać społeczeństwo, że atak Rosji na Polskę jest w zasadzie pewny w perspektywie kilku lat. Nie idą za tym jednak żadne konkretne uzasadnienia. Uznajmy zatem, że jest to po prostu próba przyzwyczajania nas przez elitę do tego, że trzeba będzie dokonać czegoś na kształt uderzenia wyprzedzającego, nie zaś ocena realnego planu rosyjskiego prezydenta. Można jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że dla Moskwy niesprowokowane zaatakowanie państwa NATO – niesprowokowane, a więc niepoprzedzone np. włączeniem się tego państwa do wojny na terenie Ukrainy – czyli działanie, które mogłoby uruchomić artykuł 5, byłoby zagraniem skrajnie ryzykownym.

Czy planem Kremla jest całkowita wygrana na Ukrainie? Taką perspektywę kreślą Marek Budzisz i jemu podobni. Musiałoby to jednak oznaczać zajęcie całości terytorium ukraińskiego państwa, co mimo jego trudności i sukcesów Rosjan wydaje się bardzo mało prawdopodobne. Nie tylko na etapie samej inwazji militarnej, lecz także na etapie późniejszej kontroli zajętego, ogromnego terytorium, zamieszkanego w ogromnej części przez wrogą ludność. Czym innym jest wprowadzanie swoich rządów na ograniczonych terytoriach wschodniej Ukrainy, sąsiadujących z już wcześniej zajętymi obszarami Donbasu, gdzie duża część mieszkańców jest rosyjskojęzyczna, a całkiem czym innym pacyfikacja całego ukraińskiego państwa.

eprasa.pl f4c7b261e1

Andrzej Duda i Donald Tusk z wizytą w Białym Domu u Joe Bidena, w którego kampanii prezydenckiej tak istotna jest kwestia ukraińska FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

O co zatem może chodzić? Niektórzy analitycy – taką tezę postawił m.in. włoski geopolityczny think tank Limes – wskazują, że ostatecznym celem Putina jest zagarnięcie ziem z rosyjską większością – a zatem łatwiejszych do kontrolowania – oraz odcięcie Ukrainy od Morza Czarnego. Oznaczałoby to zakończenie inwazji w momencie opanowania szerokiego pasa terytorium ukraińskiego, obejmującego Odessę i dotykającego Mołdowy. Pozostała część Ukrainy byłaby oczywiście mocno niewydolna, pozbawiona swoich obszarów przemysłowych oraz dostępu do jakiegokolwiek portu morskiego. W perspektywie dekady stan tego państwa mógłby sprawić, że władzę przejęliby tam politycy sprzyjający Rosji i we współpracy z nią upatrujący ratunku dla podupadającego kraju. Stąd pomysł Macrona, aby obstawić żołnierzami krajów NATO właśnie Odessę i w ten sposób zablokować ekspansję Rosjan. Chodzi tutaj jednak nie o uratowanie Ukrainy w ogóle, ale właśnie o sprawienie, żeby nie została ona przez Moskwę sprowadzona do państwa kadłubowego.

W tej kalkulacji jest jeszcze jeden czynnik: amerykańskie wybory. Kwestia ukraińska jest istotnym elementem kampanii Joe Bidena. Władimir Putin z pewnością będzie chciał przed listopadem pokazać, że amerykański prezydent zawiódł i że Ukraina nie była dobrą inwestycją. Problem w tym, że Biden jest w kropce. Z jednej strony musi ratować twarz, starając się hamować rosyjskie postępy na Ukrainie; z drugiej nie może w to przedsięwzięcie zaangażować ani zbyt wielkich środków finansowych, również wobec oporu Kongresu, ani tym bardziej ani jednego amerykańskiego żołnierza, bo to mogłoby oznaczać jego wyborczą porażkę. Niestety, może z tego wynikać, że z Waszyngtonu pojawi się presja, aby żołnierzy wysłał kto inny. W tym Polska – np. w zamian za dobre oferty pomocy sprzętowej i współpracy militarnej.

AMBASADOR NA TROPIE ONUC

Symptomatyczna jest w tym względzie agresywna reakcja polskiego ambasadora w USA Marka Magierowskiego na list organizacji polonijnych, wysłany tuż przed wizytą panów Dudy i Tuska. Polonusi z USA ośmielili się bowiem pisać o normalizacji sytuacji i pokoju, a to są pojęcia dzisiaj w Polsce wyklęte. W liście napisano m.in.: „Wielu członków Polonii jest głęboko przekonanych, że NATO powinno pozostać sojuszem obronnym, a nie instrumentem realizacji ambicji geopolitycznych dominujących członków sojuszu. Polska nie może dać się wciągnąć lub być zmuszona do militarnego zaangażowania poza granicami Polski, chyba że najpierw sama zostanie zaatakowana". Wydaje się to całkowitą oczywistością i można by uznać, że w tych słowach nie ma absolutnie nic kontrowersyjnego. Pan ambasador widzi to jednak inaczej. W jego krótkim oświadczeniu czytamy: „Jesteśmy zaniepokojeni treścią i tonem niektórych oświadczeń, odbijających retorykę Kremla […]. W tym kluczowym czasie w historii pozostajemy z przekonaniem, że jedynym sposobem na zapewnienie pokojowej przyszłości dla Europy i wspólnoty transatlantyckiej jest doprowadzenie do strategicznej porażki Rosji w wywołanej przez nią wojnie. Takie podejście cieszy się w Polsce szerokim politycznym konsensusem i poparciem społecznym".

Jak widać, w wyszukiwanie ruskich onuc włączyła się również ambasada RP w Waszyngtonie i odnalazła je wśród Polonii. Ostatnie cytowane zdanie jest natomiast manipulacją, jako że pomysły na zaangażowanie Polski w wojnę poparciem społecznym absolutnie się nie cieszą – wręcz przeciwnie. W sondażu z początku marca, przeprowadzonym dla „Rzeczpospolitej", aż 55,6 proc. opowiedziało się przeciwko wysłaniu przez Zachód wojsk na Ukrainę, a przeciwnego zdania było tylko 19,1 proc. Co ciekawe, najwięcej przeciwników było w najmłodszej (do 24 lat) i najstarszej (powyżej 50 lat) grupie wiekowej, a także wśród osób z dochodami powyżej 7 tys. zł. Nic dziwnego – to ludzie, którzy mają najwięcej do stracenia.

Na słowa pana ambasadora Magierowskiego odpowiedzieli sygnatariusze listu: „Co będzie stanowić strategiczną porażkę Rosji? Czy do realizacji tego celu wystarczy eliminacja określonej liczby żołnierzy rosyjskich? Czy zniszczenie Kremla powinno być warunkiem koniecznym warunkującym zakończenie operacji? […] Wreszcie czy importując wojnę zastępczą w granice Polski i ryzykując zniszczenie kraju, mamy zamiar bezrefleksyjnie realizować obce interesy i działać wbrew własnym? Na koniec najważniejsze pytanie: Jakie straty ludzkie polski rząd jest skłonny zaakceptować, aby osiągnąć nierealistycznie »ambitny«, złudny cel, którym jest »rosyjska porażka strategiczna«?"

Pytania są dość oczywiste i powinny być stawiane codziennie w sytuacji, gdy – jak się zdaje – „zaimportowanie" konfliktu na nasze terytorium wydaje się całkiem możliwe. Stałoby się tak jednak tylko na nasze własne życzenie i faktycznie dla realizacji celów innych – nie tylko Waszyngtonu, lecz także Paryża i Berlina, bardzo mocno obstawiających swoje cele, a więc wciągnięcie Ukrainy do UE i wymuszenie powstania europejskiej wspólnoty obronnej na bazie rewizji traktatów.

Powie ktoś, że przecież wizja kadłubowej Ukrainy, odciętej od morza, niewydolnej ekonomicznie, wyludnionej, eksportującej do Polski przestępczość i biedę oraz podatnej na rosyjskie wpływy jest dla nas bardzo niekorzystna – i trzeba się z tym zgodzić. Problem w tym, że hierarchia celów powinna być dla nas jasna, a pierwszym, naczelnym i dominującym nad wszelkimi innymi powinno być uratowanie Polski przed zaangażowaniem w wojnę. Jeśli hipotetyczne – bo przecież wcale nie pewne – zapobieżenie scenariuszowi opisanemu wyżej musiałoby oznaczać włączenie polskich żołnierzy do walki i wysokie prawdopodobieństwo rosyjskiego odwetu – powinno to być zdecydowanie i jednoznacznie wykluczone.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

Piotr Semka

W epoce arcybiskupa Wojdy

Czy objęcie funkcji przewodniczącego KEP przez abp. Tadeusza Wojdę skłoni go do wypowiadania się w zdecydowany sposób czy nawyk unikania ocen może być trwały? A chęć przypodobania się nuncjuszowi – jeszcze silniejsza?

Metropolita gdański abp Tadeusz Wojda przez kolejne pięć lat pełnić będzie funkcję przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Jak wyglądać będzie nowa epoka w dziejach polskiego Kościoła? Czy będzie to kadencja, którą cechować będzie wyraźny rys indywidualności nowego przewodniczącego czy też wektory rozmaitych tendencji rozkładać się będą w miarę równomiernie, szczególnie wzdłuż linii sporu konserwatyści kontra zwolennicy kościelnych reform? Jak wreszcie wyglądać będą relacje Kościoła z ekipą Donalda Tuska?

W CIENIU ABP. GĄDECKIEGO

Gdy ten tekst dotrze do czytelników „Do Rzeczy", zakończy się dziewięciodniowa wielka nowenna w intencji ojczyzny, która stanowi zwieńczenie epoki, w której Konferencją Episkopatu Polski kierował duet abp Stanisław Gądecki i abp Marek Jędraszewski. Intencją tego wielkiego modlitewnego zrywu mają być trzy najbardziej palące kwestie: pojednanie narodowe, mądrość dla rządzących i solidarność społeczna. Wśród intencji jest też m.in. zachowanie pokoju i bezpiecznej przyszłości dla Polski, odczytanie prawdziwej roli kobiety i mężczyzny w małżeństwie i światło Ducha Świętego dla Polaków, byśmy kierowali się zawsze dobrem ojczyzny.

Ten poważny ton, w którym przedstawiono najbardziej palące kwestie, o których rozwiązanie modlić się będą polscy wierni, przywodzi na myśl typ refleksji nad dobrem narodu i państwa, do której przyzwyczaił Polaków prymas Stefan Wyszyński. I jak się zdaje, im więcej

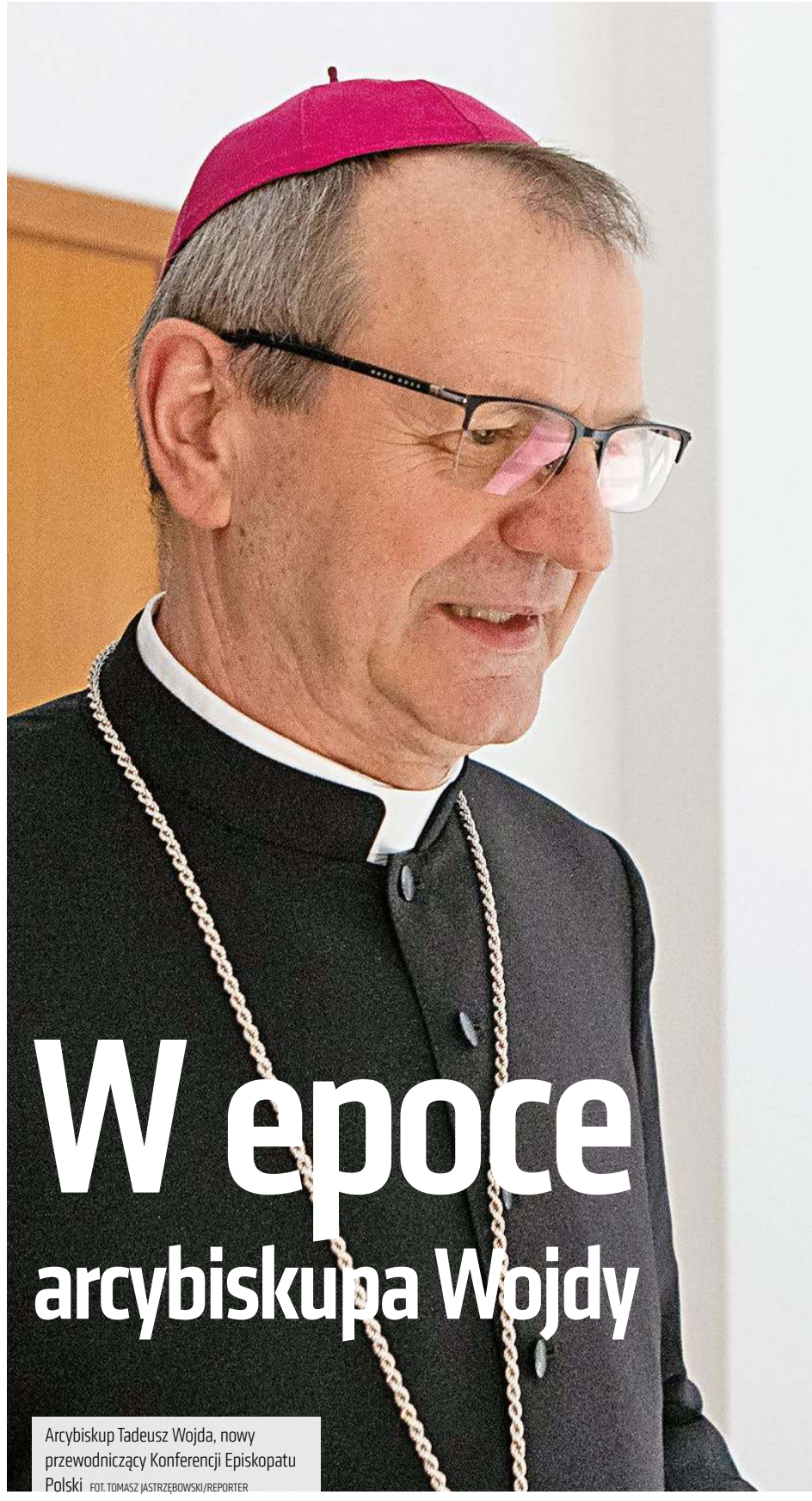

Arcybiskup Tadeusz Wojda, nowy przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl f4c7b261e1

czasu mijać będzie od dwóch kolejnych kadencji abp. Gądeckiego, tym bardziej polscy wierni doceniać będą odwagę i roztropność wielu publicznych wystąpień ustępującego z funkcji w KEP metropolity poznańskiego, któremu towarzyszył metropolita krakowski.

Z tą bardzo dojrzałą refleksją na temat zagrożeń dla Polski kontrastowała powierzchowna kampania wielu liberalnych mediów, które przed wyborem nowego przewodniczącego KEP lansowały postulaty „wyrwania polskiego Kościoła z marazmu". Jest to zresztą swoista tradycja wielu mediów liberalnych, na czele z „Gazetą Wyborczą" i „Tygodnikiem Powszechnym". Uporczywe lansowanie kandydatów liberalnych już od przełomu wieków zazwyczaj przynosi wciąż ten sam efekt. Intuicyjny opór większości polskich biskupów przeciwko tak nachalnie sugerowanej modernizacji Kościoła.

Tak było i w tym roku. Formalnie pula kandydatów obejmowała 39 osób, ale tak naprawdę liczyło się tylko siedmiu kandydatów – wyłącznie metropolitów. Byli to: abp Józef Guzdek z Białegostoku, abp Tadeusz Wojda z Gdańska, arcybiskup gnieźnieński prymas Polski Wojciech Polak, metropolita katowicki abp Adrian Galbas, arcybiskup łódzki kard. Grzegorz Ryś, arcybiskup warmiński Józef Górzyński i arcybiskup wrocławski Józef Kupny.

Małe szanse miał kard. Grzegorz Ryś, najbardziej wyrazisty hierarcha „postępowy", który zresztą – jak się zdaje – sam chyba nie brał pod uwagę swojego wyboru. Arcybiskup katowicki Adrian Galbas objął swoją metropolię stosunkowo niedawno, więc obniżało to znacznie jego szanse. Metropolita z Warmii, Józef Górzyński, był i jest stosunkowo słabo znany. Realnie w rozgrywce biskupi mieli do wyboru dwóch hierarchów kojarzonych z linią środka, czyli arcybiskupów Wojdę i Guzdka, dla których alternatywą był metropolita gnieźnieński abp Wojciech Polak. Z dwójki Wojda-Guzdek większość biskupów wybrała abp. Wojdę. Ponoć zadecydowało ciche wsparcie ze strony ustępującego sekretarza KEP abp. Stanisława Gądeckiego.

Prestiżową porażkę poniósł Wojciech Polak. O tym, jak wiele nadziei wiązali z nim zwolennicy Kościoła otwartego, świadczyły gniewne komentarze dyżurnych zwolenników reformowania Kościoła, takich jak np. Tomasz Terlikowski czy Adam Szostkiewicz z „Polityki". Dosyć schematycznie brak poparcia dla abp. Polaka wiązano z rzekomą niechęcią biskupów wobec bardzo wyrazistego zaangażowania metropolity gnieźnieńskiego w akcję zadośćuczynienia krzywdom ofiar molestowania seksualnego ze strony duchownych.

Ale było to używanie bardzo wygodnej interpretacji dla prymasa Polski. Rzecz w tym, że arcybiskup z Gniezna sam w dużej mierze roztrwonił swój prestiż związany z tradycyjnym tytułem przywódcy Kościoła w Polsce poprzez swoje liczne nieprzemyślane, za to niezwykle emocjonalne wypowiedzi wpisujące się w wiele kampanii na rzecz odnowy Kościoła podejmowanych przez media liberalne. Przykładowo abp Polak bardzo emocjonalnie zaangażował się w akcję przyjmowania przez Polskę uchodźców, zupełnie lekceważąc rozróżnienie między rzeczywistymi uciekinierami ze strefy wojny a imigrantami, którzy chcą przedostać się poprzez Polskę na zachód Europy w celu skorzystania z wysokiego socjalu.

Wygrał więc Stanisław Wojda, o wiele lepiej znany i bardziej ceniony niż abp Józef Guzdek, który trafił na fotel arcybiskupstwa białostockiego po stosunkowo nijakiej posłudze biskupa polowego Wojska Polskiego.

ODWAŻNY BIAŁYSTOK I WYCISZONY GDAŃSK

Tuż po wyborze abp. Wojdy na szefa KEP zaznaczył się dość charakterystyczny podział opinii na temat nowego przewodniczącego. Media liberalne wypominały abp. Wojdzie jego wyrazisty sprzeciw wobec parady organizowanej w Białymstoku przez środowiska LGBT i patronowanie przez niego specjalnemu marszowi białostockich katolików przeciw promowaniu ideologii gender. Wówczas w Białymstoku doszło do ataku części narodowców i kibiców na marsz równości i liberalne media z lubością ogłosiły moralną odpowiedzialność abp. Guzdka za te przypadki przemocy.

Z okazji wyboru Wojdy na sekretarza KEP wypominano mu też podziękowanie dla grupy radnych powiatu białostockiego, którzy protestowali przeciwko emisji w TVN filmu „Franciszkańska 3", który przedstawiał w fałszywym, krzywdzącym świetle Jana Pawła II i kard. Adama Sapiehę.

Tyle że w 2021 r. papież Franciszek mianował abp. Wojdę na stanowisko metropolity gdańskiego. I wtedy – tak jakby doświadczenia kontrowersji medialnych w Białymstoku wpłynęły na nowego hierarchę – liczba jego publicznych wypowiedzi, które przyciągnęłyby uwagę mediów, znacznie zmalała. Jeden z doświadczonych gdańskich kapłanów pytany o ponad dwa lata posługi abp. Wojdy skomentował je w następujący sposób: „Arcybiskup Sławoj Głódź [poprzednik Wojdy – przyp. P.S.] jaki był, taki był, ale przynajmniej wyraźnie wskazywał proboszczom, czego od nich oczekuje. Tymczasem pod rządami abp. Wojdy niczego konkretnego nie wiemy i niespecjalnie możemy się tego dowiedzieć".

W jedynej bodaj wypowiedzi udzielonej po wyborze dla Agencji KAI abp Wojda powiedział: „Tworzenie Kościoła synodalnego jest naszym najpilniejszym zadaniem. To zadanie, które powierzył nam papież. Myślę, że jest to bardzo długi proces, który wymaga od nas otwarcia się, szukania współpracy ze świeckimi, których jest bardzo wielu, ale których musimy jeszcze bardziej dynamizować i włączać". Pytany o swoje priorytety wymienił sprawy rodziny, młodzieży, katechezy i relacje państwo – Kościół.

No cóż, trudno o bardziej ogólnikowe deklaracje przyszłej polityki. Ten ostrożny ton nowego przewodniczącego KEP spowodował dwojakie reakcje. Z jednej strony konserwatyści, np. Krystian Kratiuk, szef portalu Polonia Christiana 24, podkreślali, że biskupi wybrali kandydata środka, unikając wyboru hierarchów uznawanych za wyrazistych postępowców, takich jak kard. Grzegorz Ryś czy prymas Wojciech Polak. Z drugiej strony część konserwatystów zastanawiała się, czy abp Tadeusz Wojda nie dostosuje się do trendów z Watykanu i nie zacznie, niczym metropolita katowicki abp Adrian Galbas, odmieniać przez wszystkie przypadki hasła synodalności. Sprawa jest o tyle istotna, że – jak się zdaje – to właśnie abp Wojda będzie reprezentował, obok kard. Rysia, polski Kościół na jesiennej sesji synodu Kościoła powszechnego w Rzymie.

Arcybiskup Stanisław Gądecki, wykazując dużą odwagę osobistą, nie wahał się krytykować niepokojących go tendencji do reformowania Kościoła na skróty

eprasa.pl f4c7b261e1

w czasie poprzednich sesji synodu. Czy równą determinację i troskę o unikanie zbyt gwałtownych zmian wykaże nowy przewodniczący KEP? Pytanie to wyostrza jeszcze to, że wybrany dla abp. Wojdy zastępca abp Józef Kupny także nie dał się poznać w ostatnich latach jako hierarcha kojarzący się z wyrazistymi wypowiedziami. Albo więc nowa funkcja zmusi abp. Wojdę do pewnej wyrazistości, którą wielu wiernych zapamiętało z okresu jego biskupstwa w Białymstoku, albo też nowy przewodniczący KEP ugrzęźnie w klimacie wstrzemięźliwych wypowiedzi i tonowania na siłę stanowisk w ważnych problemach.

POD PRESJĄ WYDARZEŃ

Polityka ekipy Donalda Tuska będzie wymagać od nowego przewodniczącego Episkopatu jasnego ustosunkowywania się do jego życzeń. Lider Platformy Obywatelskiej najwyraźniej polubił granie antyklerykalną kartą. Co więcej, w ślad za Tuskiem w szaty pogromcy Kościoła stroi się w demagogiczny sposób Szymon Hołownia, wzywający do skontrolowania przez NIK państwowych dotacji dla o. Tadeusza Rydzyka.

Zapowiadana likwidacja Funduszu Kościelnego zmusi Episkopat do prowadzenia trudnych negocjacji z przedstawicielami rządu w sprawie zamiany dotychczasowego systemu przekazywania Kościołowi pomocy finansowej na jakąś formę odpisów podatkowych czy to np. według wzorów z Hiszpanii czy np. z Węgier. W krajach tych można przekazać na określony związek wyznaniowy niewielką część podatku dochodowego.

Kolejny problem, którym będzie się musiał zająć Episkopat, to odpowiedź na politykę minister edukacji Barbary Nowackiej, która otwarcie zapowiada zmniejszenie liczby godzin lekcji religii. Z zaproponowanymi zmianami nie zgadzają się np. katecheci z diecezji kaliskiej. W liście do minister Nowackiej przekonują, że lekcje religii wpisują się w „całokształt edukacji młodego człowieka", i dodają, że jej ograniczenie do jednej godziny w tygodniu spowoduje dla nich duże problemy finansowe. Nauczanie katechezy jest bowiem dla wielu z nich jedynym źródłem utrzymania.

Kolejny problem, wobec którego Kościół będzie musiał zająć stanowisko, to zapowiedzi Donalda Tuska wprowadzenia ograniczeń dla lekarzy w korzystaniu z klauzuli sumienia. Nowy premier wprost zapowiedział, że będzie wymagał od prokuratora generalnego wszczynania z urzędu postępowań w sprawie każdego przypadku odmowy przez lekarza przeprowadzenia aborcji z powołaniem się na klauzulę sumienia. Jak deklarował Tusk na naradzie krajowej PO 8 marca: „Będziemy oczekiwali od konsultanta krajowego do spraw ginekologii i konsultantów wojewódzkich kontroli wszystkich klauzul sumienia [...], każda odmowa wykonania zabiegu będzie zgłaszana z urzędu do prokuratury, która będzie zobowiązana do badania, dlaczego ktoś naraził życie i zdrowie kobiety".

Jeśli stolice arcybiskupie w Warszawie, Poznaniu i Krakowie obsadzone zostaną przez wyrazistych „bergoglian", to czołówka Kościoła w Polsce może jeszcze bardziej skręcić w kierunku „postępu"

Takie zapowiedzi mogą oznaczać, że korzystanie przez lekarzy z klauzuli sumienia zacznie być traktowane niemal jak domniemane przestępstwo, a nie normalny wybór szanujący poglądy ginekologów. W tych sprawach lekarze traktujący serio zasady wiary katolickiej mają prawo oczekiwać pryncypialnej obrony ze strony Kościoła.

I wreszcie kwestia żądania Lewicy, stawianego coraz agresywniej, aby zalegalizowano aborcję na życzenie do 12. tygodnia życia nienarodzonego dziecka. Lewica jest bliska narzucenia w przestrzeni publicznej dogmatu o aborcji jako prawie obywatelskim kobiet. Rzekomi obrońcy „aborcyjnego kompromisu" – PSL i ruch Hołowni – w polemikach z Lewicą wypadają blado.

Kościół wciąż kompromituje brak nawyku do transparentnego wyjaśniania afer takich jak seksparty z Dąbrowy Górniczej. Na razie nie można się doczekać wyczerpującego komunikatu kościelnej komisji diecezjalnej wskazującego, co tak naprawdę wydarzyło się w mieszkaniu księdza redaktora lokalnego dodatku „Niedzieli". Czy wierni nie mają prawa do takiej gorzkiej prawdy?

Trudna sytuacja polskiego Kościoła skłania wielu wiernych do oczekiwania na pryncypialne i odważne stanowisko prezydium KEP. I postawa abp. Wojdy będzie porównywana z odwagą abp. Gądeckiego. Każdy brak zdecydowania będzie jeszcze mocniej skłaniał ekipę Tuska do nacisków na Kościół.

O tym, jak bardzo lekceważące wyobrażenie o Episkopacie i jego nowym przewodniczącym mają kościelni reformatorzy, świadczy przykład wywiadu z liberalnym dominikaninem o. Pawłem Gużyńskim na łamach „Gazety Wyborczej". „Mentalnie biskupów nie stać na wystawienie kogoś pokroju biskupów Życińskiego lub Pieronka, którzy rozmawialiby z rządem i ze społeczeństwem, prowadziliby dialog par excellence [...]. Biskupi liczą, że kolejny raz uda im się jakoś dogadać z nową władzą. Dlatego na czele Episkopatu postawili duchownego bez łatki antyplatformersa".

Zdumiewać musi skala pogardy, którą publicznie okazuje zakonnik wobec polskiego Episkopatu. Bałamutne jest też utrzymywanie, że bp Tadeusz Pieronek czy abp Józef Życiński mieli rzekomo ostro negocjować z rządami w latach 90.

Trzeba też jednak pamiętać, że odważne wystąpienia abp. Stanisława Gądeckiego i abp. Marka Jędraszewskiego w ciągu ostatnich paru lat wybrzmiewały zazwyczaj na tle milczącego Episkopatu. Zdecydowana większość biskupów unikała wyrazistych wypowiedzi w kwestiach publicznych. I do tej większości należeli ostatnio także arcybiskupi Wojda i Kupny. Jedni twierdzą, że to nowa funkcja zmusi obu nowych liderów Episkopatu do wypowiadania się w zdecydowany i godny sposób. Pesymiści obawiają się, że nawyk unikania zdecydowanych ocen może być trwały. A chęć przypodobania się nuncjuszowi – jeszcze silniejsza. A jeśli stolice arcybiskupie w Warszawie, Poznaniu i Krakowie obsadzone zostaną przez wyrazistych „bergoglian", to czołówka Kościoła w Polsce może jeszcze bardziej skręcić w kierunku „postępu".

Zobaczymy, która z tych prognoz się ziści. Bardzo wielu wiernych wybiera w tej niepewnej sytuacji modlitwę o dar męstwa dla nowych przywódców polskiego Episkopatu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

Rafał A. Ziemkiewicz

Polacy jako króliki doświadczalne

Na Polsce eurokraci testują, czy można utrzymać się przy władzy w demokracji, używając mechanizmów państwa policyjnego

Po raz drugi w naszej historii najnowszej jesteśmy poletkiem doświadczalnym dla obcego mocarstwa. W latach 80. elity moskiewskich służb użyły Polski do przetestowania, czy da się zbankrutowany system komunistyczny przetransformować w demokratyczny kapitalizm w taki sposób, by komuniści zachowali faktyczną władzę i pozostali uprzywilejowaną, wyższą warstwą społeczną. Dziś, w świetle ustaleń historyków, nie można mieć co do tego wątpliwości – Jaruzelski i Kiszczak do Okrągłego Stołu zostali popchnięci przez (jak ich w nieboszczce Partii nazywano) „radzian", a gdy się opierali, niedwuznacznie pokazano im, że Moskwa może się z polską „opozycją demokratyczną" dogadać sama, ponad ich głowami, z wiadomym dla nich skutkiem.

Co i kto testuje na polskich królikach doświadczalnych dzisiaj? Postawię tezę, że dla eurokratów i, najszerzej to ujmując, elit liberalnej demokracji rządy Donalda Tuska są pilotażem operacji, do której podjęcia będą niedługo zmuszone u siebie. Jak ujął to wieloletni przedstawiciel niemiecki w naszym kraju w artykule dla berlińskiej gazety: żeby naprawdę „przywrócić demokrację", trzeba użyć metod państwa policyjnego. Po prostu – taka konieczność. Polska ma dostarczyć doświadczeń niezbędnych, by zrobić to skutecznie w Niemczech, we Francji i w innych krajach, jeśli i tam większość wyborców zignoruje wskazania swych elit i zagłosuje na „populistów" w rodzaju AfD czy Frontu Narodowego na tyle licznie, że dotychczasowa polityka izolowania ich przestanie już być możliwa.

„KRĄŻENIE ELIT"

Ratować demokrację wbrew woli większości wyborców? Zakrawa to na paranoję i być może jest paranoją – ale wielokrotnie się w historii powtarzającą. Klasyk ekonomii i socjologii Vilfredo Pareto sformułował twierdzenie, że warunkiem, by społeczeństwo rozwijało się w sposób stabilny i zdrowy, dając wszystkim pożądane wartości, na czele z bezpieczeństwem i dostatkiem, jest „krążenie elit". Muszą istnieć i być drożne kanały „z dołu do góry", umożliwiające zdolnym i energicznym jednostkom z klas niższych awans do elity. Aby jednak tak było, muszą być także kanały „z góry w dół", czyli mechanizmy degradacji tych członków klasy wyższej, którzy do zajmowanej pozycji na społecznej drabinie nie dorośli.

I z tym jest właśnie problem, bo członkowie elit nie chcą ustępować z pozycji uprzywilejowanej ani pozwalać, by tracili przywileje ich protegowani – choćby nie wiedzieć, jak bardzo niezdolni i zdeprawowani. A ponieważ to elity właśnie, z zasady, decydują o prawach regulujących funkcjonowanie społeczeństwa, stopniowo ustawiają je tak, by się przed degradacją ochronić.

Zablokowanie kanału „w dół" automatycznie blokuje kanał „do góry" – wybitne jednostki z klas niższych, potocznie mówiąc, nie mogą się dopchać do stanowisk, które by odpowiadały ich ambicjom i zdolnościom, bo te okupowane są przez krewnych i znajomych klasy rządzącej (jak to ujmowano w sowieckim dowcipie ze schyłkowych czasów Andropowa i Czernienki: Czy syn generała może u nas zostać marszałkiem? Nie, bo marszałek też ma syna). Siłą rzeczy wykorzystują więc swoje zdolności i energię do rozbijania blokującego ich systemu, stając na czele każdego odruchu niezadowolenia. A ponieważ wzrostowi kumulującej się „na dole" energii kierującej się przeciwko systemowi towarzyszy kostnienie i jałowienie ze zdolności klasy wyższej, ostateczny efekt jest analogiczny, jak gdyby próbowało się na siłę utrzymać pod pokrywką parę w garnku z wrzątkiem.

Ostatni raz widzieliśmy ten proces w wiekach XVIII i XIX. Arystokracja francuska nie przyjmowała narastającego w garnku ciśnienia do wiadomości, wskutek czego poszła w większości pod gilotynę; brytyjska, nauczona jej przykładem, umiała się cofać i oddawać pole powoli, czego najlepszym probierzem była ewolucyjna wymiana znaczeniem w państwie Izby Lordów z Izbą Gmin.

Ten proces odsuwania skostniałej elity arystokratycznej przez nową, liberalno-demokratyczną, wywodzącą się głównie z burżuazji, zyskującej na znaczeniu dzięki rewolucji przemysłowej, opisuje klasyczna powieść Giuseppe di Lampedusy „Lampart", znana wszystkim głównie dzięki zasadzie wygłoszonej w niej przez głównego bohatera, księcia Salinę: żeby

eprasa.pl f4c7b261e1

wszystko mogło pozostać po staremu, trzeba wszystko zmienić. Tą właśnie zasadą kierowały się elity sowieckich służb specjalnych, które, jak wspomniałem na wstępie, eksperymentowały na Polsce w latach 80. – bez wątpienia dlatego, że, w przeciwieństwie do partyjnej nomenklatury i armii, do samego końca ZSRS pozostawały one drożną drogą awansu, czego najlepszym dowodem jest kariera ulicznego żulika, Wołodii Putina.

Zbiurokratyzowane i wyjałowione intelektualnie elity Unii Europejskiej, i, szerzej, zachodniej demokracji liberalnej, działając w analogicznej sytuacji, w analogicznym przeczuciu zbliżającego się wybuchu zablokowanej w społeczeństwie energii, zachowują się jednak bardziej w stylu prawdziwych, niepowieściowych elit arystokratycznych z poprzednich wieków: wierzą, że wszystko może pozostać po staremu, że są w stanie po prostu zapobiec zmianie, powstrzymując współczesnych „jakobinów", „anarchistów" i „bolszewików" siłą (piszę w cudzysłowach, bo odwołuję się nie do właściwych znaczeń tych słów, ale do tego, jak funkcjonowały one w dyskursie owej zakwestionowanej w wieku XIX elity). Na czym tę nadzieję opierają, wyjaśnię za chwilę.

FOT. ADOBE STOCK/JAN

Najpierw trzeba jednak jasno i wyraźnie powiedzieć sobie, że podstawowym kryzysem w tej kumulacji kryzysów, z którą boryka się zachodnia liberalna demokracja, i, zarazem, przyczyną wielu innych („matką wszystkich kryzysów", jakby to ujął nieboszczyk Saddam Husajn) jest kryzys jej samej. Kryzys polegający na tym, że w demokracji zachodniej znowu „Pareto nie działa", i to już od ładnych paru dziesięcioleci.

To proste stwierdzenie wywołuje, jak zdołałem się już wielokrotnie przekonać, szok i oburzenie, podważa bowiem legitymację obecnych elit liberalno-demokratycznych w podobnym stopniu, w jakim hasła jakobinów podważały nadprzyrodzoną wyższość monarchy i jego dworu. Jeśli bowiem wszyscy od lat zgadzamy się z przypisywaną Winstonowi Churchillowi maksymą, że demokracja jest przy wszystkich swych licznych wadach najlepszym ustrojem, jaki ludzkość wymyśliła, to decyduje o tym ugruntowane przekonanie, że właśnie ona zapewniła wreszcie możliwość zmiany elity rządzącej w sposób pokojowy, bez wstrząsów rewolucji i utraty stabilności. Zapewniają to mechanizmy wyborcze, prawa obywatela na czele z wolnością słowa i zgromadzeń, niezależność władzy sądowniczej oraz „czwarta władza": wolne media, za których pomocą społeczeństwo kontroluje poczynania klasy rządzącej.

Po licznych konwulsjach (najkrócej: rewolucja – restauracja monarchii i Święte Przymierze trzech cesarzy – Wiosna Ludów) nowa elita, demokratyczna, ugruntowała w końcu swą dominację, opartą na sile opinii publicznej i wyrażających ją mediów – osobiście jako symboliczny moment dla Europy wskazałbym tu wygraną przez liberałów sprawę Dreyfusa. I od tego czasu, mimo kolejnych wstrząsów, utwierdzała się ona w przekonaniu, że ustrój, który stworzyła i ostatecznie nazwała „liberalną demokracją", połączenie republikańskich mechanizmów politycznych z wolnym rynkiem, to perpetuum mobile, wytwarzające nieustannie dostatek i bezpieczeństwo, ustrój do tego stopnia najlepszy, że już się go poprawić nie da – czemu wyraz najpełniejszy dał w książce o budzącym dziś rozbawienie tytule „Koniec historii" Francis Fukuyama.

Niestety, klasa rządząca tej liberalnej demokracji utwierdzała się też w przekonaniu, że tylko ona jedna, jedyna, wie, jak to perpetuum mobile obsługiwać. W tym przekonaniu, że stanowi zamknięte grono ludzi oświeconych, jedynie uprawnionych do rządzenia światem, zaczęła przypominać historyczne elity arystokratyczne, które niegdyś pokonała – paskudnie zapisany w naszej pamięci król Prus, Fryderyk, przez Niemców nazywany Wielkim, pisał w prywatnych listach do Voltaire'a i w powszechnie chwalonym przez paryskich filozofów traktacie o władzy, że władca ma wręcz moralny obowiązek nie zważać na opinie poddanych, dla ich własnego dobra. Ten obowiązek definiował jako „zwalczanie ignorancji i przesądów, krzewienie do-

eprasa.pl f4c7b261e1

brych obyczajów i czynienie ludzi na tyle szczęśliwymi, na ile to możliwe". O tym, co jest przesądem, co dobrym obyczajem i co uczyni rządzonych szczęśliwymi, decydował oczywiście on sam, ewentualnie w porozumieniu z równie jak on oświeconymi filozofami w typie swego sławnego przyjaciela.

Szczerze: Ilu współczesnych liderów politycznych, liberalnych intelektualistów i dysponentów mediów podpisałoby się pod takim rozumieniem swej roli, zwłaszcza jeśli nie mówić im, skąd cytowane słowa pochodzą? A przecież w teorii, o czym zapewniliby nas równie gorąco, są oni tylko sługami „demosu", pilnującymi procedur, w których suweren ten sam rozstrzyga, czego chce i co dla niego dobre.

WYNATURZENIE

Zacznijmy to wreszcie zauważać: przyczyną kryzysu demokracji liberalnej nie są jakobini, anarchiści i bolszewicy, dzisiaj nazywani „populistami", o których krzyczą lewicowo-liberalne salony, ubliżając im żarliwie od „suprematystów", „nacjonalistów" i „faszystów". Oni są jego przejawem. Przyczyną są natomiast właśnie jej własne elity, które zreprodukowały mental dawnych klas uprzywilejowanych, skopiowały ich przekonania i odwróciły sens znaczeń – zwykłem tę „nową arystokrację" nazywać „liberalistokracją". Demokracja nie jest już dla nich rządami „demosu", jakkolwiek ten demos nazywać – klasą średnią, ludem czy jeszcze inaczej. Demokracja to rządy demokratów. A kim są demokraci? To ci, którzy rządzą demokracją – no proste.

Różnica między demokracją a współczesną „demokracją liberalną" zasadza się na jednym „drobiazgu": do grona „demokratów", i w ogóle do klasy wyższej, nie można ot tak sobie wejść; trzeba zostać do niej zaproszonym, zaakceptowanym przez kręgi oświecone i uprawnione do rządzenia. Samo wygranie wyborów nie wystarczy, by być władzą „demokratyczną". Tacy, którzy wygrywają wybory, nie mając na to zgody oświeconych, i mimo braku tej koncesji usiłują rządzić, to, jak już wspomniałem, „populiści", zagrożenie dla demokracji, przed którym trzeba ją obronić. Coraz bardziej oswajają się przy tym liberalistokraci z myślą, że dla dokonania tego wielkiego działa „konieczne" może być sięgnięcie po „metody państwa policyjnego".

Swoje nadzieje opierają unijne elity na tym, że w przeciwieństwie do poprzednich „klas wyższych" okupujących czubek społecznej hierarchii dysponują wieloma nowymi technologiami sprawowania władzy za pomocą „miękkiej siły". Zdołały podmienić „rządy prawa" na „rządy prawników", co robią coraz chętniej, jak pokazuje orzecznictwo TSUE, czy – za oceanem – nękają kolejnymi wyrokami Donalda Trumpa, kierując się nie prawem, a interesami kasty rządzącej. Wolność słowa ograniczyły cenzurowaniem „mowy nienawiści". Równolegle analogicznej erozji co wolność polityczna poddały wolny rynek – zwycięskie na nim wielkie koncerny stworzyły gospodarczy oligopol, w którym coraz bardziej surowe regulacje motywowane „koniecznością" zapewnienia „inkluzywności" czy „ratowania planety" chronią ich przed konkurencją, wysadzają w powietrze prawa konsumenckie i pozwalają zmieniać działalność gospodarczą coraz bardziej w bezlitosne łupienie bezbronnych wobec tych praktyk konsumentów. Oczywiście policyjne pały i inne „tradycyjne" środki mają wciąż jakiś udział w tym „miksie" narzędzi władzy, ale większość stanowią w nim w tym momencie różne rodzaje „miękkiej" przemocy, symbolicznej, medialnej, finansowej. Do polityki przeniesione zostały wypracowane przez biznes mechanizmy „wrogiego przejęcia", czego modelowym przykładem jest przejęcie lewicy, w drodze jej obfitego subsydiowania, przez wielkie korporacje. Prawa obywatelskie też nauczyła się liberalistokracja odbierać sprytniej, nie wprost, ale przez ich rozcieńczanie w tworzonych licznie kolejnych „prawach", takich jak „prawo do bycia niekrytykowanym", które w praktyce likwiduje wolność słowa. Doskonałą ilustrację tego mechanizmu stanowi historia z Kanady, gdzie na postulaty organizacji feministycznych rządzący odpowiedzieli: jesteśmy za prawami kobiet, ale nie możemy ich realizować, ponieważ nie ma zgody ani prawnej definicji, kto jest, a kto nie jest kobietą.

Dla elit demokracja nie jest już rządami „demosu". Demokracja to rządy demokratów. A kim oni są?

Podstawy przewagi rządzących nad rządzonymi wydają się więc solidne. Ale zawsze się tak wydaje. „Populiści" tu i tam sięgnęli po władzę, ale też tu i tam – np. w Polsce – dzięki zastosowaniu powyżej wymienianych narzędzi udało się ją dla „demokratów" odzyskać. Jak ją jednak utrwalić? Jak obezwładnić społeczeństwo mimo wzbierającego w zablokowanych „dołach" ciśnienia? To bardzo ważne dla zachodnioeuropejskich elit pytania, na które Tusk ma dać odpowiedzi. Z tego punktu widzenia płynące z mediów i kręgów lewicowo-liberalnych zapewnienia, że „Polska Tuska jest natchnieniem i wzorem dla całej Europy", nie brzmią wcale groteskowo, tylko zupełnie poważnie. A nawet – wręcz ponuro.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

Co z tą konfiskatą?

Łukasz Zboralski

Przyjęte prawie dwa lata temu prawo pozwalające odbierać pijanym kierowcom pojazdy weszło w życie. I nagle wszystko okazało się nieprzygotowane. Policja samochody zabiera, by zaraz potem je oddawać

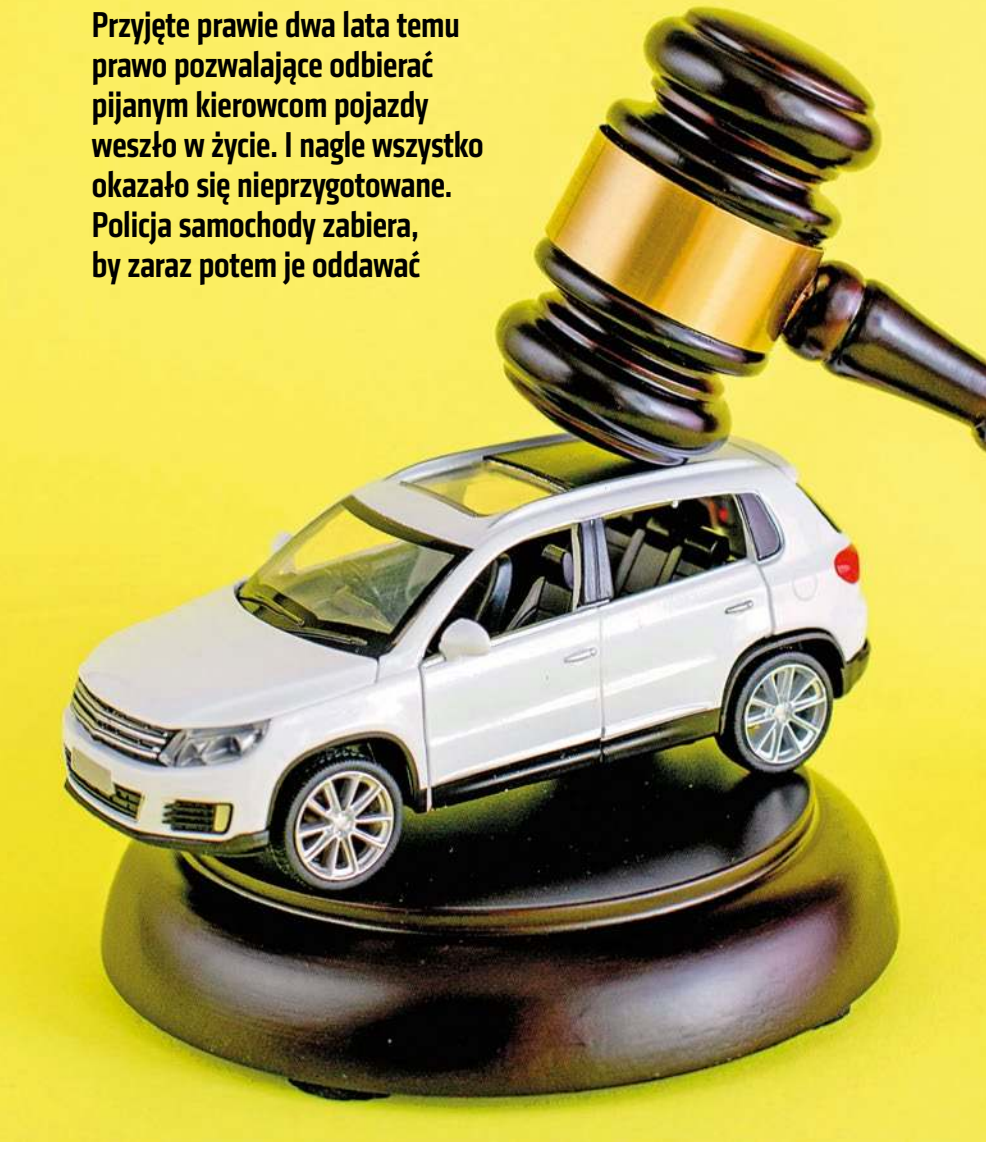

FOT. ADOBE STOCK

W kwestii zaprowadzania porządku na drogach w Polsce nawet ci, którzy Zjednoczonej Prawicy nie cierpią, przyznają, że żaden rząd do tej pory nie poprawił tak bezpieczeństwa. Zmniejszenie liczby ofiar śmiertelnych wypadków o jedną trzecią (do niecałych 1,9 tys. rocznie) dostrzeżono w całej Europie – Polska dostała wyjątkową unijną nagrodę za tak spektakularne działania.

Ówczesny premier Mateusz Morawiecki, mimo niechętnego zmianom ministra infrastruktury Andrzeja Adamczyka, przeforsował urealnienie po 30 latach wysokości kar za łamanie prawa na drodze. Zadziałało. Przy okazji runął mit pielęgnowany przez polityków, że „wyborców za kierownicą drażnić nie można". Okazało się, że to już nie ci sami wyborcy. Obecni chcą w przytłaczającej większości podróżować bezpiecznie i nie czuć się zagrożeni przez piratów drogowych.

Oczywiście poprzedniemu rządowi nie wszystko wyszło. Bo na kierowców wpływają nie tylko odpowiednia wysokość kary, lecz także świadomość jej nieuchronności. Tymczasem przez ostatnich osiem lat automatyczny system nadzoru prawie się nie rozwinął. I gdy na Zachodzie ok. 90 proc. kar za przekraczanie prędkości wystawiają automaty, w Polsce wciąż 90 proc. kar nakładają policjanci stojący z radarami przy drogach – a ci są szalenie nieefektywni, przez dobę jeden dwuosobowy patrol umie skarcić zaledwie średnio pięciu kierowców.

PIJĄ I JADĄ WCIĄŻ NA NOWO

Poprzedni rząd przygotował jednak mechanizm, który może ograniczać trudną do zwalczania patologię polskich dróg – pijanych kierowców. Wprawdzie odpowiadają oni za 9 proc. wypadków, jednak doskonale widać, że od 2017 r. takich ludzi na trasach nie ubywa. Podwyższenie kar za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości czy za spowodowanie wypadku śmiertelnego w takim stanie (grozi już za to 20 lat więzienia) nie bardzo wpłynęło na tę grupę kierowców. Powód jest znany – wielu z nich stanowią alkoholicy. Oni nie myślą racjonalnie. O ile zwykli kierowcy, biorąc pod uwagę groźbę kary, zmieniają swoje zachowania, o tyle pijani dalej po prostu wyjeżdżają na drogi. Kroniki policyjne pełne są przyłapywanych osób, które miały już nawet siedem zakazów sądowych, w tym kilka dożywotnich, a i tak napiły się i jechały.

Dlatego do polskiego Kodeksu karnego wprowadzono konfiskatę pojazdów. To żadna nowość na świecie. Wiele europejskich krajów daje sędziom możliwość odbierania pojazdów. W Belgii sąd może orzec przepadek pojazdu, gdy kierowca pozbawiany jest uprawnień do kierowania dożywotnio. Przepadek aut pijanych możliwy jest też w Estonii, na Słowacji,

eprasa.pl f4c7b261e1

w Słowenii, Luksemburgu, na Litwie, we Francji czy Włoszech.

Najsurowsze prawo mają Duńczycy, którzy od trzech lat konfiskują pojazd nie tylko pijanemu kierowcy, lecz także jadącemu ponad 200 km/h lub ponad 100 km/h w przypadku, gdy dwukrotnie przekracza dopuszczalną prędkość. W Danii pojazd przepada nawet wówczas, gdy kierowca nie jest jego właścicielem. Jak to działa, przekonało się tam już wielu naszych rodaków. Jeden z nich po pijanemu utknął w zaspie, inny zamroczony alkoholem jechał drogą dla rowerów. Najbardziej spektakularny był jednak przypadek Norwega, który kupił sobie lamborghini i wracał z Niemiec przez Danię do domu. Jechał ponad 200 km/h i zatrzymano mu auto warte ponad milion złotych. Po trzech latach procesów – odwoływał się od decyzji sądu – w marcu tego roku auto ostatecznie wystawiono na licytacji. Kupił je miejscowy dealer luksusowych samochodów.

Na europejskim tle polskie przepisy nieco się różnią. Bo za granicą ostatecznie zawsze decyduje sędzia. U nas wyznaczono limity, przy których sędzia nie ma nic do gadania. I tak – gdy policja złapie kierowcę mającego co najmniej 1,5 promila alkoholu we krwi, przepadek samochodu jest obligatoryjny. Tak samo dzieje się, gdy ktoś spowoduje wypadek i ma powyżej 1 promila we krwi. Przy mniejszych stężeniach sędzia może orzec taką karę, ale nie musi. Oczywiście dotyczy to tylko samochodów, których pijani kierowcy są jedynymi właścicielami. W innych wypadkach sąd orzeka przepadek równowartości pojazdu. Z kolei pracownicy, którym ktoś każe wykonywać służbowe zadania polegające na kierowaniu pojazdem, w przypadku złapania w stanie nietrzeźwości płacić mają co najmniej 5 tys. zł nawiązki.

POLSKIE NIEPRZYGOTOWANIE

O tym, że przepisy wejdą w życie 14 marca, wiadomo było od ponad roku. Tymczasem dzień wcześniej niespodziewanie wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha wypowiedział się dla Radia Zet w zaskakujący sposób – stwierdził, że nowe prawo będzie w istocie… martwe. Ujawnił, że resort pracuje nad nowelizacją, która zmieni konfiskatę. Potem sam prostował swoje słowa, a jego szef podkreślał, że, owszem, ministerstwo przygotowuje nowelizację, ale konfiskata zaczęła działać.

Można podejrzewać, że ministrowie obudzili się za późno i tuż przed wejściem w życie nowego prawa zorientowali się, że nikt – także za poprzedniego rządu – nie przygotował wielu przepisów wykonawczych do tej ustawy.

Stało się to jasne już pierwszego dnia. O drugiej w nocy policjanci z Katowic w Ustroniu Śląskim zatrzymali jadącego szlaczkiem kierowcę audi. Był nim obywatel Ukrainy, który wydmuchał w alkomat 2 promile. Jego pojazd zgodnie z ustawą powinien zostać skonfiskowany. Jednak policjanci bez żadnych wytycznych z Komendy Głównej Policji nie wiedzieli, co dokładnie zrobić: kto zapłaci za lawetę, gdzie zaparkować taki pojazd, kto zapłaci za czas parkowania? Przekazali więc samochód znajomym pijanego kierowcy.

Jeszcze bardziej kuriozalna sytuacja miała miejsce w Krotoszynie. Tam policja zatrzymała 46-latka, który kierował, mając 3 promile alkoholu w organizmie. Wszczęli procedurę konfiskaty. Zabrali samochód warty blisko 40 tys. zł lawetą na strzeżony parking. Zgodnie z prawem w ciągu siedmiu dni nad autem opiekę musiał przejąć prokurator. Ten już następnego dnia kazał policjantom samochód… oddać „osobie zaufanej". Bo też nie wiedział, kto będzie płacił za trzymanie samochodu na parkingu. Policja podkreślała, że osoba, której powierzono auto, nie może go zniszczyć ani oddać temu, któremu je odebrano. Wyglądało to jednak na robienie dobrej miny do złej gry.

Najbardziej kuriozalnie wygląda to w przypadku obcokrajowców. Nikt bowiem nie może zatrzymać takiego pojazdu przekazanego przez policję osobie trzeciej. I jeśli np. Ukrainiec wyjedzie nim do tamtego kraju, to już nijak nie uda się odebrać tego pojazdu – „Rzeczpospolita" ujawniła, że nasze kraje nie mają stosownych porozumień.

Część policjantów zbiera jednak samochody pijanych kierowców na parkingach. Jak długo tam pozostaną – nie wiadomo.

Nie wiadomo też, kiedy rząd przedstawi nowelizację przepisów. Ta, zgodnie z zapowiedziami, ma dawać pełną dowolność sędziemu w orzekaniu konfiskaty.

Jedno jest pewne – na razie każdy pijany kierowca podlega konfiskacie. I jeśli przed zmianami prawa sąd rozstrzygnie jego przypadek (a za samo kierowanie po pijanemu wyroki w Polsce zapadają relatywnie szybko – nawet w trzy miesiące), to auto niewątpliwie zostanie zlicytowane przez urząd skarbowy, a pieniądze trafią do Skarbu Państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl f4c7b261e1

Wolnoć, Tomku, w swoim zamku?

Podczas rewitalizacji zamku w Ciechanowie zdecydowano się na kreację nowoczesną

FOT. MOS810 WIKIMEDIA COMMONS BY CC 4.0

Radosław Wojtas

W Polsce nie mamy zbyt wielu zamków, w dodatku duża część z nich to ruiny. A i te można zepsuć

Facebookowy profil Fundacji Rekonstrukcje i Odbudowy – od profilu się zaczęło, powstał w 2016 r., fundacja została założona cztery lata później – obserwuje ponad 27 tys. osób. I profil, i fundację, i wreszcie stronę internetową RekonstrukcjeiOdbudowy.pl powołali do życia Grzegorz Kęsik, Krzysztof Czyż i Łukasz Trojanowski. Jak twierdzi Grzegorz Kęsik, doktor nauk o polityce i administracji (ze specjalnością samorząd terytorialny, polityka wobec przestrzeni historycznych), wykładowca Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, chcieli w ten sposób pokazywać przykłady rekonstrukcji i odbudów polskich zabytków, a także promować klasyczną architekturę. – Dlatego że architektura tradycyjna, architektura klasyczna, jest marginalizowana – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy". – Zaszło to już tak daleko, że na większości uczelni kształcących architektów nie naucza się dziś projektowania w dawnych, klasycznych stylach – dodaje.

Przez osiem lat działalności profil prezentował wiele renowacji czy rekonstrukcji zabytków. Nietrudno znaleźć wśród nich przykłady realizacji co najmniej dyskusyjnych.

LĄDOWISKO DLA SMOKÓW

Pole do fantazji staje się tym większe, im mniej jest potwierdzonej źródłami wiedzy o pierwotnym wyglądzie zniszczonego obiektu. Problem ten w dużej mierze dotyczy więc zabytków najstarszych, zwłaszcza zamków. – Zamków mamy w Polsce stosunkowo niewiele, bo ok. 400. Mniej więcej połowa z nich to ruiny w bardzo różnym stanie zachowania – mówi Roman Marcinek, historyk i ekspert Narodowego Instytutu Konserwacji Zabytków. – I tu pojawiają się pytania: Czy je odbudowywać? A jeśli tak, to jak się z tym zadaniem zmierzyć? W większości przypadków nie dysponujemy żadną ikonografią historyczną, która pokazywałaby te obiekty w stanie funkcjonalnym. Nie wiemy zatem, jak wyglądały przed wiekami. Można się domyślać, interpretować, szukać analogii z innymi podobnymi zabytkami, ale to jest trochę tak, jakby chirurg, przeszczepiając wątrobę, machnął ręką i powiedział: „Nieważne, czy z gęsi czy z cielaka. Wątroba to wątroba". Analogia to analogia. Wieża obronna to wieża obronna. Mur kurtynowy to mur kurtynowy. Nieważne jaki – wyjaśnia.

Kiedy dodamy do tego oczekiwania turystów – które inwestor chce spełnić, by interes się kręcił – to efekty bywają

eprasa.pl f4c7b261e1

łatwe do przewidzenia. – Wiele realizacji niebezpiecznie skręca w stronę zamku Królewny Śnieżki. Wieżyczki, okieneczka, brakuje tylko królewny zatrudnionej na pełnym etacie i czekającej na swojego rycerza. Z zamku łatwo zrobić atrakcję w rodzaju białego misia. Ludziom się to podoba, nie przeczę, tylko trzeba się zastanowić, czy warto to robić za wszelką cenę. Obiektów, które po odbudowie albo przebudowie stały się karykaturami zamków, niestety nie brakuje, by podać przykład zamku w Wytrzyszczce nad Dunajcem – mówi Roman Marcinek.

O oryginalnym wyglądzie tej warowni nieco wiemy. Historia zamku Tropszyn (ta nazwa pojawia się po raz pierwszy w dokumencie z 1390 r.) sięga XIII w. Mur obwodowy grubości ok. 1,9 m wzniesiono z miejscowego piaskowca. W pierwszej fazie zabudowa wewnętrzna była drewniana, pod koniec XIV w. przy południowym odcinku muru wzniesiono murowany – najpewniej dwukondygnacyjny i podpiwniczony – budynek mieszkalny. W wieku XV w północno-zachodnim narożniku zbudowano pięciokondygnacyjną wieżę obronną, a przy wschodnim odcinku muru postawiono parterowy budynek mieszkalno-gospodarczy. W XVI w. rozpoczęła się budowa północnego reprezentacyjnego skrzydła i dokonano przesunięć wjazdów. Jednak już na początku wieku XVII wszystko to opisywane było jako ruina.

Taki stan rzeczy utrzymywał się przez kilka wieków. Aż do lat 90. XX w. jedynym śladem po zamku, górującym dawniej na wzniesieniu nad Dunajcem, były pozostałości jego przyziemia. Po przejściu w prywatne ręce i powołaniu fundacji, w roku 1995, ruszyła odbudowa. A w zasadzie budowa nowego obiektu. Tak na swojej stronie opisuje to fundacja zarządzająca zamkiem: „Życzeniem Fundacji jest, aby odbudowany zamek był praktycznie niezniszczalny. To jedyny warunek postawiony konstruktorom i projektantom. Stąd na zamku nie ma elementów drewnianych, a jedynie kamień, żelbet, beton i stal".

Wyszło co najmniej kontrowersyjnie, co barwnie opisuje właściciel blogu sigrida.blogspot.com: „Zwiedzanie zaczynało się od lochów, które już same w sobie były mało klimatyczne. Oświetlenie elektryczne dodawało im raczej kopalnianego uroku niż zamkowej atmosfery. Z lochów schodami w górę wędrujemy na wieżę. I tu zaczyna się jeszcze weselej... Zaczęło się od windy. Co prawda, obecnie był tylko zabity dechami szyb i napisy, że winda w budowie. Wyobrażacie to sobie? [...] Nic jednak nie było w stanie pobić wiernej rekonstrukcji jakże istotnej w średniowieczu części zamku. Moim nieskromnym zdaniem archeolodzy i historycy pracujący nad tym zabytkiem doskonale oddali potrzebę tego miejsca. Panie i panowie, przedstawiam... lądowisko dla smoków i pterodaktyli".

Jedna z koncepcji odbudowy zamku w Nowym Sączu FOT. WWW.ZAMEKSACZ.PL

Pod tym opisem pokazano zdjęcie stworzonego na zamku lądowiska dla śmigłowców.

Jako przykład niewłaściwego potraktowania zabytku Grzegorz Kęsik wskazuje na rodzinny Ciechanów. Tamtejszy zamek został zrujnowany na tyle dawno, że do dziś nie zachowały się żadne rysunki czy plany, dzięki którym wiedzielibyśmy, jak ten obiekt wyglądał w czasach swojej świetności. Podczas rewitalizacji zdecydowano się na kreację nowoczesną. Rozgorzał spór (Grzegorz Kęsik napisał o nim książkę!), który zakończył się tylko częściową realizacją planów rewitalizacyjnych. Między zamkowymi wieżami zbudowano nowoczesny, przeszklony pawilon, podniesiono poziom części dziedzińca, z którego zerwano oryginalny, późnogotycki dekoracyjnie kładziony bruk (położono go ponownie, ale już na dwóch poziomach). – Przyznaję to ze smutkiem, ale w efekcie de facto zniszczono walory zabytkowe wnętrza i oczywiście obniżono walory zamku. Przez te zabiegi zamek nie został wpisany na listę Pomników Historii, a miałby na to szansę, gdyby nie ta częściowa odbudowa w formie nowoczesnej – mówi Grzegorz Kęsik. A we wspomnianej książce pisze: „Pomysł odbudowy zamku to przede wszystkim pokłosie funkcji rozrywkowej, jaką narzucono warowni już w okresie międzywojennym. Turysta zwiedzający zamek żąda coraz większej ilości rozrywki, chce konsumować coraz szybciej i natychmiast. Zarówno współczesna przebudowa, jak i historyczna rekonstrukcja w pewnym sensie hołdują tym potrzebom. Istnienie średniowiecznej ruiny w centrum miasta jest dla przeciętnego mieszkańca niezrozumiałe. Trzeba by ogromnego wysiłku promocyjnego, aby ruinę »sprzedać społeczeństwu«. Tego typu zabiegi są realne [...]".

PRZEWRÓCIŁO SIĘ – NIECH LEŻY

– Najgorszą sytuację mamy wtedy, gdy decyzja o odbudowie nie ma podstawy merytorycznej, nie ma wsparcia

Podczas odbudowy zamku Tropszyn stworzono... lądowisko dla śmigłowców
FOT. KRZYSZTOF NAHLIK

Ruiny zamku Ogrodzieniec wrosły już w krajobraz i są obiektem wartym ochrony jako nośnik tożsamości krajoznawczej, historycznej, narodowej FOT. ADOBE STOCK

społecznego, tylko jest jakąś uznaniową dyspozycją – podkreśla Roman Marcinek. I dodaje, że przecież nie każdy zamek musi być odbudowany czy rewitalizowany. – Jeżeli mamy do czynienia z monumentalnymi ruinami, takimi jak np. zamku Ogrodzieniec, które wrosły już w krajobraz, są opisywane w literaturze, w poezji, uwieczniano je na pocztówkach już ponad 100 lat temu, są utrwalone w naszej świadomości, to takie ruiny stają się obiektem wartym ochrony jako nośnik tożsamości krajoznawczej, historycznej, narodowej. Bo musimy mieć świadomość, że rozpoczynając odbudowę, tracimy zabytek i budujemy w jego miejsce atrakcję. A każdy błąd przybliża nas w kierunku karykatury zamku – mówi ekspert Narodowego Instytutu Konserwacji Zabytków.

Zwłaszcza że – jak zauważa z kolei Grzegorz Kęsik – brakuje nam jednego ogniwa, bez którego modelowa odbudowa jest praktycznie niemożliwa. – Zaprzepaszczeniu uległo w zasadzie całe rzemiosło. Jeszcze w latach 70. i 80. XX w. mieliśmy rzemieślników, którzy potrafili prawidłowo odtworzyć zabytkowe obiekty, dzisiaj już ich praktycznie nie ma. Wystarczy spojrzeć na dachy, które są dziś zakładane na zabytkowych obiektach. Mają się one nijak do oryginałów. To bardzo ważne, by zabytki konserwować z użyciem tradycyjnych technik, by nadal wyglądały jak zabytki, a nie jak obiekty, które wprawdzie zachowują tradycyjną architekturę, ale wyglądają, jakby powstały wczoraj – mówi Grzegorz Kęsik.

Choć tu należy zaznaczyć, że pojęcie zabytku jest dość płynne, by podać przykład najbardziej oczywisty, czyli całkowicie zrekonstruowany Zamek Królewski w Warszawie. Uważany jest on przez Polaków – co wynika m.in. z rozmaitych ankiet – za jeden z najważniejszych zabytków stolicy, mimo że oryginalnej tkanki jest w nim przecież niewiele. – To dlatego, że jest wizualnie, estetycznie i kulturowo spójny, nie ma tam wyraźnych elementów nowoczesnych, które odcinają się od całości bryły. I właśnie tego oczekują turyści, tego oczekują społeczności lokalne, natomiast tego często nie chcą im dać, ze względu na swoje ideologiczne, nowoczesne przyzwyczajenia, architekci oraz niektórzy konserwatorzy zabytków, zwłaszcza ci konserwatorzy, którzy wywodzą się ze środowiska architektów – mówi Grzegorz Kęsik.

Bywa, że jeśli o spójności zapominają architekci lub inwestorzy, to przypominają o niej mieszkańcy. Presja czasem odnosi skutek. Tak było w wypadku Muszyny. Według wstępnie zaprezentowanego projektu ruiny XIV-wiecznego zamku miały zostać częściowo odbudowane i uzupełnione o elementy takie jak nowoczesny pawilon. Temu pomysłowi sprzeciwili się i mieszkańcy, i lokalne władze. Dzięki temu odbudowa miała charakter tradycyjny. Poruszenie w Internecie wywołały wizualizacje odbudowy zamku w Nowym Sączu. To klasyczny przykład, kiedy o pierwotnym wyglądzie zrujnowanego zabytku niewiele dziś wiemy, brak jest informacji o tym, jak mogły wyglądać zniszczone przed wiekami elementy zamku wzniesionego przez Kazimierza Wielkiego. Jeden z pomysłów przebudowy zakładał uzupełnienie braków szkłem, na co dość stanowczo i jednoznacznie zareagowali mieszkańcy, a także internauci z całej Polski. W ubiegłym roku zapowiedziano stworzenie nowej koncepcji. – Zaprezentowaliśmy już wariant futurystyczny, ale chcemy dać ludziom możliwość wyboru i przygotowujemy kolejny. To będzie klasyczna koncepcja odbudowy, gdzie zamek staramy się odtworzyć jeden do jednego – cytuje prezesa Sądeckiej Agencji Rozwoju Regionalnego Jarosława Suwałę „Gazeta Krakowska".

BRZMI JAK PLAN

W listopadzie ubiegłego roku Narodowy Instytut Konserwacji Zabytków, we współpracy ze Stowarzyszeniem Historyków Sztuki i Stowarzyszeniem Konserwatorów Zabytków, zorganizował konferencję „Odbudować, zmienić, zachować? Zamki w krajobrazie Polski", podczas której o rekonstrukcjach i konserwacji zamków rozmawiali eksperci z Polski i z krajów ościennych. Jej owocem ma być stworzenie rekomendacji dla inwestorów. NIKZ nie jest instytucją, która mogłaby tworzyć dyrektywy. Trzeba by działania ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, aby wnioski ekspertów zostały włączone do obowiązującego zestawu wytycznych, które wydaje Generalny Konserwator Zabytków.

– Chodzi o to, żeby była jasna instrukcja odnośnie do tego, kiedy zamki można odbudowywać, a kiedy nie wolno tego robić. Żeby w procesie wydawania pozwolenia bądź odmowy trzymać się jednolitego wzoru i wyeliminować uznaniowość ze strony pracowników służb konserwatorskich – mówi Roman Marcinek.

Grzegorz Kęsik: – W przypadku zamków można by pokusić się o sklasyfikowanie tych obiektów. Mamy wpisy do rejestru zabytków, mamy Pomniki Historii, ale nie mamy rozróżnienia na zabytki bardziej i mniej wartościowe. Taka klasyfikacja pomogłaby określić, które zamki są najcenniejsze, do których należy podchodzić ze szczególną pieczołowitością i ostrożnością, których nie należy odbudowywać, a które odbudować powinniśmy, oczywiście z zachowaniem tradycyjnego stylu. Ale tu znowu powraca problem braku architektów, którzy potrafią dobrze projektować w dawnych stylach.

Założyciel Fundacji Rekonstrukcje i Odbudowy dodaje, że długofalowym celem, który stawia przed sobą jego organizacja, jest stworzenie w Polsce szkoły architektury klasycznej. Ponieważ – jak mówi – spora część społeczeństwa domaga się projektowania tradycyjnego. Trudno się z tym nie zgodzić.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

WYDAWNICTWO PROMIC ZAPRASZA NA SPOTKANIA TARGOWE!

XXIX Targi Wydawców Katolickich w Arkadach Kubickiego, Zamek Królewski w Warszawie, plac Zamkowy 4

Wstęp wolny!

Piątek 12 kwietnia 2024 r.

• **16.00 – 17.00** stoisko Wydawnictwa
Spotkanie z **ks. prof. P. Kieniewiczem MIC.**

Jedyna taka w Polsce!

Sobota 13 kwietnia 2024 r.

• **12.00 – 13.00**
namiot przed wejściem na TWK
Spotkanie panelowe „Odnaleźć sens… O towarzyszeniu w perspektywie samobójstwa" z **psychoterapeutą M. Czajczyńską** i **suicydologiem ks. J. Magierskim.**
Prowadzenie – p. M. Terlikowska.
Po spotkaniu specjaliści pełnią dyżur ekspercki.

40. rocznica zawierzenia świata Niepokalanemu Sercu Maryi

Sobota 13 kwietnia 2024 r.

• **14.00 – 15.00** **namiot przed wejściem na TWK**
Spotkanie panelowe z **ks. M. Sobiechem** w 40. rocznicę zawierzenia świata Niepokalanemu Sercu Maryi przez św. Jana Pawła II.

Niedziela 14 kwietnia 2024 r.

• **12.00 – 13.00** **namiot przed wejściem na TWK**
Spotkanie panelowe „Obudź w sobie życie. W obliczu niepłodności" z **psychologiem J. Kuczmierowską**, **teologiem ks. prof. P. Kieniewiczem** i **ginekologiem E. Śliżeń-Kuczawską**. Prowadzenie – p. E. Pietrzak.
Po spotkaniu specjaliści pełnią dyżur ekspercki.

Dzieci zapraszamy do stoiska Wydawnictwa PROMIC!

W sobotę, 13.04.2024 r., **13.00 – 16.00** na **eksperymenty naukowe** i **warsztaty artystyczne.**

W niedzielę, 14.04.2024 r., **13.00 – 15.00** na warsztaty artystyczne.

sprawdź na **www.wydawnictwo.pl**

WYDAWNICTWO PROMIC
ul. Św. Bonifacego 9/1, 02-914 Warszawa, tel. 22 651 90 54, e-mail: sprzedaz@wydawnictwo.pl

eprasa.pl f4c7b261e1

Po ponad trzech dekadach istnienia III RP jej kino odkryło, że rolnik ma duszę, sumienie i rozum FOT. MATERIAŁY PRASOWE

To, co utracone

Piotr Gociek

„Ja też tę ziemię lubię, tak jak i ty. Ale na co to komu?" – słyszy bohater filmu „Tyle co nic". To nie tylko opowieść o polskiej wsi. To pożegnanie, to tren

Po ponad trzech dekadach istnienia III RP jej kino odkryło, że rolnik ma duszę, sumienie i rozum. Lepiej późno niż wcale, pytanie, czy nie za późno. Jeśli twoi zaciekli wrogowie nagle okazują ci szacunek, to znaczy, że już nie żyjesz i przestałeś być zagrożeniem. „Każda prawdziwa kultura objawia się w pełni dopiero wówczas, gdy już odeszła wraz z formacją, która ją stworzyła. Dopiero wówczas najwyraźniej widać, jakie nam dziedzictwo zostawiła i czy zostawiła" – pisał Wiesław Myśliwski w eseju „Kres kultury chłopskiej".

Dziwnym trafem film Grzegorza Dębowskiego „Tyle co nic" trafił do polskich kin w chwili, gdy przez kraj przetaczała się fala rolniczych protestów. A w wiodących mediach głównego nurtu trwał festiwal dobrze znanych z poprzednich dekad wyzwisk: że warchoły, że pijacy. Kto pamięta lata 90., ten doskonale sobie przypomni, że wedle obowiązującej wówczas narracji za zbyt wolny marsz Polski ku Europie, kapitalizmowi i szczęściu odpowiadały „grupy roszczeniowe": emeryci, rolnicy i robotnicy z masowo likwidowanych zakładów pracy. Czasy się zmieniają, podobnie jak produkt narodowy brutto, ale narracje pozostają.

MEDYTACJA O PRZEMIJANIU ŚWIATA

„Tyle co nic" zaczyna się od scen bliźniaczo przypominających to, co się działo na ulicach Warszawy czy Wrocławia, tyle że w mikroskali. Z dala od wielkich miast, w jednej z polskich wsi miejscowi rolnicy dokonują zajazdu na podwórze domu lokalnego posła. „Posłużymy się bronią, która działała od zawsze: wywalamy temu panu na podwórko kupę g….!". Poseł nagrabił sobie w elektoracie; co innego obiecał, co innego zrobił, głosując w Sejmie za regulacjami, które miał w interesie rolników zwalczać.

Protestem kieruje Jarek Martyniuk, zagrany wyśmienicie przez Artura Paczesnego, wyróżnionego nagrodą na festiwalu w Gdyni. Paczesny, wypatrzony przez reżysera na deskach Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu, niesie na swoich barkach tę smutną medytację o przemijaniu świata. To rola wybitna. Do paradokumentalnego stylu opowieści pasuje też reszta obsady, widzimy w większości twarze nieograne w kinie, „Tyle co nic" to jeden z nielicznych polskich filmów, które sprawiają, że mamy wrażenie wniknięcia w świat przedstawiony, a nie jego inscenizacji. Ale to nie zasługa warmińskich pejzaży (tam film kręcono), lecz dobrze skrojonych postaci i prawdziwych moralnych dylematów. Tragedia rodzi się tam, gdzie każdy ma swoje racje, które się ze sobą zderzają. Inaczej mielibyśmy do czynienia ze zwykłą publicystyką.

Tak u Dębowskiego nie jest, choć to spór polityczny uruchamia fabułę. Chwilę później mamy już kryminał – Martyniuk próbuje wyjaśnić zagadkę śmierci przyjaciela, o którą niektórzy go obwiniają. Intryga kryminalna poprowadzona jest dobrze, tropy polityczne są czytelne, lecz nie przeważają i nie nadają głównego tonu

eprasa.pl f4c7b261e1

Artur Paczesny wyśmienicie zagrał Jarka Martyniuka. Kadr z filmu „Tyle co nic"

OT. MATERIAŁY PRASOWE

tej opowieści. „Tyle co nic" jest bowiem filmem, który musi przywodzić na myśl prozę Wiesława Myśliwskiego – to rozważania na zupełnie innym poziomie niż zwyczajowe egzorcyzmowanie „ciemnej polskiej wsi" we współczesnym polskim kinie i mainstreamowych gazetowych narracjach.

Podobnie jak w filmie „Bękart" Nikolaja Arcela, który niedawno rekomendowałem, mamy u Dębowskiego sytuację jak z westernu. Tam Mads Mikkelsen grał duński odpowiednik dzielnego farmera, który wbrew bogatemu i zaborczemu sąsiadowi próbuje gospodarzyć na kawałku ziemi powierzonej mu przez króla (rzecz dzieje się w XVIII w.). Walczył o przyszłość, bo ziemia to własność, własność to wolność, to fundament, na którym można budować rodzinę. W naszym „easternie" Martyniuk przypomina z kolei postać graną przez Gary'ego Coopera w antywesternie Freda Zinnemanna „W samo południe". W walce o czynienie tego, co słuszne, pozostaje opuszczony przez wszystkich. Paradoksalnie to obsadzony z początku w roli czarnego charakteru znienawidzony poseł będzie miał dla niego najwięcej zrozumienia. Bohater Dębowskiego nie znajduje zrozumienia i sojuszników nigdzie: ani wśród sąsiadów, ani wśród uczestników protestu (wszystko szybko rozchodzi się po kościach, bo uznano, że jeden gest wystarczy i można się rozejść). Nawet u własnej żony, nawet u księdza. A przecież chce rzeczy najprostszych: prawdy, sprawiedliwości. No i przyszłości, którą daje ziemia, którą daje własne gospodarstwo, własne miejsce pod słońcem.

CZŁOWIEK, KTÓREMU O COŚ CHODZI

Dawno nie było w Polsce filmu, który w pochwałach zjednoczyłby komentatorów z prawej i lewej strony, co z jednej strony ciekawe i cenne, a z drugiej potęguje we mnie podejrzenie, że prawdziwa walka została przegrana. Bo jak inaczej rozumieć entuzjazm tych samych kręgów medialnych, które niegdyś wyżywały się w pogardzie dla mieszkańców PGR-ów z dokumentu „Arizona" i obnosiły ze swą wyższością nad polską prowincją? Ciekawe są chwile, kiedy „Tyle co nic" jednak jest za coś krytykowane, np. recenzentka „Kultury Liberalnej" Ada Minge miała pretensję o brak „dosadnego komentarza autorskiego", że Dębowski nie jest doraźny w swych tezach jak Szumowska czy Komasa. Co jest o tyle ciekawe, że w innym miejscu tekstu „Na wsi, czyli nigdzie" miała Minge bardzo dobre rozpoznanie fenomenu filmu „Tyle co nic", dostrzegając w Martyniuku coś na kształt warmińskiej Antygony, rozdartej między porządkiem boskim i ludzkim. Scena, w której wściekły bohater „Tyle co nic" wyrzuca sąsiadom, że chcą się bawić, podczas gdy trup sąsiada jeszcze nie ostygł, jest znakomita. Jest coś głęboko prawdziwego, ludzkiego i tragicznego w jego prostym zdaniu: „Najpierw trzeba zmarłego pochować".

Kształt prawdy, która wyłania się z filmu Dębowskiego, jest niepokojący dla establishmentu III RP. Grający go Artur Paczesny mówi w wywiadzie dla „Wyborczej": „Protesty rolników? Mój bohater byłby na barykadach i pełniłby w tej rewolucji znaczącą funkcję". A więc nie wariat, nie ciemnogród, nie „grupa roszczeniowa", tylko człowiek, któremu o coś chodzi i ma o co walczyć? A także wszyscy marzący o budowie czy restytucji IV RP nie mogą spać spokojnie, bo „Tyle co nic" jest komunikatem ponurym, gdy zważymy szerszy kontekst. Rolnik, właściciel, katolik, człowiek rodziny był wrogiem ustroju przez cały okres istnienia PRL. W III RP niby mógł gospodarzyć już na szerszą skalę i po swojemu, ale szybko się okazało, że ugrzązł w sieci niezrozumiałych regulacji i barier, unijnych planów polityki rolnej, sprzecznych konceptów. Najpierw miano mu za złe, że domaga się, by produkcja była opłacalna. Potem, gdy okazało się, że napędzony inwestycjami rośnie w siłę i może całą Europę zalać dobrą, tanią żywnością, zaczęto mu tego zakazywać w imię planów pisanych w Brukseli i Strasburgu. I tak dalej.

REŻ. GRZEGORZ DĘBOWSKI
„TYLE CO NIC"
POLSKA
2024

A na to wszystko nakładały się zmiany demograficzne, masowe wyjście ze wsi i miasteczek do miast, gdzie dzieci Martyniuków zamarzyły o nowym życiu. Życiu parobka w wielkiej korporacji, ubranego w half prajsy z TK Maxxa, za to dopieszczonego kawą ze Zbawixa, szotem z „Wódki i Zakąski" oraz rozbawionego darciem pluszowych kaczuszek podczas sierpniowych nocy lata roku 2010. I co zostało? Gdzie nasze „Yellowstone"? Ba, gdzie nasi Niechcice, gdzie nasi kapitanowie Kahlenowie, którzy – jak grany przez Mikkelsena zaciekły rolnik z wyboru – prędzej dadzą sobie skórę z pleców drzeć, niż poddadzą się woli możnych i wpływowych? Niedobitki protestują na ulicach polskich miast w walce, która – jak się obawiam – i jest przegrana, i być może ostatnia.

„Historia na ogół wdzierała się w ich bytowanie jako dopust Boży, byli wydani na pastwę historii bez jakichkolwiek możliwości wpływania na jej bieg" – pisał o polskich chłopach Myśliwski w cytowanym już eseju. Obiecano nam po 1989 r. świat, w którym będzie inaczej i każdy będzie miał szansę na to, by własnymi rękami budować swoją przyszłość. Co z tego zostało? „Ja też tę ziemię lubię, tak jak i ty. Ale na co to komu?" – słyszy Martyniuk od swego adwersarza. Więc co zostało? Tyle co nic.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

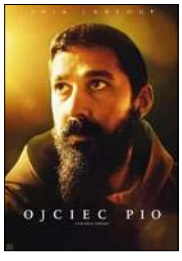

★★★☆☆☆

REŻ. ABEL FERRARA
„OJCIEC PIO" („PADRE PIO")
WŁOCHY/NIEMCY 2022

wyst. Shia LaBeouf, Cristina Chiriac, Asia Argento

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Znaki

Czy jest to dobry film? Nie. Czy jest to film interesujący? Tak. Czy warto się z nim zmagać? Owszem. Rozdarty między sacrum a profanum skandalista Abel Ferrara proponuje opowieść o młodości Francesca Forgionego, znanego do dziś jako o. Pio. Skończyła się pierwsza wojna światowa, do San Giovanni Rotondo wracają weterani frontowych walk i rosną napięcia między biednymi a bogatymi: nowa Italia to wolne wybory, na co miejscowi arystokraci zgodzić się nie chcą. Do miasteczka przybywa też Pio, by w murach własnej celi walczyć z Szatanem, przybierającym rozmaite kształty i poddającym przyszłego stygmatyka rozmaitym próbom.

Najtrudniejsze zadanie miał przed sobą Shia LaBeouf, nieoczywisty i zaskakujący wybór obsadowy w roli głównej – znamy go przecież przede wszystkim z wysokobudżetowych rozrywkowych filmów o niczym. Gdy kręcono film, świat obiegła wieść, że aktor podczas pracy nawrócił się na katolicyzm. Złośliwi pytają, czy aby nie było to po prostu zanurzenie się w roli, zgodnie z metodą Stanisławskiego. Nie zmienia to tego, że LaBeouf to najmocniejszy punkt filmu. Z resztą jest kłopot. Na pierwszy plan wybija się wątek polityczny, przy czym nawet zachodnia krytyka odnotowuje, że jest on schematyczny (wedle „The Hollywood Reporter" subtelny „jak kreskówka dla przedszkolaków"). Czerwone flagi powiewają, lud cierpi, obszarnicy wyzyskują i mordują – Mosfilm nie zrobiłby tego lepiej, nie zapominając o nazwaniu Jezusa pierwszym komunistą.

A jednak nie da się przejść obok tego filmu obojętnie, bo ekranowe udręki o. Pio na to nie pozwalają. Zbliżamy się do Tajemnicy, choć trudno powiedzieć, na ile dzięki reżyserowi, a na ile wbrew niemu. Kilka scen pozostaje głęboko w pamięci. Najciekawsze jest zaś to, że św. O. Pio, zwalczany w realu na wszelkie sposoby przez lewicę, oskarżany o fałszerstwa i rozmaite nadużycia, w filmie okazuje się wręcz przedstawicielem „Kościoła otwartego". Nie sądzę, by takie przesłanie było celem Ferrary, ale tak mu wyszło, bo na tle przedstawianego w filmie uwikłania kleru włoskiego w relacje z polityczną władzą ów znienawidzony „obskurancki stygmatyk" staje się figurą jednoznacznie pozytywną nawet dla lewicy. Pozostałym aż tak karkołomne tłumaczenia nie są potrzebne. ©℗

NOWE SERIALE: „OBŁAWA"

Serial na podstawie książki Jamesa L. Swansona „Manhunt: The 12-Day Chase for Lincoln's Killer". Dni i tygodnie po zabójstwie amerykańskiego prezydenta: jego druh i współpracownik Edwin Stanton (Tobias Menzies) rusza tropem Johna Wilkesa Bootha. Wizualnie bez zarzutu, narracyjnie – rozczarowanie, bo akcja grzęźnie w dłużyznach. Plus wątek o emancypacji świeżo wyzwolonych niewolników. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***miniseria „Obława" („Manhunt"), USA 2024, Apple TV+***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Mścisław Czernow* ***„20 dni w Mariupolu"****, Ukraina 2023* — CANAL+ ONLINE
- *sezon 1* ***„Veronika"****, Szwecja 2024* — sky SHOWTIME
- *miniseria* ***„Zabójczy paradoks" („A Killer Paradox")****, Korea Południowa 2024* — N

eprasa.pl f4c7b261e1

Król jest nagi

sky SHOWTIME

Chcecie kolejnego dowodu, że piękna płeć w braku skrupułów nie tylko dorównuje brzydszej, a nawet ją przewyższa? Voilà, Brytyjczycy popełnili kostiumowy serial, w którym władza i seks to dwie strony tego samego medalu. Mary Villiers (matka znanego z powieści o przygodach czterech muszkieterów księcia Buckingham) uwolniwszy się od męża brutala, pragnie zostać szarą eminencją dworu. Młody George, wyedukowany przez zepsutych do szpiku kości Francuzów, pali się, by spełnić życzenie rodzicielki: zostać faworytem szkockiego sodomity, króla Jakuba I. Jak refren powtarza się sentencja: „Ciała to po prostu ciała". Widzom, wychowanym na plotkach o życiu seksualnym royalsów, takie podejście nie powinno przeszkadzać.

Dowartościowując LGBT, filmowcy haniebnie zlekceważyli inne mniejszości. Czy to możliwe, aby 400 lat temu wyspiarskie elity nie były ani trochę czarnoskóre? Stylówka robi wrażenie, moda z epoki Stuartów, utrwalona na płótnach Rubensa i van Dycka, ma sporo dekadenckiego wdzięku.

O serialu nie da się tego powiedzieć. D.C. Moore i spółka szybko odsłaniają karty, już po pierwszym odcinku widać, że wszyscy są ulepieni z tej samej gliny. Dla Julianne Moore rola władczej Mary to rozgrzewka przed poważniejszym aktorskim wyzwaniem. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

TWÓRCA D.C. MOORE
„MARY & GEORGE"
WIELKA BRYTANIA/USA/WŁOCHY 2024

wyst. Julianne Moore, Nicholas Galitzine, Tony Curran

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TRAUMA I PRZEZNACZENIE

KINO

Pamięć płata figle. Dla jednych jest przekleństwem, dla innych kładką nad przepaścią. Michel Franco trochę się zmęczył eskalowaniem przemocy i wrócił na terytorium, które penetrował w „Opiekunie" i „Córkach Abril". Ciężka choroba, powracająca przeszłość, rodzinne piekło. Sylvia, niepijąca alkoholiczka i pracownica opieki społecznej, ledwo wiąże koniec końcem. Saul jest dobrze sytuowany, jednak cierpi na demencję. Łączy ich tylko tyle, że chodzili do tej samej szkoły. Perfidny los sprawi, że będą mieli szansę poznać się bliżej. Chastain najwyraźniej szuka ról ryzykownych, które nie poprawiają stanu konta ani pozycji w hollywoodzkim rankingu, lecz mogą owocować prestiżowymi nagrodami (a nawet drugim Oscarem). Niestety, ten film ukradł jej Sarsgaard, bezbłędny jako pan Zapominalski. „Sundown" podobał mi się bardziej, ale trudno zaprzeczyć, iż 45-letni reżyser znalazł się na wznoszącej fali. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. MICHEL FRANCO
„PAMIĘĆ" („MEMORY")
USA/MEKSYK/CHILE 2023

wyst. Jessica Chastain, Peter Sarsgaard, Merritt Wever

PAWIA KRZYK

35mm online

W połowie komedia, w połowie musical. Piosenki duetu Włodzimierz Korcz/Ryszard Marek Groński zasiliły skarbnicę naszej popkultury. Dowcipy, a raczej suchary poszły w zapomnienie. Kto mówi, że 40 lat temu nikomu w Polsce nie było do śmiechu, ten błądzi. W kolejkach pod kinami, wyświetlającymi „Lata dwudzieste... lata trzydzieste" stali partyjniacy i opozycjoniści. Na tle gnijącego PRL w najlepsze rozkwitała złota legenda II RP. Film Rzeszewskiego trzeba uznać za zwieńczenie tego procesu. Na ekranie nie pojawia się ani jeden proletariusz, zamiast o walce klas mówi się o mocnej złotówce. Scenariusz kuleje. Król warszawskich teatrzyków Fryderyk (Jarosy?) i kapryśna solistka Hanka (Ordonówna?) asystują narodzinom nowej gwiazdy – roznegliżowanej Grażyny Szapołowskiej, która za ten występ dostanie Złotą Kaczkę. To łabędzi śpiew mody retro, zwiastujący kryzys – najgłębszy w historii naszego kina. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. JANUSZ RZESZEWSKI
„LATA DWUDZIESTE... LATA TRZYDZIESTE"
POLSKA 1984

wyst. Tomasz Stockinger, Grażyna Szapołowska, Piotr Fronczewski

GRA TYGODNIA: „FINAL FANTASY VII REBIRTH"

★★★★★★

Druga część trylogii określanej jako remake „Final Fantasy VII" jest grą wybitną. Mogę tu wymienić jedynie promil powodów, które sprawiają, że warto sięgnąć po „Rebirth": wspaniała fabuła i świat gry, doskonale nakreślone charaktery bohaterów, rzadko spotykany rozmach, wyśmienita oprawa audio i wideo... Trudno znaleźć tu słaby punkt. Może już czas przestać mówić na tę trylogię „remake"? To osobne dzieło kultury, stworzone w hołdzie „FF VII", z poszanowaniem dla pierwowzoru, ale chyba pierwowzór przerastające. ©℗

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gatunek: *jRPG*
Platforma: *PS5*
Producent; wydawca PL: *Square Enix, Cenega S.A.*

eprasa.pl f4c7b261e1

WSPOMNIENIE

Ernest Bryll, poeta arcypolski

KRZYSZTOF MASŁOŃ

W wieku 89 lat zmarł Ernest Bryll, poeta, dramaturg, tłumacz, autor „Na szkle malowanego", „Kolędy Nocki" i tekstów wielu niezapomnianych piosenek. Znacząca postać kultury polskiej, w swoim czasie dyrektor Instytutu Kultury Polskiej w Londynie i ambasador Rzeczypospolitej w Irlandii. Piewca Mazowsza, z którego wcale nie pochodził, zrósł się jednak z tą ziemią, o której pisał tak pięknie jak mało kto, choćby w tym utworze z „Kurdesza", śpiewanym przez Marka Grechutę do muzyki Katarzyny Gaertner:

Ta ziemia taka czysta – jakby umieciona
skrzydłem aniołów, cicha i równinna.
Tyle już wycierpiała – a zawsze dziecinna
ufa, że dobroć jest tylko dobrocią,
a prawo tak jest prawem, jak pola się złocą,
kiedy żyto dojrzewa, jak zimą śnieg pada...
[...]
W dalekich ziemiach za to umierali
moi ojcowie za gniazdo bociana,
za chleb, za tę równinę, co niepokalana,
za to powietrze ze wszystkich mądrości najzdrowsze,
za ludzi zgodnych, mądrych i cierpliwych,
za najwierniejszych z wiernych, uczciwych z uczciwych,
za mą ojczyznę-polszczyznę, Mazowsze.
W dalekich ziemiach za to umierali.

Był zanurzony w polskości, mówił do Polaków i niejako za nich, w ich imieniu. Po „Rzeczy listopadowej" (1968) nieomal uzyskał miano twórcy narodowego. Nie stał się, co prawda, piątym wieszczem, co oznajmił Piotr Kuncewicz, ale jego „Rzecz…" wystawiano na wszystkich scenach, jak Polska długa i szeroka. A fraza:

Jest u nas w kraju jedno święto takie,
Kiedy się rozumieją Polacy z Polakiem;
Jakby grom suchy nagle nad głową im błysnął,

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

ogniem uderzył w ślepia i z mózgów wycisnął
ostatnią kroplę myśli –

powtarzana będzie przy każdej okazji, a i bez niej. Podobnie stanie się po latach, kiedy w 1989 r. aktorzy krzepić nas będą z ekranów telewizyjnych słowami poety: „Jesteśmy wreszcie we własnym domu. Nie stój, nie czekaj. Pomóż".

Z czasem w poezji autora „Rzeczy listopadowej" siła ciężkości przesuwać się będzie coraz wyraźniej w stronę Kościoła, choć trudno jego wiersze nazwać konfesyjnymi. Raczej była to zawsze fascynacja ontologią, elegijność, zapędy mistyczne – jak w „Wieczerniku" (1984). Przy tym jego rozmowa z Bogiem prowadzona była zawsze w ścisłym związku z tym, co działo się we współczesnym świecie, a zwłaszcza w Polsce, a już szczególnie na Mazowszu. Dla poety wciąż piaszczystym, beznadziejnie kartoflanym, a jednak bogatszym – o doświadczenia ostatnich kilkudziesięciu lat.

Miał Bryll swoje wielkie lata, był też czas, gdy mocno go krytykowano. Zarówno Stanisław Barańczak, jak i inni autorzy Nowej Fali w latach 70. zarzucali mu pochwałę chłopskiej przebiegłości, pewien rodzaj podwójnego myślenia, a w sumie serwilizm wobec władzy. Ale po wprowadzeniu przez Jaruzelskiego stanu wojennego poeta wystąpił z PZPR, a w jego dorobku twórczym „Kolęda Nocka" wyparła „Zagrajcie nam wszystkie srebrne dzwony".

Niemniej wypominano Bryllowi jego polemizowanie z niepodległościową, romantyczną tradycją, co w kraju, w którym stacjonowały sowieckie czołgi, było – co akcentował Robert Tekieli – „zwyczajnie nie na miejscu". Choć wcale nie jestem pewny, że „nie przez sarmackość, nie przez rozdmuchiwanie w sobie polskości najbardziej polskiej, nie przez imitowanie »polskocentrycznych« dzieł z tradycji, nie drogą Brylla dochodzi się do nowoczesnej, a zarazem polskiej literatury" – jak skłonni byli uważać Kornhauser pospołu z Zagajewskim. W każdym razie czytelnikom bliższy zawsze był sarmacki Bryll niż europejscy nowofalowcy, o czym świadczą i nakłady książek, i zainteresowanie publiczności na wieczorach autorskich.

A jego tomy wierszy wydane już w XXI stuleciu, że wspomnę tu tylko „Kubek tajemny" i „Golgotę Jasnogórską" będą bardzo religijne i, niezmiennie, arcypolskie. Warto też wspomnieć o współpracy nawiązanej przez Ernesta Brylla z pieśniarzem i kompozytorem Marcinem Styczniem, czego efektem będą m.in. „Bryllowanie Live" i „Zejdźmy się jak na wilię". Jeśli zaś chodzi o stosunek poety do romantyzmu, to np. „Wieczernik" podszyty był nim od początku do końca. A miał on charakter, oczywiście niewyłącznie, narodowy. Bo przecież już znacznie wcześniej uczniowie Jezusa dociekali, czy może to ziemskie Jeruzalem musi zginąć, by zwyciężyła wiara i objęła ziemię całą. Echo narodowego mesjanizmu, naszego romantycznego dziedzictwa, było tu aż nadto wyraźne. ©℗

eprasa.pl f4c7b261e1

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Światłość w lesie

Mężczyzna wychodzi z domu. Wsiada do samochodu. Jedzie. „Nie wiedziałem, dokąd jadę. Po prostu jechałem". Krajobraz się zmienia. Oto las. Oto porzucony samochód. Zmienia się pora roku – czy to już zima? Dookoła śnieg. A w oddali „świetlisty kontur, który staje się coraz wyraźniejszy". Ale nim anonimowy bohater-narrator zbliży się do tajemniczej figury, spotka inne: matkę, ojca, mężczyznę w czarnym garniturze. Ale jakże to możliwe, nocą, w lesie, w śniegu, skoro od dawna nie żyją?

Jak rzecz odczytać? A jak chcecie. Proza norweskiego noblisty jest prezentem dla każdego inteligentnego czytelnika; oto wrota szeroko otwarte, interpretujcie, kombinujcie, zastanawiajcie się. Mój serdeczny znajomy widzi w „Białości" po prostu opowieść o duchach. Wedle mnie oczywisty jest klucz religijny, nowela Jona Fosse'a, ubiegłorocznego laureata Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, to opowieść o żegnaniu się z życiem doczesnym i przechodzeniu do innego świata. „Mówię: kim jesteś. Istota odpowiada: jestem tym, kim jestem – a ja myślę, że podobną odpowiedź już słyszałem, ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie, albo może gdzieś czytałem". A przecież słowami „jestem, który jestem" odpowiadał Bóg Mojżeszowi w Księdze Wyjścia. Nie wiem, czy słowo „Białość" w polskim przekładzie tytułu tutaj pasuje. Może lepsze byłoby „Jasność"? „Światłość"? Pal sześć wierność oryginałowi, myślę o sensie.

Niezwykle precyzyjna jest proza Jona Fosse'a, monolog bohatera jak spirala układa się wokół powracających motywów, zdań, stwierdzeń. I za każdym obrotem koła świat, który zaczął się od „wyjechałem z domu", staje się coraz większy, znaczenia coraz inne. A gdyby tak spróbować jeszcze jednej interpretacji – nie wyklucza ona tropu religijnego i figury przejścia, o których wspominałem. Spróbujmy: podróż narratora to całe życie człowiecze. Mija wyloty „dróg mniej uczęszczanych" (wspomnijmy Frosta), mija ruiny domostw, fantazjując o tym, że mógłby w nich żyć. „Chętnie zamieszkałbym w tym domu, który mijałem, ale musiałoby to być w innych czasach, dawniej, kiedy byłem młody, nie teraz". Krajobraz się zmienia, marzenia ulatują, droga się kończy, a u kresu czeka świetlista figura – „jaśnieje migotliwie w swojej białości i mówi: idźcie za mną". Wszyscy jedziemy w tamtą stronę. „Nie dojechałem do żadnego miejsca, gdzie dałoby się zawrócić" – pisze Fosse. ©℗

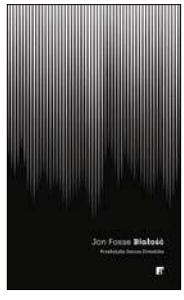

★★★★★☆
JON FOSSE „BIAŁOŚĆ" ARTRAGE 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wspaniałe zdjęcia Adama Bujaka, głęboko osobista, sięgająca ku poezji opowieść Marka Skwarnickiego – jedyna w swoim rodzaju publikacja, która jest podróżą i geograficzną, i duchową.

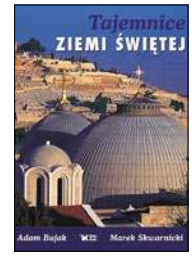

ADAM BUJAK, MAREK SKWARNICKI „TAJEMNICE ZIEMI ŚWIĘTEJ" BIAŁY KRUK

Ukraińska zbrodnia w Hucie Pieniackiej (doszło do niej 28 lutego 1944 r.) oczami świadków i na podstawie historycznych dokumentów. Opowiada znakomity pisarz i strażnik pamięci o Kresach.

STANISŁAW SROKOWSKI „ZANIM SPŁONĘLI ŻYWCEM" FRONDA

Ambasadorzy PRL, którzy wybrali wolność na początku stanu wojennego. Nie tylko ciekawe biografie, lecz także świetnie nakreślony obraz epoki, prof. Pleskot umie opowiadać. Obaj opisywani dyplomaci już do Polski nie wrócili.

PATRYK PLESKOT „RURARZ, SPASOWSKI: ŻYWOTY RÓWNOLEGŁE" IPN

Wznowienie powieści, która zainspirowała nagrodzone Oscarem kinowe dzieło Jonathana Glazera. Powieść jednak różni się znacznie od filmu, Amis snuł opowieść bardziej fabularną i wielowątkową. Warto porównać. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

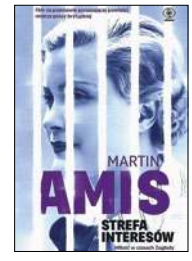

MARTIN AMIS „STREFA INTERESÓW" REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „JAK ZOSTAĆ KRÓLEM"

Nie tyle typowy komiks, ile obrazkowa opowieść – ciąg dalszy polecanego przeze mnie kiedyś tomu „Dobre czasy. Jak zarobić w średniowieczu". Młody Władysław Waza (przyszły król) podróżuje po Rzeczypospolitej Obojga Narodów (a my z nim), poznając jej życie codzienne, obyczaje, gospodarkę, wojsko. Świetny materiał edukacyjny, ale można i czytać dla przyjemności. ©℗

Piotr Gociek

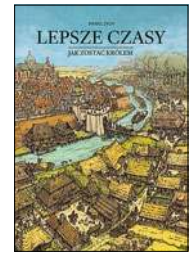

PAWEŁ ZYCH „LEPSZE CZASY. JAK ZOSTAĆ KRÓLEM" DOBRE CZASY 2024

eprasa.pl f4c7b261e1

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Godna oprawa

Jeśli już albumy trafiają na wystawę, to zwykle otwarte na konkretnej stronie, by zaprezentować wybrane fotografie. Częściej jednak zdjęcia się z nich wyjmuje. W tym wypadku jest inaczej. „Wystawa »Śliczna jest młodość naszego wieku. Fotoalbumy 1850–1950« pokazuje przemiany albumów fotograficznych, utrwalanie i przemijanie obowiązujących je konwencji oraz to, jak splecione są z historią fotografii. Prezentuje role, które albumy odgrywały w społecznościach, rodzinach czy instytucjach".

Są tu i albumy bardzo prywatne (co podkreślają słowa „śliczna jest młodość naszego wieku", które pochodzą z odręcznego podpisu na karcie albumu, który w 1943 r. z okazji imienin otrzymała dziewczyna o imieniu Franka), i zbiory mniej osobiste. Jest pierwszy fotograficzny album widoków Warszawy autorstwa Karola Beyera z 1859 r. czy album ze słynną dokumentacją fotograficzną budowy mostu Kierbedzia. Niektóre eksponaty muzeum pokazuje po raz pierwszy. ©℗

GDZIE? *Muzeum Warszawy*
KIEDY? *do 26 maja*

FOT. A. CZECHOWSKI; M. KALINA

FOT. ARKADIUSZ PODSTAWKA

BARANKI I PAJĄKI

Od blisko 60 lat Muzeum Etnograficzne we Wrocławiu przypomina te już nieco zapomniane i kultywuje jeszcze praktykowane tradycje wielkanocne. Stroiki, palmy, ceramiczne baranki, kartki, pisanki („zdobione tradycyjnymi technikami – batikową, rytowniczą i aplikacyjną, wśród nich oklejane rdzeniem sitowia, włóczką [...]", opolskie „kroszonki", „petrykiwki") oraz wielkanocne pająki, czyli przestrzenne konstrukcje przypominające żyrandole, wykonywane dawniej ze słomy, trzciny, fasoli, grochu, skrawków kolorowej bibuły, tkaniny, włóczki lub piór. ©℗

GDZIE? *Muzeum Etnograficzne we Wrocławiu*
KIEDY? *do 6 kwietnia*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Gwiazdy też cierpią

Amerykanka powróciła z płytą, na której opowiada o rozpadzie swojego małżeństwa.

Ariana Grande rozpoczęła karierę, występując w musicalach i serialach telewizyjnych. Początkowo inspirowała się twórczością Whitney Houston i Mariah Carey. Szybko jednak włączyła do swoich piosenek elementy hip-hopu i elektronicznej muzyki tanecznej. Jej sześć studyjnych albumów osiągnęło w USA ponadmilionowe nakłady. Siódmy, „Eternal Sunshine", jest jej najbardziej spójną i dojrzałą płytą. W końcu z podlotka przeistoczyła się w kobietę, która ma coś istotnego do zaśpiewania. Większość tekstów odnosi się do jej uczuciowych dramatów. Grande śpiewa o nich z klasą i zarazem z uśmiechem odnosi się do ataków wydawanych na jej temat przez tabloidy.

Ci, którzy spodziewali się typowego dla Ariany dyskotekowego house rave'u, mogą być nieco zawiedzeni. Grande z lekkością płynie między ciepłymi, bujnymi tonami R&B i popowymi piosenkami. Jedynie singlowy „Yes, and?" oraz „Bye" wpisują się w disco revival. Tyle że Ariana zamiast rozkoszować się nocnymi eskapadami, żegna się z miłością. W finałowym „Ordinary Things" Grande pyta babcię o to, jak można utrzymać trwały związek. Marjorie Grande odpowiada: „Nigdy nie idź spać bez pocałunku na dobranoc. Jeśli dając go, nie czujesz się komfortowo, to jesteś w złym miejscu, opuść je". ©℗

★★★★☆☆
ARIANA GRANDE
„ETERNAL SUNSHINE"
ISLAND

★★★☆☆☆
JUSTIN TIMBERLAKE
„EVERYTHING I THOUGHT IT WAS"
RCA

Dzięki pierwszym dwóm albumom i rolom w filmach stał się supergwiazdą. Kolejne płyty sprzedawały się dobrze, ale były przeciętne. Po sześcioletniej przerwie Justin próbuje wrócić na tron. Niestety, te melodyjne piosenki nie wychodzą poza sztampę.

★★★★★★
THE BLACK CROWES
„THE SOUTHERN HARMONY AND MUSICAL COMPANION [DELUXE EDITION]"
AMERICAN RECORDINGS

Jubileuszowe wznowienie jednego z najlepszych rockowych albumów lat 90. Doskonałe połączenie rockowej tradycji (Faces, Stones) z brzmieniem amerykańskiego południa.

eprasa.pl f4c7b261e1

Teatralna i koncertowa Wielkanoc

„Jesus Christ Superstar" to musicalowy evergreen

FOT. OPERA I FILHARMONIA PODLASKA

Grzegorz Kondrasiuk

Muzyka, koncerty i festiwale – jaki jest repertuar na święta?

Na czas Wielkiejnocy część polskich teatrów przygotowuje specjalny repertuar. Zgodnie z prawami świątecznego czasu okazuje się, że jednak istnieją teatralne propozycje zerkające, na różne sposoby, w „drugą przestrzeń", jakkolwiek by ją artyści definiowali. Jednak największą rolę nieodmiennie odgrywa muzyka, wielkopostne i wielkanocne festiwale i koncerty sięgające do wspaniałego skarbca sakralnej muzyki pasyjnej. W teatrach dramatycznych pojawiają się natomiast wznowienia spektakli odnoszących się wprost lub pośrednio do tematu wiary, ofiary czy odkupienia.

W tym roku w teatrach nie ma zbyt wielu nowych propozycji, dlatego oryginalnością wyróżnia się premiera Polskiej Opery Królewskiej. „Gra o Męce i Zmartwychwstaniu" w reżyserii Jerzego Machowskiego (6 kwietnia, Teatr Królewski w Starej Oranżerii w Łazienkach Królewskich) to spektakl ułożony przez Patryka Kenckiego ze staropolskich tekstów, pieśni i tańców, m.in. Mikołaja Gomółki i Wacława z Szamotuł, oraz anonimowych kompozycji z renesansowych tabulatur, w opracowaniu muzycznym Jacka Urbaniaka i wykonaniu Zespołu Wokalnego POK i Zespołu Instrumentów Dawnych POK Capella Regia Polona.

Na sceny operowe i musicalowe nieodmiennie wraca musicalowy evergreen: „Jesus Christ Superstar" Tima Rice'a i Andrew Lloyda Webera. Premierowo – w Operze Lubelskiej w reżyserii Tomasza Mana (od 23 marca, Centrum Spotkania Kultur w Lublinie). Tytuł ten od dwóch sezonów jest też w repertuarze Opery i Filharmonii Podlaskiej w Białymstoku, w reżyserii Jakuba Wociala i Santiago Belli. Wróciła i starsza inscenizacja tego samego duetu stworzona w ramach inicjatywy Broadway w Polsce – grana była w Krakowie w teatrze Variete, a obecnie gości w Warszawie (teatr Rampa na Targówku, od 28 marca). Kościoły, filharmonie i duże sceny teatralne zapraszają na specjalne koncerty wielkopostne, monumentalne i chóralne, oprócz zwyczajowych wykonań ciemnych jutrzni czy „Mesjasza" Haendla – w Operze Wrocławskiej można obejrzeć oraz posłuchać np. baletowej wersji „Requiem d-moll" Mozarta w choreografii Jacka Tyskiego (28 marca).

Rozpoczęły się dwa najważniejsze festiwale: krakowskie Misteria Paschalia (do 1 kwietnia) i warszawski Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena, z koncertami gościnnymi, m.in. w Krakowie, Zabrzu, Radomiu czy Kazimierzu Dolnym (do 29 marca). To imponujące programy złożone z kilkudziesięciu wydarzeń, największe nazwiska i renomowane orkiestry. Misteria Paschalia w bogatym programie zorientowanym na wykonawstwo historyczne ma „Nieszpory ku czci Najświętszej Maryi Panny" Claudia Monteverdiego w wykonaniu słynnego Le Poème Harmonique czy wirtuozerskie koncerty klawesynowe Pierre'a Hantaï, Justina Taylora i Carole Cerasi. W Wielki Piątek na Wawelu zabrzmi muzyka Marc'Antonia Zianiego, odkryte przez zespół Les Traversées Baroques pod dyrekcją Etienne'a Meyera.

Wielkanocny Festiwal van Beethovena proponuje koncerty symfoniczne Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, Polskiej Orkiestry Sinfonia Iuventus, Orkiestry Leopoldinum i Orkiestry Filharmonii Luksemburskiej. Zespół Virtuosi della Scala wykona program poświęcony Giacomo Pucciniemu, zostanie przypomniana także… baśń Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi" z muzyką Krzysztofa Pendereckiego.

W wielkanocnej ofercie teatralnej zabawnie wygląda… „Wieczór Trzech Króli" (reżyseria: Piotr Cieplak) w Teatrze Narodowym w Warszawie (od 5 kwietnia). Wśród nowych ciekawych inicjatyw festiwalowych trzeba wymienić odbywający się w Łodzi Festiwal Sztuki Aktorskiej Teatropolis (do 27 marca), z programem skonstruowanym z monodramów, m.in.: „Zapowiada się ładny dzień" Joanny Gonschorek z Teatru Modrzejewskiej w Legnicy, w której tekstem poetki Anny Podczaszy aktorka opowiada o śmiertelnej chorobie i żegnaniu się z życiem; „Historia Jakuba" Tadeusza Słobodzianka z teatru Ateneum, na motywach historii życia ks. Jakuba Waszkinela; „Elektra23" Joanny Holcgreber z Ośrodka Praktyk Teatralnych „Gardzienice"; „Stryjeńska. Let's dance Zofia" Doroty Landowskiej w reżyserii Joanny Lewickiej i „W maju się nie umiera" Agnieszki Przepiórskiej, spektakl poświęcony Barbarze Sadowskiej. ©℗

eprasa.pl f4c7b261e1

Program i koniunktura

eprasa.pl f4c7b261e1

FOT. ADOBE STOCK

Lech Mażewski

Być może ponownie nadchodzi czas, aby konserwatyści wywarli większy wpływ na politykę polską. Zależeć to będzie zarówno od posiadanego przez nich programu, jak i koniunktury. W przeszłości przeważnie kończyło się to oblaniem przez konserwatystów egzaminu z polityki. Czy tym razem będzie inaczej?

W Królestwie Polskim ukształtowały się w latach 60. XIX w. dwa ośrodki zachowawcze: mniejszościowy skupiony wokół margrabiego Aleksandra Wielopolskiego i dominujący w prawicowej opinii, na którego czele stał hrabia Andrzej Zamoyski. Przed oboma stanęło to samo wyzwanie: wykorzystać koniunkturę stworzoną przez klęskę Rosji w wojnie krymskiej, co skutkowało rozpoczęciem reform wewnętrznych w carskim imperium oraz nawiązaniem współpracy w zakresie polityki międzynarodowej między Petersburgiem a Paryżem. Również liberalno-lewicowi Czerwoni, prący do powstania pod hasłem odzyskania niepodległości i uwłaszczenia chłopów, mogli swoim radykalizmem wzmacniać pozycję konserwatystów jako czynnika broniącego przed zbrojną zawieruchą.

Wielopolski, posługując się metodą odgórnego oddziaływania na władze rosyjskie i posiłkując się groźbą wybuchu powstania, rozumiał, że niemożliwe było wówczas odzyskanie przez Polskę niepodległości, a jedynie można było próbować dokonać rekonstrukcji ustrojowej Królestwa Polskiego, co w przyszłości powinno umożliwić prowadzenie bardziej ambitnej polityki. I tu margrabia miał bezwzględnie rację. Słabościami jego zabiegów nie były przyjęty sposób uprawiania polityki czy polityczny minimalizm, ale brak propozycji radykalnego rozwiązania kwestii chłopskiej, gdyż taką nie było oczynszowanie rozłożone na kilkadziesiąt lat. Realizacja przez Wielopolskiego programu uwłaszczenia chłopów przez jednorazowe nadanie im ziemi pozostawiłaby Czerwonych jedynie z hasłem beznadziejnej walki z Rosją, co mogło skończyć się czymś podobnym do rabacji galicyjskiej z 1846 r.

Zamoyski jeszcze gorzej wykorzystał ówczesną koniunkturę polityczną, bo ugiął się pod szantażem powstańczym ze strony Czerwonych, nie będąc w stanie przeciwstawić się postulatowi walki z Rosją bez względu na wszystko. Przywódca konserwatywno-liberalnych Białych zamiast wspomagać margrabiego w realizacji reform, pozwolił na to, żeby jego zwolennicy znaleźli się na pasku sił radykalnych, a on sam na wymuszonej emigracji.

Stawką, o którą walczyli zachowawcy w latach 60. XIX w., było nie tylko dokonanie rekonstrukcji ustrojowej Królestwa Polskiego, lecz także takie rozstrzygnięcie sprawy agrarnej, które dałoby szansę oparcia w przyszłości polityki konserwatywnej na masach uwłaszczonych chłopów. W efekcie musiałoby to doprowadzić do sytuacji, w której prawica mogłaby stać się samodzielnym podmiotem polskiej polityki w ramach nieuchronnej demokratyzacji stosunków społecznych. Klęska powstania styczniowego była równoznaczna z wyeliminowaniem obu ośrodków konserwatywnych z wpływu na polską politykę.

Równolegle Austria po przegranej w 1859 r. wojnie z Francją i Piemontem, a następnie klęsce w starciu z Prusami w 1866 r. rozpoczęła reformy ustrojowe, których kierunek kilkakrotnie się zmieniał. Galicyjscy zachowawcy początkowo popierali program federalizacji naddunajskiej monarchii, aby w końcu być zmuszonymi przyjąć dość minimalistyczną propozycję autonomii dla ziem polskich w ramach dualistycznej monarchii Habsburgów. Traktowano to jednak jako rozwiązanie przejściowe, wiodące do utworzenia trialistycznej monarchii: austro-węgiersko-polskiej, powiększonej przynajmniej o Królestwo Polskie.

eprasa.pl f4c7b261e1

Tym razem metoda odgórnego oddziaływania na władzę z wykorzystaniem koniunktury międzynarodowej przyniosła korzystny dla Polski efekt.

Dopóki w Austrii i samej Galicji obowiązywało kurialne prawo wyborcze, dopóty dominacja polityczna krakowskich konserwatystów (zwanych stańczykami) była oczywista. Jednak na początku XX w. nie dało się już powstrzymać zmian w kierunku demokratyzacji prawa wyborczego, a to spowodowało, że nie byli oni w stanie dłużej ukryć tego, iż nie są stronnictwem o masowym poparciu. Próba zakorzenienia w masach nie powiodła się, a polityczne znaczenie galicyjskich zachowawców zależało głównie od przychylności ze strony zaborczej władzy, głównie samego cesarza Franciszka Józefa.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej stało się jasne, że doprowadzenie do przebudowy monarchii habsburskiej na trialistyczną jest niewykonalne; przeciwni temu byli zarówno Niemcy, główny sojusznik Austro-Węgier, jak i Węgrzy, którzy nie chcieli zrezygnować ze swojej uprzywilejowanej pozycji w ramach dualizmu z 1867 r. Dopuszczenie Polaków do współrządzenia państwem habsburskim na zasadach trzeciego członu federacji okazało się mrzonką stańczyków, podobnie jak idea powiększenia tego państwa o Królestwo Polskie. Słowem – przyjęty przez krakowskich konserwatystów sposób rozwiązania sprawy polskiej zakończył się kompletnym fiaskiem.

W OKRESIE DWUDZIESTOLECIA MIĘDZYWOJENNEGO

W latach 1918–1939 rola polskich konserwatystów ograniczyła się do mało skutecznych prób oddziaływania odgórnego na politykę dominujących sił politycznych; do zamachu majowego głównie przedmiotem zabiegów zachowawców była narodowa demokracja, po maju 1926 r. zaś obóz sanacyjny. Trzeba powiedzieć, że przynajmniej w zakresie spraw ustrojowych przedstawiciele środowisk konserwatywnych, szczególnie epigoni stańczyków, wywarli pewien wpływ na rozwiązania konstytucyjne, co widoczne jest w ustawie konstytucyjnej z 23 kwietnia 1935 r.

Zatem i po zamachu majowym o skorzystaniu przez konserwatystów z istniejącej koniunktury zadecydowało posiadanie atrakcyjnego z punktu widzenia rządzących elementu programowego. Natomiast jeśli szło o budowę własnej pozycji, to okres pozostawania w elicie władzy, czyli do śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego, został całkowicie przez zachowawców zmarnowany. Znaczenie majątku i rodowych koneksji ważyło coraz mniej w polityce, co nie znaczy, że w ogóle stawało się nieprzydatne. Polscy konserwatyści nie byli chyba w stanie tego zrozumieć.

Na przełomie lat 80. i 90. XX w. istniała koniunktura na zbudowanie stronnictwa konserwatywnego

Czy środowisku „Buntu Młodych"/„Polityki" z Jerzym Giedroyciem na czele, które pod koniec lat 30. ubiegłego wieku próbowało uprawiać politykę konserwatywną w oparciu o model odgórnego oddziaływania na sanacyjną władzę, mogłoby się udać uzyskać coś więcej niż ich poprzednikom, a na przeszkodzie stanęła jedynie klęska Polski we wrześniu 1939 r.? Trudno to rozstrzygnąć, ale brak było jasnego przesłania programowego, poza wezwaniami do budowy mocarstwowej Polski. Jak na grono ludzi przekonanych o posiadaniu wyjątkowych kwalifikacji do wpływania na życie publiczne to po prostu za mało, żeby móc odpowiedzialnie decydować o losach państwa. Jednak nie wiadomo, co by się z nimi ostatecznie stało, gdyby wojnę przeżył Adolf Bocheński, najwybitniejszy publicysta polityczny tego środowiska, który zginął pod Ankoną we Włoszech w połowie 1944 r.

NA PRZEŁOMIE STULECI

W połowie lat 80. ubiegłego wieku wydawało się, że rozpoczął się w Polsce proces odbudowy prawicy. Środowiska „Głosu", „Res Publiki", „13 grudnia" i „Polityki Polskiej" przyjęły za swój pogląd sformułowany przez Jacka Bartyzela, jednej z czołowych postaci Ruchu Młodej Polski, że nie chodzi o walkę z państwem, ale walkę o państwo. Wynikało z tego uznanie PRL za państwo polskie, które należy poddać procesowi kompleksowej reformy, odrzucając jednocześnie jałowe wezwania przywódców solidarnościowego podziemia do strajku generalnego, który miał doprowadzić do powstania samorządnej Rzeczypospolitej z programu oliwskiego zjazdu NSZZ „Solidarność". Temu właśnie miała służyć działalność zarejestrowanego w 1988 r. stowarzyszenia Dziekania, kierowanego przez Stanisława Stommę, lidera niegdysiejszego ruchu Znak.

Bez wątpienia na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku istniała koniunktura na zbudowanie głównie w oparciu o dorobek ideowy i zasoby kadrowe RMP stronnictwa konserwatywnego o szerokim poparciu społecznym. Środowisko to podjęło próbę syntezy dorobku polskich konserwatystów i przedstawicieli narodowej demokracji, co torowałoby drogę do powołania nowej formacji prawicowej. Temu właśnie miało służyć istnienie Dziekanii. Wkrótce okazało się, że Stommie znacznie bliżej było do środowisk liberalno-lewicowych skupionych wokół Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie niż do podjęcia rzeczywistego wysiłku na rzecz odbudowy polskiej prawicy. Także Aleksander Hall, lider RMP, wcześniej odwołujący się do tradycji narodowodemokratycznej, podjął tę samą decyzję, stając się członkiem rządu Tadeusza Mazowieckiego. Dziekania okazała się płodem martwo urodzonym, niczego nie osiągnąwszy, choć sukces tego typu inicjatywy wydawał się oczywisty, i to mimo dokonania wcześniej zwrotu w kierunku politycznego realizmu.

Część działaczy ówczesnej prawicy doprowadziła do powołania pod koniec 1989 r. Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, ale po różnych perypetiach i już w nieco innym składzie, jako Przymierze Prawicy, podporządkowali się oni Jarosławowi Kaczyńskiemu, wchodząc w 2002 r. do PiS. Prezes PiS z polską prawicą niewiele ma wspólnego, będąc eksponentem raczej idei i praktyki etatystycznego obozu piłsudczykowskiego. W rezultacie kolejny raz zatriumfowała nieco zakamuflowana niepodległościowa lewica, będąca spadkobierczynią Czerwonych, Organizacji Bojowej PPS z okresu rewolucji 1905 r. czy I Brygady Legionów Polskich, nad niezdolną do prowadzenia własnej polityki prawicą.

Nawet zachowanie tradycyjnych zasad obyczajowych czy moralnych w życiu publicznym Polski wynika bardziej z aktywności innych podmiotów, w tym

eprasa.pl f4c7b261e1

Jana Pawła II i Kościoła w ogóle, pewnej zachowawczości większości Polaków czy małego w przeszłości radykalizmu w tych sprawach Sojuszu Lewicy Demokratycznej niż nacisku samych konserwatystów. Obecnie może się to zmienić, co związane byłoby z próbą dostosowania Polski przez rząd Donalda Tuska do wzorców liberalno-lewicowych generowanych zarówno w USA, jak i przez gremia kierownicze Unii Europejskiej.

Niewątpliwy sukces polscy konserwatyści po 1989 r. odnieśli w przestrzeni metapolitycznej. Liczby pism, fundacji czy stowarzyszeń podejmujących tam aktywność, ale także sam efekt tych wysiłków, nie da się porównać z niczym, z czym wcześniej mieliśmy do czynienia – mimo posiadanych majątków i rodowych koneksji polskich zachowawców. Jednak uzyskania rzeczywiście imponujących efektów w przestrzeni metapolitycznej nie należy mylić z powstaniem programu stricte politycznego. Tu akurat sytuacja jest taka sama jak na przełomie lat 80. i 90. Gdyby zapytać któregoś z konserwatystów, co ma do zaproponowania Polsce, nie uzyskalibyśmy żadnej sensownej odpowiedzi. Jałowe wezwania do obalenia panowania demoliberałów albo marnie ukrywaną chęć pójścia do nich na polityczną służbę, przy zachowaniu odrobiny ideowego kolorytu, trudno za taką uznać.

ROK 2025

Jeśli kiedykolwiek polski konserwatyzm ma odegrać jeszcze jakąś rolę polityczną, to jego przedstawiciele nie mogą tylko jak równy z równym toczyć bojów z lewicą czy liberałami w przestrzeni metapolitycznej, lecz także muszą być w stanie odpowiedzieć na pytanie: Co robić? Bez tego bowiem nie ma możliwości uprawiania polityki, szczególnie na zasadzie odgórnego oddziaływania na władzę, bo inny na razie nie wchodzi w grę. Aczkolwiek w sprzyjających okolicznościach, które niedługo mogą się pojawić, można by podjąć próbę działalności politycznej w oparciu o rozbudowaną infrastrukturę społeczną.

Taką koniunkturę w wymiarze międzynarodowym może stanowić chociażby forsowana federalizacja UE. Jedynie konserwatywni publicyści skupieni wokół „Do Rzeczy" rozumieją, że należy wykorzystać to dla podkreślenia znaczenia suwerenności państwowej Polski i walki o prowadzenie niepodległej polityki, w miejsce zastanawiania się, jak ratować UE przed nią samą. Postulują oni, aby nie obawiać się przy tym oskarżeń o wezwania do dokonania polexitu, bo dalsze istnienie państwa jest ważniejsze. Towarzyszy temu fakt, że zamiast rytualnego labidzenia o zagrożeniu ze strony Rosji otrzymujemy realistyczne stanowisko w sprawie wojny nad Dnieprem i w ogóle wobec Ukrainy. Jest szansa, że publicyści ci nie ulegną ani unijczykom tworzącym rząd Tuska, ani hałaśliwym antyrosyjskim patriotom z PiS. Ci pierwsi są tak nieznośnie postępowi, że jest to zwyczajnie niemożliwe; w przypadku tych drugich nieustannie stosowany przez nich powstańczy szantaż, mający na celu doprowadzenie do ugięcia karku przez konserwatystów przed kolejnym wcieleniem obozu Czerwonych, nie powinien być skuteczny, skoro szantażowani nie chcą się temu poddać, co, niestety, wcześniej się zdarzało.

Dla środowisk konserwatywnych wielkie znaczenie mogą mieć wybory prezydenckie w 2025 r.

Dla środowisk konserwatywnych wielkie znaczenie mogą mieć wybory prezydenckie w 2025 r. Jeśli po raz kolejny z rzędu – po wyborach samorządowych i do Parlamentu Europejskiego, co będzie miało miejsce w połowie 2024 r. – przegra je PiS, to partia Kaczyńskiego ulegnie dekompozycji, jak stało się to ponad 30 lat temu w przypadku Porozumienia Centrum. A w takiej sytuacji otwierałoby się pole dla nowych inicjatyw politycznych na prawicy, w tym z pewnością także dla konserwatystów. Byle tylko nie powtórzyła się sytuacja z końca zeszłego stulecia, kiedy to bycie na marginesie obozu liberalno-lewicowego czy niepodległościowej lewicy miało większą wartość niż próba tworzenia własnej formacji.

Kandydat PiS może jednak wygrać wybory prezydenckie, choć dziś bardzo niewiele na to wskazuje. W 2015 r. też wydawało się, że Andrzej Duda nie ma żadnych szans, a jednak stało się inaczej i zupełnie do tego nie było potrzebne posiadanie mediów publicznych. W efekcie nastąpiłby chaos w sprawowaniu władzy publicznej w Polsce, o czym pisałem już w „Do Rzeczy" (nr 46/2023). Bez głębokiej reformy konstytucji by się nie obeszło, a być może nawet byłaby zgoda co do uchwalenia nowej ustawy zasadniczej. Nie będzie można jednak skorzystać z tej koniunktury, nie posiadając własnego programu ustrojowego.

Paradoksalnym sojusznikiem w odbudowie znaczenia polskich konserwatystów mogliby być następcy Czerwonych, i to mimo zrozumiałej niechęci, którą wzbudzają oni wśród zwolenników polityki rozumianej jako rodzaj racjonalnej działalności, a nie metody pobudzania masowych emocji, wiodących częstokroć w przeszłości do wybuchu walki zbrojnej prowadzonej w imię niemożliwych do osiągnięcia celów. Jednak antyrosyjscy patrioci musieliby stać się rzeczywistym zagrożeniem dla rządu centrolewicowego, z którym nie byłby on w stanie sobie poradzić, a dziś niewiele na to wskazuje. Mógłby to być odpowiedni moment na szersze przedstawienie posiadanego programu, a może nawet podjęcie próby wpłynięcia na dysponentów władzy w celu jego realizacji. Należy przy tym bardzo uważać, żeby nie ulec zbyt dobremu mniemaniu na swój temat, co przytrafiło się Giedroyciowi i jego współpracownikom pod koniec lat 30., szczególnie jeśli nie ma do tego dobrych podstaw.

Polityka polska obejdzie się bez udziału konserwatystów, chociaż jest ona przez to uboższa. Tak jednak nie musi być. Istniejącej koniunktury i tej, która może się jeszcze pojawić, nie da się wykorzystać bez posiadania programu. Trzeba ponadto wyciągnąć wnioski z klęski, którą poniosły środowiska prawicowe w Polsce na przełomie stuleci, ale też ustrzec się przed egoizmem klasowym, który zgubił Wielopolskiego, czy niepotrzebnymi złudzeniami co do własnej wartości. Pewnie, że dla uprawiania polityki trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, ale żeby się one mogły pojawić, należy najpierw dysponować jakimś choćby zarysem programu, bo inaczej z istniejącej koniunktury skorzystają inni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

Z dr. Markiem Wojnarem, historykiem, autorem książki „Imperium ukraińskie. Źródła idei i jej miejsce w myśli politycznej ukraińskiego nacjonalizmu integralnego pierwszej połowy XX wieku"

rozmawia Tomasz D. Kolanek

Ukraińskie marzenia o imperium

FOT. ANADOLU/GETTY IMAGES

TOMASZ D. KOLANEK: Gdyby miał pan wskazać moment, w którym narodziła się idea, ideologia ukraińskiego nacjonalizmu, to kiedy by to było?

DR MAREK WOJNAR: Narodziny ukraińskiego nacjonalizmu można podzielić na dwa etapy. Pierwszy to twórczość charkowskiego prawnika z przełomu wieków XIX i XX. Mykoły Michnowskiego. Był postacią „w połowie drogi" między nacjonalizmem risorgimento a nacjonalizmem integralnym. Kluczowym momentem dla formowania się jego nacjonalizmu był rok 1900, czyli wydanie broszury „Niepodległa Ukraina". Drugim etapem była twórczość Dmytra Doncowa. Myśliciel ten zaczynał jako socjalista, następnie przeszedł na pozycje konserwatywne. W 1923 r. Doncow wydał pierwszy numer czasopisma „Zahrawa", w którym propagował już integralny nacjonalizm. Równolegle redagował czasopismo „Literaturno-Naukowyj Wistnyk". Jego idee stały się ważnym punktem odniesienia dla utworzonej w 1929 r. w Wiedniu Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN).

Czym jest nacjonalizm integralny?

Pojęcie integralnego nacjonalizmu wiąże się z postacią lidera Akcji Francuskiej (Action Française) Charles'a Maurrasa, który posłużył się nim pierwszy raz na łamach czasopisma „Le Soleil" w 1900 r. Później to pojęcie na niwie nauki wykorzystywali tacy badacze jak Carlton Hayes, John Armstrong czy Peter Alter. Chodzi o nacjonalizm odrzucający kategorie etyczne, a zarazem absolutyzujący kategorię narodu. Taki nacjonalizm najczęściej jest imperialistyczny i militarystyczny na zewnątrz i skłonny do tyrani w kwestiach wewnętrznych. We współczesności państwem najbliższym tej kategorii jest Rosja.

Jakie były główne źródła ukraińskiej idei nacjonalistycznej?

Mowa o źródłach zewnętrznych oraz wewnętrznych. Rewolucyjna ideologia i działalność OUN była inspirowana przykładami irlandzkiego Sinn Féin, rosyjskiej Narodnej Woli czy Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej. Ukraińscy nacjonaliści spoglądali z uznaniem na wolicjonalną zdolność do czynu ruchów takich jak faszyzm czy bolszewizm. Od faszystów częściowo zapożyczano też korporacjonizm. Słabsze za to były wpływy nazizmu.

Jednocześnie ukraiński nacjonalizm integralny kształtował się w opozycji do tradycji ukraińskiego ruchu narodowego w XIX w. W okresie tym dominowały idee federalizmu. Nacjonalizm odrzucał te idee, podnosząc hasła niepodległości i mocarstwowości, a czołowych działaczy tego nurtu, takich jak socjalista Mychajło Drahomanow, określał mianem zwolenników prowansalizmu (chodziło o rzekomą zgodę na bycie lokalną odnogą narodu rosyjskiego).

Odrzucając większość tradycji długiego wieku XIX (wyjątkami byli poeci Taras Szewczenko, Łesia Ukrainka oraz Michnowski), nacjonalizm odwoływał się do tradycji Rusi Kijowskiej i Kozaczyzny. Szczególnie podkreślano historyczne zasługi Światosława Zdobywcy i Bohdana Chmielnickiego. Oczywiście było to wynajdywanie tradycji.

Czy rozwój ukraińskiej myśli nacjonalistycznej musiał skończyć się rzezią wołyńską?

Ukraińscy nacjonaliści przyjmowali rozmaite warianty „rozwiązania" kwestii polskiej. Starsi działacze przebywający na emigracji byli bardziej umiarkowani od młodego pokolenia działającego i dojrzewającego w Galicji Wschodniej. Przedstawiciel pierwszej grupy, Dmytro Andrijewski, podczas kongresu założycielskiego OUN w 1929 r. postulował asymilację państwową. Ale już pod koniec lat 30. wśród starszych działaczy pojawiły się idee przymusowych wysiedleń kolonistów z okresu II Rzeczypospolitej.

Młodzi byli bardziej radykalni. Pod koniec lat 30. podnosili wprost hasła oczyszczenia ziem zachodnioukraińskich.

eprasa.pl f4c7b261e1

Mychajło Kołodzinski w „Wojennej doktrynie ukraińskich nacjonalistów" przekonywał, że „polski element, który będzie aktywnie czynić opór, musi ulec w walce, a resztę trzeba sterroryzować i zmusić do ucieczki za Wisłę". Działacz ten stworzył cały plan powstania nacjonalistycznego, który był omawiany w sierpniu w 1939 r. w Wiedniu. Istniejące wspomnienia każą sądzić, że młodzi odnosili się do niego z entuzjazmem, a starsi działacze z rezerwą.

A czy musiało tak być? Moim zdaniem nie. Prawdopodobnie nie stałoby się to, gdyby w maju 1938 r. sowiecki agent nie zamordował w Rotterdamie lidera OUN Jewhena Konowalca. Działacz ten cieszył się niekwestionowanym autorytetem organizacji. Poza tym był postacią bardziej umiarkowaną od przedstawicieli młodego pokolenia, a przede wszystkim posiadał zdolność podejmowania racjonalnych decyzji. Wówczas prawdopodobnie nie doszłoby do podziału OUN na dwie wrogie frakcje, sam Konowalec zaś nie zdecydowałby się na działania zbrodnicze, a zarazem nieracjonalne z punktu widzenia interesów samych nacjonalistów.

Dlaczego ostatecznie to wizja frakcji Bandery została zrealizowana?

Zadecydowała siła. Na terenach Galicji Wschodniej i Wołynia banderowcy okazali się zdecydowanie silniejsi od konkurencyjnej frakcji OUN Andrija Melnyka, a także pierwszej Ukraińskiej Powstańczej Armii Tarasa Bulby-Borowecia.

Jak ukraińskim nacjonalistom udało się przekonać „zwykłych chłopów" do swojej idei? Pytam, ponieważ często słyszymy głosy, że to nie ukraińscy nacjonaliści dokonali rzezi wołyńskiej, tylko „zwykli Ukraińcy", którzy wzięli widły w dłonie i dokonali zbrodni.

Zbrodnia wołyńsko-galicyjska była zaplanowaną akcją. Odpowiednie decyzje zapadały na poziomie kierownictwa wołyńskiej UPA, dowodzonej przez Dmytra Klaczkiwskiego. Następnie rzezie Polaków zostały zaaprobowane przez głównodowodzącego ukraińskiej partyzantki, Romana Szuchewycza, i przeniesione z pewnymi modyfikacjami na teren Galicji Wschodniej. Dokładnie ten proces w swoich pracach opisywał prof. Grzegorz Motyka.

Gdyby na Wołyniu faktycznie doszło do chłopskiego buntu, to niemożliwe byłyby skoordynowane akcje, takie jak „krwawa niedziela" 11 lipca 1943 r., kiedy niemal jednocześnie doszło do ataku na 99 polskich miejscowości. Teza o „chłopskim buncie" jest nie tylko nieprawdziwa, lecz także niebezpieczna z punktu widzenia interesów polskiej polityki pamięci. Warto sobie uświadomić, że były prezes ukraińskiego IPN Wołodymyr Wjatrowcycz narrację o chłopskiej żakerii łączył z opowieścią o wojnie między UPA i AK, podczas której obie strony dokonały podobnych zbrodni. Chodziło o zdjęcie odpowiedzialności za to, co się wydarzyło, z ukraińskiej partyzantki. Choć oczywiście banderowcy w pewnym stopniu mobilizowali ukraińską ludność chłopską do udziału w napadach na Polaków. I tutaj główną rolę odgrywał czynnik ekonomiczny.

Przejdźmy teraz do drugiej kwestii, czyli ukraińskiej myśli imperialnej. Na czym polegał jej fenomen?

Fenomen?

Tak, fenomen.

Moim zdaniem to nie był żaden fenomen.

Dlaczego? Przecież w dwudziestoleciu międzywojennym nie dość, że Ukrainy nie ma, to Ukraińcy są jednymi z największych ofiar polityki ZSRS – wielki głód etc.

O fenomenie moglibyśmy mówić, gdyby sprawa dotyczyła Słowaków, Łotyszy czy innego niewielkiego narodu Europy Środowo-Wschodniej. W przypadku Ukraińców mieliśmy do czynienia z dość licznym, bo przecież kilkudziesięciomilionowym narodem, aspirującym do odgrywania zauważalnej roli na arenie międzynarodowej. Posiadali oni również doświadczenie krótkotrwałej państwowości w latach 1917–1919, w postaci Ukraińskiej Republiki Ludowej, Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej oraz Hetmanatu. Istniały też tradycje historyczne w formie potęgi politycznej Rusi Kijowskiej czy militarnych sukcesów z czasów Kozaczyzny.

Co więcej, ukraińska idea imperialna powstawała w epoce radykalnych nacjonalizmów i imperializmów. To nie tylko idee odnowienia Imperium Rzymskiego przez Mussoliniego, koncepcje Tysiącletniej Rzeszy Hitlera czy postulaty eurazjatyckiego imperium podnoszone przez międzywojenną emigrację rosyjską. Także mniejsze narody miały swoje idee imperialne. Rumuńska Żelazna Gwardia postulowała opanowanie zachodniego Banatu i Kriszany, a chorwaccy ustasze podnosili ideę Wielkiej Chorwacji sięgającej do Driny.

Dodam jeszcze jeden wątek, a mianowicie w przypadku ukraińskim mieliśmy dużą dysproporcję pomiędzy możliwościami tego ruchu narodowego a realnymi jego osiągnięciami. Taka sytuacja sprzyja tworzeniu pewnego rodzaju kompensacyjnych, małorealistycznych wizji.

Jakie były założenia tychże małorealistycznych wizji?

To zależy. Podobnie jak w innych kwestiach były różnice między bardziej umiarkowanym starszym pokoleniem przebywającym na emigracji i młodymi działaczami wywodzącymi się z Galicji Wschodniej. Pierwszą grupę stanowili działacze Kierownictwa Ukraińskich Nacjonalistów, tacy jak Dmytro Andrijewski, Mykoła Sciborski czy Wołodymyr Martyneć. Drugą grupę tworzyli działacze Krajowej Egzekutywy OUN, tacy jak Mychajło Kołodzinski, Jarosław Stećko czy Iwan Gabrusewycz. Blisko tej ostatniej grupy znajdował się Bandera, jednakże on do 1946 r. w ogóle nie zajmował się kwestiami ideologii.

W wizji działaczy starszego pokolenia Ukraina miała być swoistym mocarstwem regionalnym. Obejmowałaby terytoria od Sanu do Kubania i Kaukazu i zajmowałaby terytorium ok. 850 tys. km kw. W tym wariancie Rosja miała być obcięta o republiki związkowe. Miały powstać Białoruś, państwa Kaukazu, republiki Azji Środkowej. Na terenach między Donem a Wołgą miało się pojawić państwo Kozaków. Wszystkie te kraje znajdowałyby się w orbicie wpływów Ukrainy. Polska z kolei miała zostać obcięta do kadłubowego państewka o powierzchni ok. 190 tys. km

MAREK WOJNAR „IMPERIUM UKRAIŃSKIE. ŹRÓDŁA IDEI I JEJ MIEJSCE W MYŚLI POLITYCZNEJ UKRAIŃSKIEGO NACJONALIZMU INTEGRALNEGO PIERWSZEJ POŁOWY XX WIEKU" ARCANA 2023

eprasa.pl f4c7b261e1

kw. i być położona z jednej strony między silną Ukrainą, a z drugiej między silnymi Niemcami. Tak wyglądała wizja bardziej umiarkowana.

Umiarkowana?!
Tak.

Aż strach pomyśleć, jaka była maksymalna...
Wizja maksymalna została opracowana przez młode pokolenie ukraińskich nacjonalistów i była bardziej radykalna. Po pierwsze, bezpośrednie pretensje terytorialne sięgały niemal miliona kilometrów kwadratowych, zawierając się w haśle „od Wisły do Wołgi". W związku z tym nie było mowy o współpracy z państwem Kozaków, a był postulat podbicia ich oraz przesunięcia granic Ukrainy dalej na wschód. Paternalistyczny był stosunek wobec mniejszych narodów, które miały zostać wykorzystane dla „sławy i potęgi ukraińskiego imperium". Zgłaszano też pretensje wobec rosyjskiego Dalekiego Wschodu. W drugiej połowie XIX w. na skutek wewnętrznej kolonizacji w ramach imperium na terenach niegdysiejszych guberni amurskiej i przymorskiej znalazła się dość spora ilość ludności z ziem naddnieprzańskich i nadczarnomorskich. Choć ukraińska tożsamość narodowa tych ludzi nie była zbyt wykrystalizowana, to sama ich obecność posłużyła nacjonalistom ukraińskim do podniesienia hasła stworzenia tam ukraińskiej kolonii.

Ukraińskiej kolonii?!
Tak. Nad Amurem miała powstać Zielona Ukraina. Nawet były idee, aby dołączyć do tej Zielonej Ukrainy terytoria polarne z Kamczatką czy Sachalin. Choć trzeba dodać, że niektórzy działacze, jak Kołodzinski, uznawali te tereny za obszar wpływów Japonii.

Równolegle istniała idea Szarej Ukrainy. Ponieważ inna fala kolonistów z ziem naddnieprzańskich i nadczarnomorskich w drugiej połowie XIX w. i na początku XX w. zasiedliła tereny południowej Syberii i północnego Kazachstanu, również na te terytoria zwrócili uwagę ideolodzy ukraińskiego imperializmu. Podstaw dla tej idei nie było żadnych. O ile na Dalekim Wschodzie na początku XX w. istniał niezbyt silny ukraiński ruch narodowy, o tyle w Azji Środkowej nie było nawet tego. Niemniej ta przesłanka etniczna posłużyła działaczom nacjonalistycznym do podniesienia wizji o rozciągnięciu swoich wpływów nad całą Azją Środkową do łańcuchów górskich Ałtaju i Pamiru. Warto dodać, że Iwan Gabrusewycz wysuwał wizję geopolitycznego trójkąta przeciw Rosji z udziałem Ukrainy na zachodzie, Japonii na wschodzie i Wielkiej Brytanii na południu, którą, notabene, starsi działacze, w tym Konowalec, uznawali za niezbyt mądrą.

I jak po tym wszystkim, co pan przed chwilą streścił, nie mówić o fenomenie ukraińskiej myśli imperialnej?
Będę się upierał, że to nie był żaden fenomen. Ukraińscy nacjonaliści nie byli bardziej radykalni od podobnych im ruchów, jak chorwaccy ustasze czy rumuńska Żelazna Gwardia. Różnica polegała na odmiennym geopolitycznym umiejscowieniu terytoriów ukraińskich niż chorwackich czy rumuńskich.

Ponieważ jednym z głównych geopolitycznych rywali ukraińskich nacjonalistów był Związek Sowiecki, a więc państwo obejmujące przeszło 20 mln km kw., to można się było spodziewać, że ich pretensje będą sięgać dalej niż w przypadku organizacji, które ostrze swojego nacjonalizmu kierowały przeciwko Węgrom czy Jugosławii.

Zresztą w myśli rumuńskiego integralnego nacjonalizmu pojawił się mechanizm kształtowania idei imperialnej analogiczny do kolonialnych planów OUN. W swoim opus magnum „Moim legionistom" Corneliu Codreanu postulował walkę o cały lud rumuński, poczynając od gór Pindos. Ten łańcuch górski leży w Grecji i Albanii. Między nim a terenem Rumunii znajdują się wyspy romańskojęzycznej ludności arumuńskiej, które lider Żelaznej Gwardii zaliczał do etnosu wielkorumuńskiego. Mamy więc do czynienia dokładnie z tym samym, o czym fantazjowali ukraińscy nacjonaliści, tyle że w innej przestrzeni geograficznej.

Co z tego wszystkiego zostało do dzisiaj? Powiem szczerze, że zdecydowanie częściej słyszę ukraińskie pretensje odnośnie do polskiego Przemyśla niż Kazachstanu.
Zostało niewiele. W 1943 r. zaczął się proces ograniczonej liberalizacji ideologii frakcji banderowskiej OUN (gorzka ironia polega na tym, że równolegle trwała rzeź wołyńska). Hasła imperialne jeszcze incydentalnie pobrzmiewały do końca lat 40., ale były już nieporównywalnie słabsze.

Ponadto w realiach zimnej wojny banderowskie skrzydło OUN musiało dostosować się do nowej rzeczywistości, w której to mocarstwa anglosaskie, a nie hitlerowskie Niemcy, jawiły się jako jej potencjalny sojusznik. Nie podnoszono już kontrowersyjnych elementów ideologii z lat 30. i początku lat 40., ale zarazem się z nimi nie rozliczono. Przykładem zmiany pryncypiów były ideologia i działalność powołanego z inicjatywy banderowców w 1946 r. Antybolszewickiego Bloku Narodów, skupiającego wiele nacjonalistycznych organizacji Europy Środkowo-Wschodniej, Kaukazu i Azji Centralnej. Z jednej strony mówiono o tym samym, a więc o rozbiciu Związku Sowieckiego, ale z drugiej nie akcentowano, że mniejsze państwa mają zgromadzić się wokół imperium ukraińskiego, lecz przeciwnie – podkreślano zasadę narodową.

Tak więc po 1991 r. ta ideologia nacjonalistyczna w złagodzonej wersji dotarła na Ukrainę, a jej reprezentantem jawiła się partia Kongres Ukraińskich Nacjonalistów. Silniej pobrzmiewały wątki imperialne w zupełnie nowym, bardzo radykalnym odłamie ukraińskiego nacjonalizmu, który uformował się w ramach nurtu „trzeciej drogi", a więc w organizacjach takich jak UNA-UNSO, Patriota Ukrainy czy Zgromadzenie Społeczno-Narodowe. To jednak był margines.

Liczba odniesień do tematyki ukraińskich terenów w ramach Rosji nieco wzrosła, co zrozumiałe, po 2014 r. Ulicę marszałka Żukowa w Kijowie przemianowano na ulicę Kubańskiej Ukrainy. W 2019 r. powstało w Radzie Najwyższej Międzyfrakcyjne Zjednoczenie Kubań, które miało się zajmować ukraińskimi ziemiami etnicznymi w składzie Rosji. Pewną popularność zyskały mało realne hasła podziału Federacji Rosyjskiej. Zagadnienie to wiąże się z naszą rozmową, bo prowokuje pytanie: Kto po rozpadzie Rosji powinien odgrywać rolę „strażnika" przestrzeni eurazjatyckiej? Reasumując, imperializm lat 30. i początku 40. był emanacją maksymalistycznego ducha ukraińskiego nacjonalizmu integralnego. Myślę, że ten duch maksymalizmu, niekorespondujący z realnymi możliwościami, jest jeszcze obecny na Ukrainie, choć przybiera już zgoła odmienne formy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

FOT. ADOBE STOCK

Tropy odnowy Kościoła

Marek Jurek

Kryzys jest faktem, któremu nikt już nie może zaprzeczyć. Potrzebna jest zatem odnowa Kościoła. Ale jaka? Najczęściej słyszymy o potrzebie przywrócenia autorytetu i jedności. To ważne remedia, ale wtórne. Ślepy posłuch i bezproblemowa zgoda nie są wartościami moralnymi, najwyżej ich bladym i niepewnym cieniem

Wiara stanowi depozyt i mandat Kościoła, więc przeciwstawienie się jego kryzysowi musi zakładać konkretne kroki odnoszące się do wiary właśnie. Nie dlatego, byśmy byli w stanie nawet najbardziej duchową techniką podnieść wiarę Kościoła. Ale właśnie dlatego, że wiara jest Łaską. Łaską udzieloną naszej wolności, więc wymagającą naszej odpowiedzi. Trzeba jej szukać. Poniższe uwagi to właśnie taka próba, wynikająca z samej wiary. Swego głosu nie zamierzam legitymować „synodalnością", choć przecież jeśli nie w imię wiary i odpowiedzialności za Kościół zwraca się dziś Rzym o opinie wiernych – to w imię czego? Ja w każdym razie pozostanę przy powinnościach zwykłego katolika, ponoszącego niezbywalną odpowiedzialność za wiarę we wspólnotach, w których żyje – rodzinie i narodzie.

WIARA (A POTEM NIEWIARA) PRZEZ PRZYPADEK

Dlaczego jesteśmy katolikami? Do niedawna większość ludzi zapytanych na ulicy wyjaśniłaby zapewne, że dlatego, bo tak zostaliśmy wychowani. Znaczenie wychowania było tak kluczowe, że nawet wielu niewierzących w Polsce uznawało, że warto dzieciom dać elementarne wychowanie religijne, bo to dobra formacja moralna, przekazująca skodyfikowany zasób reguł etycznych i motywy ich przestrzegania.

Tak rozumiany katolicyzm to niestety katolicyzm przez przypadek. Przez przypadek urodzenia się w katolickim kraju, wychowania w katolickim społeczeństwie, przez przypadkową znajomość tej właśnie religii. Tymczasem z perspektywy wiary taki „przypadek" powinien (jako znak Łaski) zobowiązywać, zachęcać do wdzięczności, nie do obojętności.

W okresie soborowego ressourcement (powrotu do źródeł) wielu promotorów zmian w Kościele zaczęło obiecywać przeprowadzenie setek milionów katolików na świecie od wiary odziedziczonej do wiary świadomej, przejście chrześcijaństwa w wiek dojrzałości. Niestety, nadzieje na „powrót do źródeł" szybko uległy ekumenicznej banaliza-

eprasa.pl f4c7b261e1

cji. Wzniosłe ressourcement zastąpiło pragmatyczne aggiornamento. Bo przecież inni – protestanci, a nawet niechrześcijanie – też „przez przypadek" należą do swych denominacji i tradycji. Po co więc przejmować się dzielącymi nas przypadkami historii, skoro we współczesnym świecie tyle nas łączy! Przecież mamy Our Values!

PRAWDA NAS WYZWOLI (POR. J 8, 32)

Najważniejszym mandatem Kościoła jest prawda. Nie atrakcyjność moralistycznej dydaktyki. Każde pokolenie ma swoje atrakcje, popularność szybko mija, a jedynie prawda jest godna wierności i wytrwałości.

Formą prawdy jest proroctwo. Nie jest futurologicznym przypuszczeniem, jest reakcją na nadchodzące realnie wypadki, którym ma zapobiec.

Święty papież Pius X dostrzegł przeszło 100 lat temu, że oczekiwane przez wielu przymierze chrześcijaństwa z kulturą współczesną zaowocuje przede wszystkim indyferentyzmem. Nazwał to „modernizmem", bo oczekiwania te opierały się na założeniu, że to właśnie nowoczesność zobowiązuje do rewizji podstaw i samego rozumienia wiary. Nawet jednak gdy widzimy przyszłość, widzimy ją zawsze jakby za mgłą – częściowo, niejasno (por. 1 Kor 13); zostawmy więc w tym miejscu rozważania, czy św. Pius X reagował na przyszłe aggiornamento czy jedynie na jego konsekwencje. Wróćmy do prorockiej reakcji.

Narastający modernistyczny trend święty papież poddał analizie w encyklice „Pascendi Dominici gregis", ale nie zatrzymał się na analizie błędów. To była podstawa, najważniejsze zaś było remedium, które zaproponował Kościołowi XX w. – nowe (bo potwierdzające zakwestionowane właśnie prawdy) wyznanie wiary, przysięgę antymodernistyczną, którą składać miał każdy diakon przed przyjęciem święceń kapłańskich i każdy wybrany na biskupa przed przyjęciem święceń biskupich. Przysięga miała – mocą osobistego zaangażowania dziesiątków tysięcy biskupów i księży – zachować w życiu katolickim podstawowe prawdy wiary. Mianowicie to, że podstawą naszej wiary jest spełnienie przez Jezusa Chrystusa zapowiedzi mesjańskich, rzeczywistość cudów, których dokonał, a przede wszystkim – Zmartwychwstanie. Te najważniejsze wydarzenia historii są bowiem podstawą misji i poręką prawdziwości Kościoła katolickiego, jedynego założonego przez Boga.

Przysięga antymodernistyczna została zniesiona przez papieża Pawła VI po przeszło pół wieku obowiązywalności. Ściśle biorąc – został zniesiony obowiązek jej składania, bo przecież wyznania wiary znieść nie można. Oficjalnie uznano, że kryzys modernistyczny minął właśnie wtedy, gdy zamieniał się w stan chroniczny. I ten stan trwa.

Przywrócenie składania przysięgi antymodernistycznej byłoby więc ważnym konkretnym krokiem odnowy Kościoła, prawdziwą reakcją na jego sytuację w świecie współczesnym. Przede wszystkim przez ożywienie świadomości unikatowej prawdziwości chrześcijaństwa, rzeczywistych źródeł naszej religii: historycznych faktów Wcielenia i Zmartwychwstania. Przysięga antymodernistyczna jest przecież szańcem przeciw wszelkiemu religijnemu relatywizmowi. Jej przywrócenie ożywiłoby też wiarę Kościoła przez uświadomienie wszystkim autorytetom i całemu Kościołowi, że tę właśnie prawdę mamy głosić, jako prawdę właśnie. Głosić, a nie jedynie ją „zachowywać", niczym zakopane w ziemię talenty.

W chrześcijaństwie fakty i okoliczności mają charakter zobowiązujący. Poznaną prawdę trzeba przekazywać, a nie tylko ją „uznawać". Trzeba ją głosić w porę i nie w porę (por. 2 Tm 4, 2), a przede wszystkim tam, gdzie się jej zaprzecza, i tam, gdzie się ją ignoruje.

Najważniejszym mandatem Kościoła jest prawda. Nie atrakcyjność moralistycznej dydaktyki. Każde pokolenie ma swoje atrakcje, popularność szybko mija, a jedynie prawda jest godna wierności i wytrwałości

„PAN MÓJ I BÓG MÓJ" (J 20, 28)

Czasami słyszymy w Kościele spory na temat sposobu przyjmowania Komunii Świętej. Rzecznicy form tradycyjnych powołują się najczęściej na szacunek. Zwolennicy form nowych odpowiadają, że szacunek to niewidzialny stan wewnętrzny, który na zewnątrz może manifestować się na różne sposoby, a żaden z nich nie jest i tak poręką tego właściwego stanu wewnętrznego. Co więcej – w rozumowaniu tym jest właściwie sugestia, że ten, kto żywi szacunek, nie musi go manifestować, ten, kto go pewnie nie dostaje – owszem, okazywać go potrzebuje. Nie będę się tu rozwodził nad faryzeizmem takiego spirytualizmu. Gołym okiem widać jego skupienie na sobie.

Błąd tego rozumowania, a także najczęstszej z nim polemiki tkwi właśnie w subiektywizmie. Tymczasem tradycyjne, wypracowane i przekazane przez wieki wiary, formy czci dla Najświętszej Eucharystii to nie tyle wyraz rzeczywistości uczuć, które są w nas, ile naszej relacji do Rzeczywistości, która jest przed nami. Zachodnie klęczenie albo wschodnia czołobitność lub pokłony (wszystko to występuje w Kościele katolickim) to nie jedynie manifestacje subiektywnego szacunku, ale znaki wiary i obiektywnej czci. Subiektywny szacunek wynika z relacji do obiektywnej rzeczywistości i na niej się wspiera. I ta kolejność ma zasadnicze znaczenie. Dotyczy bowiem publicznego wyznania wiary, jej bezpośredniej komunikacji. Gestami pokazujemy rzeczywistość, która, owszem, wymaga objaśnienia, ale przede wszystkim – uznania. Gdy staje się widoczna – możemy ją łatwiej wyjaśniać.

W Eucharystii jest obecny blisko Bóg-Człowiek, który odchodząc do Ojca, obiecał nam, że „nie zostawi nas sierotami" (J 14, 18). Są kapitalne świadectwa nawróceń w „pustych" kościołach, gdzie nawet niechrześcijanie (jak Edyta Stein czy André Frossard) spotykali Chrystusa czekającego na nich w tabernakulum. Nieprzypadkowo kard. Ratzinger napisał był przed laty, że zamknięte kościoły

eprasa.pl f4c7b261e1

(gdy Msza się nie odprawia) to znak odwrotu ewangelizacji. Niestety, jesteśmy dziś świadkami zamykania większości kościołów zaraz po Mszy porannej (co skutkuje ograniczaniem prywatnych adoracji), a także stopniowego zaniku zewnętrznych form czci dla Eucharystii i w konsekwencji jej banalizacji. Moja córka ze zdziwieniem stwierdziła np., że jej koleżanki w ogóle nie wiedzą, co to jest post eucharystyczny. To przykład tego, jak ograniczenie pewnej praktyki prowadzi do jej zaniku, nawet w świadomości.

Komunia staje się – znowu zacytujmy Benedykta XVI – rytuałem społecznym. Dopóki przyjmowano ją na klęcząco – dopóty ten znak komunikował, że uczestniczymy w cudzie. Ministranci dotykają naczyń liturgicznych, co wcześniej zastrzeżone było dla kleryków posiadających wyższe święcenia. Komunię rozdają świeccy szafarze, choć nigdy (poza obiektywnym przymusem prześladowań) nie mógł tego robić nawet subdiakon. W czasie nabożeństw siedzimy przed wystawionym Najświętszym Sakramentem, słuchając kazań (jakby nie można było Go na ten czas osłonić).

W tym wypadku jednak powrót do tradycyjnych znaków wiary powinien pójść w parze ze wzmożonym nauczeniem jej treści. Dziś już nie wystarczy się oburzać na porzucanie obyczajów katolickich tam, gdzie dotyczą wiary – trzeba stale wyjaśniać ich nadprzyrodzony sens. Ale odnowa widzialnej czci dla Eucharystii, skupienie życia Kościoła wokół Emmanuela, Boga wśród nas („bo któryż naród wielki ma bogów tak bliskich, jak Pan, Bóg nasz", Pwt 4, 7) to jednocześnie bezpośrednie ożywienie wiary i ewangelizacji.

„DANA MI JEST WSZELKA WŁADZA W NIEBIE I NA ZIEMI" (MT 28, 18)

Zwrot teocentryczny to również warunek odnalezienia się Kościoła w społeczeństwie. Żyjemy w kulturze systematycznie relatywizującej normy absolutne i absolutyzującej relatywne. Miała to zmienić wielka, idącą za wskazaniami Maritaina, chrześcijańsko-demokratyczna synteza. Jej założeniem było niemówienie o władzy Boga w społeczeństwach ludzkich, by tym więcej mówić o wynikających z niej dobrach i o prawach człowieka. Przez ostatnie dziesiątki lat obserwować mogliśmy rozpad tych nadziei. Nie nastąpiła chrystianizacja demokracji, nastąpiła jedynie dechrystianizacja chadecji. A co znacznie gorsze – postępuje rozkład niegdyś chrześcijańskich narodów.

Nigdy nie miałem tak dojmującego poczucia, że żyjemy na ziemi pobłogosławionej przez Boga, jak właśnie w ostatnich latach, podczas paroletniej pracy w Brukseli

Mandatem Kościoła w społeczeństwie nie jest tymczasem wyższość moralna. Bo kimże jesteśmy, by uważać się za lepszych od innych ludzi? Nie są nimi też oczywistości ludowej kultury w krajach katolickich, która to ludowa kultura przeżywa co najmniej załamanie.

Misją Kościoła było zaś od zawsze przypominanie o suwerennej władzy Boga, o królewskiej godności Chrystusa – w życiu wszystkich narodów. Właśnie poprzez powtarzanie „non licet", „nie wolno", jak w czasach Hitlera i Stalina przypominał kard. Pacelli, późniejszy Pius XII. Nie wolno właśnie dlatego, że ludzie są obdarzeni wolnością. Mogą z niej korzystać i są zdolni jej ram przestrzegać.

Kościół nauczanie to – w oparciu o odwieczną tradycję, utrwaloną w przysięgach monarszych – rozwinął w czasach współczesnych w reakcji na liberalny kryzys Zachodu. Czas więc zacząć na nowo przypominać naukę o Chrystusie Królu, nie tylko w przypisach dokumentów czy prac naukowych, lecz także w zwyczajnym nauczaniu. „Libertas", „Vehementer", „Quas primas", „Ci riesce" dokumentują odpowiedzi katolicyzmu na ciągle postępujące wyzwania nowoczesności. Kościół nie musi rozwiązywać wszystkich jej problemów, nie ma powodu, by zajmował miejsce właściwe nauce i polityce. Natomiast wszystkim, również nauce i polityce, musi przypominać o zasadzie wszystkich rozwiązań: suwerennej władzy Boga i jego objawionej Woli.

„ŻYWE KAMIENIE" (1 P 2, 5)

Zawsze lubiłem wracać z zagranicznych podróży do domu i przez lata, w czasie lądowania, wzruszał mnie widok wyglądającego jak duży kurnik starego lotniska na Okęciu. Ale nigdy nie miałem tak dojmującego poczucia, że żyjemy na ziemi pobłogosławionej przez Boga, jak właśnie w ostatnich latach, podczas paroletniej pracy w Brukseli.

Kościół Polski ma mocne fundamenty. Żywy kult Matki Bożej, potwierdzany nieustannymi pielgrzymkami do Jej sanktuariów. Dziesiątki tysięcy wiernych (bardzo skromnie licząc) codziennie na Mszach Świętych. Długie kolejki do konfesjonałów, nie tylko w pierwsze piątki miesiąca. Polska jest krajem katolickim, Polacy trwają przy Kościele mimo kryzysu. Za to należy Bogu dziękować, ale nie wolno tym usprawiedliwiać duchowej bierności. Fundamenty podtrzymują dom, ale same nie chronią mieszkańców.

Wielu czytelników tego artykułu powie, że rozważania te pomijają najistotniejszy fakt. Owszem, jestem przekonany, że wszystkie wyżej wskazane sprawy realizują codziennie wspólnoty tradycyjne, wierne Mszy tradycyjnej. Istotnie, to najpewniejsza i najprostsza droga. Ale na szerokim polu wokół nas trwa życie katolickie milionów dusz i rodzin, całego narodu. To o nich chodzi, o chroniące ich dobro wspólne, Kościoła i Ojczyzny.

Każdy powinien rozważać środki zaradcze. A te, o których piszę, można realizować wszędzie i są dostępne dla wszystkich. Jak przysięga antymodernistyczna, którą z wiarą może stale ponawiać i odmawiać każdy kapłan.

Utworzony przez Boga-Człowieka Kościół ma wymiar duchowy i widzialny. Socjologicznych objawów kryzysu lekceważyć nie wolno, jak socjologicznych wskaźników w ogóle, bo przez nie ogarniamy sytuację wszystkich. Ale strona zewnętrzna jest jedynie objawem rzeczywistości głębszej. Najważniejsza jest wiara i ostatecznie to ona zwycięży świat (por. 1 J 5, 4).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

Czy Kościół przyjmie masoński relatywizm?

Paweł Chmielewski

Rok 2024 jest czasem przełomu... w dialogu Kościoła katolickiego z masonerią

W lutym odbyło się bezprecedensowe spotkanie na najwyższym szczeblu: przedstawiciele głównych włoskich lóż wolnomularskich konferowali z kardynałem, arcybiskupem i biskupem. Doszli do wniosku o konieczności powołania okrągłego stołu, który umożliwi stały i stabilny dialog. Bo choć w sprawach zasadniczych między masonerią a Kościołem nie ma zgody, to – jak wskazywali mówcy – najważniejsza jest dobra współpraca, która pozwoli kategorycznie oddzielić „sztywną doktrynę" od duszpasterskiej otwartości.

Na początku czytelnikowi należy się pewne wyjaśnienie. W ostatnich latach coraz częściej można się spotkać z poglądem, jakoby masoneria należała do przeszłości. Nikt nie kwestionuje wielkiego znaczenia lóż wolnomularskich dla polityki i życia społecznego państw zachodnich w wiekach XVIII i XIX; uważa się jednak, że po drugiej wojnie światowej drastycznie się to zmieniło. Rzeczywiście, pozornie można byłoby argumentować za tezą o zmierzchu masonerii, jako że masońskie ideały w znacznej mierze... zostały zrealizowane. Sceptycyzm, relatywizm, egalitaryzm – te i inne masońskie hasła głoszą dzisiaj największe światowe organizacje, więc – zdawałoby się – rola wolnomularstwa dobiegła końca.

Jest jednak inaczej. Tylko we Włoszech działa kilkaset lóż zrzeszających dziesiątki tysięcy członków. W świecie anglojęzycznym liczbę masonów szacuje się na od kilkuset tysięcy do ok. miliona. Prezydent Francji Emmanuel Macron chętnie uczestniczy w różnych masońskich wydarzeniach. Masoneria rozwija się też na globalnym południu, w Ameryce Łacińskiej, Afryce i Azji – w tych krajach do masonerii należą często osoby piastujące najwyższe stanowiska państwowe. Ignorowanie możliwego wpływu lóż na politykę i religię byłoby po prostu brakiem roztropności.

OD POTĘPIENIA DO KOMUNIKACJI

Kościół to rozumie i za pontyfikatu Franciszka aktywnie zabiega o otwarcie oficjalnych kanałów komunikacji z lożami. Problem w tym, że wolnomularstwo i katolicyzm to całkowita sprzeczność. Masonerię ostro potępił papież Klemens XII w bulli „In eminenti apostolatus", nakładając karę ekskomuniki na

eprasa.pl f4c7b261e1

FOT. ADOBE STOCK/12KREDEK

każdego, kto by do lóż wstąpił. Klemens zwrócił uwagę na ezoteryzm masonerii, aurę tajemnicy i możliwą zbrodniczość ich działań. Nie mylił się, bo w tamtym czasie masoneria dążyła aktywnie do obalenia obowiązującego porządku politycznego, a nade wszystko – porządku ideowego.

W 1751 r. potępienie ponowił papież Benedykt XVI w poważnej formie konstytucji apostolskiej „Providas Romanorum". Nie wszystkim katolikom to, niestety, wystarczało, nawet duchownym, o czym wiemy doskonale z historii XVIII-wiecznej Polski. Potępienie masonerii zostało podtrzymane w Kodeksie prawa kanonicznego z 1917 r. Był to zresztą czas ostrej antykatolickiej walki prowadzonej w wielu krajach przez masonów.

Podejście Kościoła do masonerii zaczęło ulegać zmianie po drugiej wojnie światowej, zwłaszcza w latach 60., na fali entuzjazmu soborowego. Już w 1961 r. biskupi z krajów skandynawskich dokonali dziwnego wyłomu: zgodzili się, by protestant, który nawraca się na katolicyzm, a jest zarazem masonem, nie musiał wcale występować z loży. W 1974 r. prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Franjo Šeper wystosował list do biskupów, w którym sugerował, że ekskomunika dotyczy jedynie tych masonów, którzy działają przeciwko Kościołowi. Wielu zrozumiało, że zakazana jest wyłącznie przynależność do masonerii antyklerykalnej, jak Wielki Wschód Francji, ale już nie do teistycznej masonerii anglosaskiej. Pontyfikat Pawła VI wzmacniał takie ujęcie; dialogowość papieża zdawała się obejmować również masonów.

W tamtym czasie najprawdopodobniej nie brakowało ich w samym Watykanie. Na zlecenie papieża śledztwo w tej sprawie przeprowadził abp Edouard Gagnon, działając pod nadzorem kard. Giovannego Benellego. Według przecieków abp Gagnon wskazał na tak wysoko postawione osoby, jak watykański sekretarz stanu Jean-Marie Villot, prefekt Kongregacji do spraw Biskupów Sebastiano Baggio oraz architekt posoborowej reformy liturgicznej Annibale Bugnini. Tego ostatniego Paweł VI wyrzucił z Watykanu. Villot zmarł wkrótce po zakończeniu śledztwa; Baggio pozostał na swoim urzędzie aż do 1984 r., za co Gagnon miał mieć duży żal do Jana Pawła II. W latach 70. przy finansach Stolicy Apostolskiej działała też słynna loża Propaganda Due, organizacja masońsko-mafijna, która dokonywała gigantycznych malwersacji w częściowym porozumieniu ze swoimi współpracownikami lub tajnymi członkami z administracji Watykanu.

Papież Wojtyła nie kontynuował polityki szerokiego otwarcia na wolnomularzy, jakkolwiek zachowywał dość stonowany język. W 1980 r. biskupi z Niemiec ogłosili, że chociaż między Kościołem a masonerią nie może być pełnej zgody, to istnieją różne płaszczyzny współpracy. W Kodeksie prawa kanonicznego z 1983 r. słowo „ekskomunika" odnośnie do masonerii nie padło. Kardynał Józef Ratzinger, wówczas prefekt Kongregacji Nauki Wiary, tłumaczył, że to niepotrzebne, bo rzecz precyzują inne dokumenty. Formalnie miał rację; tu zresztą nic się nie zmieniło aż do dziś. 13 listopada 2023 r. kard. Victor Manuel Fernández po konsultacji z Franciszkiem wysłał list do jednego z biskupów Filipin, który zapytywał o ocenę członkostwa katolików w lożach wolnomularskich. Fernández napisał, że formalne i świadome członkostwo w loży jest zakazane i wiąże się z sankcjami w formie wykluczenia z życia Kościoła. Pytany o biskupa o porady duszpasterskie zalecił jedynie, by hierarchowie na Filipinach wyjaśnili wiernym, dlaczego katolikowi nie wolno być członkiem masonerii. Wydawałoby się, że to stanowisko kategoryczne, bez cienia tak charakterystycznej dla Franciszkowego duszpasterstwa „inkluzji" i „towarzyszenia".

WŁOSKIE LABORATORIUM ZBLIŻENIA

To jednak tylko płaszczyzna dokumentów. Równolegle od kilku lat trwa ewidentne zbliżenie pomiędzy Kościołem a masonerią. Laboratorium tego dialogu są Włochy. Wszystko zaczęło się w 2016 r. – od artykułu. Przewodniczący Papieskiej Rady do spraw Kultury, kard. Gianfranco Ravasi, zamieścił na łamach dziennika „Sole 24 ore" tekst pt. „Drodzy bracia masoni". Nakreślił w nim dwie odmienne perspektywy: „doktrynalną" i „duszpasterską". Z jednej strony – pisał kardynał – istnieje nieprzezwyciężalna sprzeczność pomiędzy Kościołem katolickim a masonerią, którą wyrażają dokumenty i sankcje kościelne, co wiąże się z masońskim antropocentryzmem i spirytualizmem.

eprasa.pl f4c7b261e1

Z drugiej strony – wskazał – rysują się różne płaszczyzny współpracy, np. gdy idzie o „godność ludzką".

Artykuł miał swoje rychłe skutki praktyczne. „Drodzy bracia masoni" odpowiedzieli na zaproszenie do dialogu. W 2017 r. Wielki Wschód Włoch zorganizował w Syrakuzach sympozjum zatytułowane „Kościół i masoneria. Tak bliscy, a tak dalecy?". Wziął w nim udział ówczesny biskup sycylijskiej diecezji Noto, Antonio Staglianò. Jak tłumaczył katolickim dziennikarzom zaniepokojonym jego uczestnictwem w spotkaniu, poszedł tam mówić masonom o Chrystusie.

We włoskich mediach sympozjum wywołało pewne kontrowersje, ale nie na tyle duże, by zablokować rozwijający się dialog.

Dwa lata później masoneria poszła dalej: zorganizowała w toskańskim Arezzo konferencję upamiętniającą 150. rocznicę śmierci Benedetta Cairolego, rewolucyjnego polityka i masona. W spotkaniu wziął udział arcybiskup diecezji Arezzo-Cortona-Sansepolcro Ricardo Fontana. Hierarcha z uśmiechem ściskał rękę Wielkiego Mistrza Wielkiego Wschodu Włoch Stefana Bisiego, mówił o wspólnych katolicko-masońskich wartościach, takich jak „solidarność, szacunek, dialog". Bisi w swoim przemówieniu chwalił arcybiskupa i dziękował mu za obecność. Kolejnym aktem dialogu stało się wydarzenie z października 2022 r., które opisywałem już zresztą w tygodniku „Do Rzeczy". Wielki Wschód Włoch otwierał wtedy nową siedzibę w umbryjskim mieście Terni. Na miejscu był ten sam Wielki Mistrz Bisi, uroczyście przecinający wstęgę. Towarzyszył mu biskup diecezji Terni-Narni-Amelia – Francesco Antonio Soddu. Wygłosił krótkie słowo o docenianiu współpracy i wspólnych wartości, a Bisi w długim przemówieniu wyrażał nadzieje na rychły formalny przełom w stosunku Kościoła do masonerii.

Tak budowany dialog znalazł swoją kulminację na początku tego roku. 16 lutego w Mediolanie zorganizowano jednodniową konferencję katolicko-masońską, za zamkniętymi drzwiami. Tym razem nie była to inicjatywa wolnomularzy, ale samego Kościoła. Jej organizatorem było formalnie prywatne, ale ściśle powiązane z włoskim episkopatem stowarzyszenie GRIS. Wydarzenie odbyło się w budynkach archidiecezji Mediolanu.

Masoneria zabiegała o zmianę nauczania Kościoła, aby wolnomularze mogli przystępować do Komunii

Ze strony kościelnej w spotkaniu udział wzięli: arcybiskup Mediolanu Mario Delpini, emerytowany kardynał kurialny Francesco Coccopalmerio, znany nam już biskup Antonio Staglianò, franciszkanin o. Zbigniew Suchecki (Polak to ekspert do spraw wolnomularstwa, wygłosił merytoryczny wykład o nauce Kościoła). Masonerię reprezentowali mistrzowie trzech największych włoskich lóż. Inicjatywa musiała zostać dobrze omówiona w Rzymie. Coccopalmerio to wieloletni prefekt Papieskiej Rady do spraw Tekstów Prawnych, bardzo bliski Franciszkowi, gorliwy promotor dopuszczenia rozwodników do Komunii św. Staglianò z kolei, inaczej niż w 2017 r., nie jest już biskupem diecezjalnym – od 2022 r. stoi na czele prestiżowej Papieskiej Akademii Teologicznej.

JAKIE BĘDĄ KONSEKWENCJE?

Masoneria zabiegała o zmianę nauczania Kościoła, tak aby wolnomularze mogli wreszcie przystępować do Komunii. Kładł na to nacisk zwłaszcza Stefano Bisi. Wyraził nawet nadzieję, że kiedyś Wielki Mistrz i papież udadzą się razem pod rzymski pomnik heretyka Giordana Bruna, którego masoneria czci jako swojego protoplastę. Kardynał Coccopalmerio zaproponował utworzenie okrągłego stołu dialogu, który będzie oficjalną płaszczyzną debaty między Kościołem a lożami. Jedna z lóż ujawniła, że propozycję przyjęto z powszechną aprobatą. Tylko wypatrywać zatem kolejnych spotkań katolicko-masońskich.

Szczególnie ciekawe było przemówienie, które wygłosił bp Staglianò. W pierwszej połowie przekonywał masonów do wiary w Boga i starał się zaciekawić ich Jezusem, nawiązując wprawdzie nieustannie do… niemieckiej filozofii idealistycznej. W drugiej postanowił położyć akcent na duszpasterstwo, przekonując, że jedną sprawą jest doktrynalne stanowisko Kościoła, a zupełnie odrębną stanowisko pastoralne. Jak przekonywał, Kościół mógłby patrzeć na masonów w pewnym sensie przychylnie, bo przecież – argumentował – słońce świeci dla wszystkich, dobrych i złych, wierzących i niewierzących itd. Nie powiedział tego wprost, ale sądzę – a wysłuchałem całego przemówienia, opublikowanego w sieci po tym, jak konferencję skrytykowano za tajność – że można było między wierszami wyczytać jakąś mglistą obietnicę zniesienia sankcji dotyczących wykluczenia z życia sakramentalnego.

Wszystko wskazuje na to, że to dopiero początek naprawdę intensywnego katolicko-masońskiego dialogu. Trudno założyć, bo po tylu latach przygotowań i ostrożnych podchodów nie nawiązano rzeczywiście stałej i pogłębionej współpracy. Nie wiem, czy okrągły stół zaproponowany przez Coccopalmeria będzie miał jawną i oficjalną naturę. Być może początkowo nie, ze względu na duże kontrowersje wokół tematu.

Decyzje zostały już jednak podjęte i jeżeli następca papieża Franciszka nie zmieni polityki Watykanu względem wolnomularstwa o 180 stopni, to będzie mieć to swoje konsekwencje. Jakie? Możemy się łatwo domyślić. Dialog ekumeniczny Kościoła na przestrzeni kilku dziesięcioleci doprowadził do głębokiej zmiany liturgii oraz praktycznej rezygnacji z nauki o wyjątkowości katolicyzmu. Dialog międzyreligijny kończy się spotkaniami, gdzie chrześcijaństwo przedstawia się jako jedną z równoprawnych dróg religijnych. Dialog z judaizmem wieńczy odrzucenie przez hierarchów Kościoła elementarnej prawdy o konieczności nawracania wszystkich na Chrystusa, w tym Żydów. Krótko mówiąc: w każdym z tych przypadków dialog poskutkował faktycznym wejściem do Kościoła którejś z centralnych fałszywych idei partnera dialogu. Nie widzę powodu, dla którego w przypadku masonerii miałoby być inaczej. Wielu hierarchów i teologów nie trzeba będzie zresztą długo przekonywać do zaakceptowania masońskiego sceptycyzmu poznawczego i relatywizmu. Przecież oni i tak już tak myślą; teraz chodzi tylko o to, by zacząć o tym otwarcie mówić: „Bóg? Tak, nie, może…". Oto propozycja nowego, lapidarnego credo: credo Kościoła otwartego na ducha masońskich lóż.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl f4c7b261e1

REPUBLIKA

„Rozmawiam o polityce. Z moimi gośćmi komentuję najważniejsze wydarzenia z kraju i z zagranicy. Zadaję konkretne pytania i oczekuję rzeczowych odpowiedzi. Zapraszam od wtorku do piątku o 18:20 do Telewizji Republika"
– Miłosz Kłeczek

MIŁOSZ KŁECZEK
ZAPRASZA

od **wtorku**
do **piątku**
18:20
w Telewizji Republika

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

epraso.pl f4c7b261e1

Poselstwo japońskie i papież Grzegorz XIII FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pielgrzymi z Kraju Wschodzącego Słońca

Łukasz Czarnecki

Przez kilkanaście wieków Rzym widział w swych murach wielu różnych pielgrzymów, nigdy wcześniej nie byli oni jednak bardziej niezwykli niż pątnicy, którzy przekroczyli rzymskie bramy 22 marca 1585 r.

Wędrowców przywitano z wielką fetą, a stojący nad grobem Ojciec Święty Grzegorz XIII, przyjmując ich na prywatnej audiencji, miał łzy w oczach. Co spowodowało tak entuzjastyczną reakcję? Choćby to, że pielgrzymi przybyli z najdalszych znanych renesansowym Europejczykom krańców Ziemi – egzotycznej Japonii, o której bogactwie powtarzano sobie na Starym Kontynencie plotki od czasów, gdy wieść o istnieniu Krainy Wschodzącego Słońca przywiózł z Chin Marco Polo.

Delegacja, która znalazła się na papieskim dworze w roku 1585, stanowiła pierwsze w dziejach japońskie poselstwo przybyłe do Europy. Składała się z czterech ochrzczonych i wychowanych w katolickiej wierze młodych samurajów: Mancjusza Itō, Michała Chijiwy, Konstantyna Dourado i Marcina Hary. W drogę do krainy „południowych barbarzyńców" (jak nazywali europejskich kupców Japończycy) wysłano trzech dajmio z wyspy Kiusiu. Władcy ci od lat ochoczo wspierali działania prowadzących pracę misyjną w ich włościach jezuitów, a jeden z nich, Ōmura Sumitada, posunął się do tego, że nie tylko przyjął chrzest i imię Bartłomieja, lecz także przekazał misjonarzom we władanie przynoszący kolosalne zyski z ceł morskich port w Nagasaki!

Patrząc na czterech przystojnych samurajów, Ojciec Święty gotów był wybaczyć głowie azjatyckich jezuitów – o. Alessandrowi Valignano – wszelkie niestandardowe praktyki, do których się uciekał celem nawracania pogan. Zostawmy jednak na chwilę tego nobliwego starca w papieskiej tiarze, gdy tak trwa w zachwyceniu, i wykorzystajmy ten czas na to, by wyjaśnić kontekst owej niezwykłej wizyty.

„POŁUDNIOWI BARBARZYŃCY" W KRAINIE BOGÓW

Choć pierwsze wzmianki o Japonii przyniósł do Europy Marco Polo, to były to informacje z drugiej, a niekiedy i trzeciej ręki. Wenecjanin na własne oczy nie widział nawet brzegów wysp Archipelagu Japońskiego, miał za to okazję rozmawiać z weteranami nieudanych mongolskich inwazji na Kraj Wschodzącego Słońca. Ci zaś, jak to zwykle ze starymi wojakami bywa, popiwszy sobie kumysu lub wina ryżowego, ochoczo snuli opowieści, w których wszystko było większe i wspanialsze niż w rzeczywistości. W efekcie wielki podróżnik powrócił do Włoch przekonany, że Japończycy są tak bogaci, iż nawet chłopskie chaty mają u nich strzechy ze złota. Historia ta przez resztę średniowiecza żyła własnym życiem i gdy Krzysztof Kolumb ruszył przez Atlantyk w poszukiwaniu drogi morskiej do Indii, bardzo liczył na to, że po drodze zawinie do Japonii i zdemontuje jej mieszkańcom parę dachów.

eprasa.pl f4c7b261e1

Pierwszymi Europejczykami, którzy postawili stopę na japońskiej ziemi, było dwóch portugalskich kupców. Ironia losu polega na tym, że nie mieli bynajmniej takiego zamiaru i w ojczyźnie samurajów wylądowali przypadkiem – 22 września 1543 r. wiozącą ich chińską dżonkę sztorm zagnał do wybrzeży wyspy Tanegashima. Przybysze z Portugalii wzbudzili wśród miejscowej ludności sensację i zostali przyjęci na audiencji przez lokalnego dajmio. Japończycy dziwowali się obcokrajowcom, bo takich cudaków jak Japonia Japonią dotąd w jej granicach nie widziano. W oczach tubylców Portugalczycy mieli włosy dziwnego koloru, olbrzymie nosy, wyłupiaste oczy, byli włochaci jak małpy (ludy Azji Wschodniej mają o wiele mniej owłosione ciała niż kaukaskie), a do tego cuchnęli potwornie (cechą charakterystyczną kultury japońskiej, wynikającej ze specyfiki szintoizmu, jest wielka dbałość o higienę) i zachowywali się jak ostatnie „buraki". Można by rzec, że słoma ryżowa wychodziła im z sandałów geta, tyle że nawet buty były u nich inne, niż Budda przykazał!

Tak więc kupcy stanowili nielichą atrakcję, ale rozbawienie miejscowych szybko ubyło miejsca zachwytowi przemieszanemu z przestrachem, gdy goście z Portugalii zaprezentowali władcy wyspy umiejętności strzeleckie, strzelając do celów z arkebuzów – broni dotychczas w Japonii całkowicie nieznanej. Na widok skuteczności tego uzbrojenia dajmio aż zaświeciły się oczy, a Europejczycy z radością zrozumieli, że odkryli nie tylko nieznany dotąd ich rodakom kraj, lecz także olbrzymią niszę na rynku, na której mogli się wzbogacić.

I tak też się stało, wkrótce do japońskich portów zaczęły zawijać portugalskie karaki i hiszpańskie galeony wiozące na swym pokładzie zapasy arkebuzów i dział. Co prawda, Japończycy byli na tyle sprytni, że za pomocą inżynierii wstecznej rozpracowali proces produkcji broni palnej (o dziwo, najlepszą wytwarzali mnisi buddyjscy), ale wytwory rodzimego rusznikarstwa nadal ustępowały jakością towarowi z eksportu. Tymczasem nieustannie wojujący ze sobą dajmio potrzebowali gigantycznych ilości arkebuzów. Najpotężniejszy z nich – Oda Nobunaga – stworzył wręcz kilkutysięczną jednostkę muszkieterów, których wyszkolił tak dobrze, że byli oni w stanie błyskawicznie masakrować wrogie szeregi nieustannym deszczem pocisków. Co ciekawe, taktyka kontrmarszów, którą Oda uczynił częścią swej doktryny wojennej, w Europie przyjąć się miała dopiero kilkadziesiąt lat później w okresie wojny trzydziestoletniej.

„Południowi barbarzyńcy" sprzedawali w Japonii nie tylko oręż. Jako że Chiny zakazywały Japończykom pod groźbą śmierci wstępu do swych portów, Europejczycy przejęli ten rynek, pośrednicząc w handlu między skłóconymi państwami. W efekcie chińskie jedwabie i porcelana docierały do Japonii na pokładach karak, które wracały do indyjskiego Goa wyładowane srebrem, następnie słanym do Portugalii. W drugiej połowie XVI w. aż połowa wydobywanego rocznie w japońskich kopalniach cennego kruszcu trafiała do Europy.

„TE DEUM" PRZY OBIEDZIE

Tymczasem do Kraju Wschodzącego Słońca w ślad za łowcami handlowych okazji podążyli rybacy ludzkich dusz. Już w 1549 r. zawitał tu Franciszek Ksawery z Towarzystwa Jezusowego. Słynny „Apostoł Indii", znany z pobicia rekordu wszech czasów w liczbie nawróconych pogan (wedle zakonnych szacunków przebił pod tym względem nawet św. Pawła), wiele obiecywał sobie po nowo odkrytym kraju. Kraina Wschodzącego Słońca bardzo mu się spodobała, jej mieszkańców uznał za ludzi szlachetnych, zaprzyjaźnił się z opatem buddyjskiej świątyni i przyglądał się praktykom medytacyjnym mnichów, a o innym powodzie do radości donosił w entuzjastycznym liście do przełożonych, w którym pisał: „Cóż za wspaniały kraj! Nie ma tu żadnych Żydów!". Mimo sympatii do o. Ksawerego nie zapominajmy, że był typowym synem swojej epoki.

Niestety, próby katechizacji Japończyków zakończyły się klapą. Franciszek Ksawery z trudem opanował podstawy tutejszego języka i efekt był taki, że gdy wygłaszał kazania, słuchacze uważali, że dziwny przybysz prawi im o… Buddzie. Misjonarz przekonał się też, że skromny ubiór i asceza nie budzą entuzjazmu w tubylcach. Ostatecznie zmienił go na eleganckie szaty i zamiast kazać na ulicach miast zaczął odwiedzać dajmio i wręczać im bogate dary. Gdy odpływał do Indii w roku 1551, zostawił za sobą kilku misjonarzy i garść prozelitów.

Jezuici pracujący w Kraju Wschodzącego Słońca nabrali wiatru w żagle dopiero po roku 1579, kiedy to w Nagasaki wylądował wspominany już wcześniej Alessandro Valignano – wizytator Indii Wschodnich. Reprezentant papieża okazał się tak utalentowanym menedżerem, że gdyby żył w XXI w., największe światowe korporacje prawdopodobnie by się o niego zabijały. W stwierdzeniu tym nie ma nic paradoksalnego, jako że wiele z metod dziś praktykowanych przy zarządzaniu wielkimi firmami wypracowanych zostało właśnie w XVI w. przez jezuitów.

Sam o. Alessandro był bardzo ciekawą postacią. W młodości, studiując prawo w Rzymie, dał się poznać jako rozpustnik i bandyta. Życie pełne przemocy i alkoholu doprowadziło go w końcu do więzienia, gdzie trafił, gdy zadał swojej kochance 14 ciosów nożem w twarz. Siedząc w celi, młodzieniec zastanowił się nad swym życiem. Po wyjściu na wolność wstąpił w szeregi Towarzystwa Jezusowego i oddał się wieloletniej pokucie. W jej trakcie okazał się tak dobrym organizatorem i wykazał tak wielką pobożnością, że papież powierzył mu w końcu jedno z najważniejszych stanowisk ówczesnego Kościoła, wysyłając go na Daleki Wschód.

Wizytator Indii Wschodnich dokonał wielu reform w działalności japońskiej misji. Uznawszy, że Japończykom najłatwiej będzie przyjąć nową wiarę, gdy stanie się ona im jak najbardziej swojska, nakazał braciom nosić habity wzorowane na szatach mnichów buddyjskich. Gdy jeden z katolickich dajmio przekazał jezuitom odebraną bonzom świątynię, o. Alessandro zabronił zmieniać jej wystrój, w efekcie czego misjonarze odprawiali odtąd msze w jedynym w swoim rodzaju kościele zdobionym buddyjską ikonografią.

Na tym akulturacja w wykonaniu Valignano się nie kończyła. Wszyscy misjonarze mieli bezwzględnie nauczyć się biegle mówić po japońsku i mieć na tyle dobre wykształcenie, aby móc olśniewać miejscowych swą wiedzą techniczną oraz naukową. Ponieważ Japończycy brzydzili się mięsem, które jadali Europejczycy, wizytator Indii Wschodnich wykreślił

eprasa.pl f4c7b261e1

je z jadłospisu swoich podwładnych, wprowadzając za to do ich menu wodorosty, ryby i ślimaki. Kiedy przerażeni bracia zaprotestowali przeciw tak nieludzkiemu traktowaniu, o. Alessandro, nie mrugnąwszy nawet okiem, doradził im, by przed posiłkiem dla dodania sobie odwagi śpiewali hymn „Te Deum". Samemu wizytatorowi w Japonii zresztą nie było łatwo – jako człowiek obdarzony potężną posturą, poruszając się w zbudowanych przez drobnych Japończyków budynkach, nieustannie walił głową w strop.

Valignano, zdając sobie sprawę, że Japonia nie stanie się katolicka, jeśli jedynymi księżmi na jej ziemi będą przybysze z Zachodu, założył seminarium duchowne mające wyszkolić pierwsze pokolenie miejscowych kapłanów. Oprócz tego wytrenował liczną rzeszę japońskich świeckich katechetów.

Wszystkie te posunięcia złożyły się na ogromny sukces katolickiej misji w Kraju Wschodzącego Słońca. Liczba konwertytów przyrastała błyskawicznie (pod koniec życia o. Alessandra wynosiła już 300 tys. ludzi) i w roku 1582 wizytator Indii Wschodnich postanowił, że nastał czas, by pochwalić się swymi osiągnięciami w Rzymie. Dlatego namówił chrześcijańskich dajmio z Kiusiu, by wysłali poselstwo do papieża.

Wytypowano czterech młodych samurajów, którzy w roku 1582 opuścili ojczyznę, udając się w długi, ponaddwuletni rejs do Europy. Ze sobą wieźli opowieści o masowych nawróceniach, wysłany przez władającego połową Japonii dyktatora Odę Nobunagę jako dar dla Ojca Świętego piękny zdobiony złotem parawan oraz polecenie o. Valignano, by przed wyruszeniem w drogę powrotną kupili dla misji maszynę drukarską.

SREBRNA TABLICZKA

Czterech samurajów powitano w Rzymie z wielką pompą. Wzruszony ich przybyciem Grzegorz XIII wkrótce wyzionął ducha, a pielgrzymi z Kiusiu mieli okazję być świadkami konklawe, które wybrało jego następcę. Oprócz tego dużo zwiedzali, podziwiając kościoły i zabytki starożytności. Mieli też okazję brać udział w uroczystych rzymskich obchodach święta Wielkanocy.

Jak wiadomo, w każdej nieprawdopodobnej historii (a ta do nich należy) prędzej czy później na scenę wydarzeń wchodzi jakiś Polak. Tak było i tym razem, bawiących w Wiecznym Mieście samurajów spotkał bowiem pochodzący z Rzeczypospolitej student teologii – Bernard Maciejowski. Między Polakiem a Japończykami szybko nawiązała się nić sympatii. Gdy w końcu pielgrzymom mus było już wyjeżdżać, Polak poprosił ich o jakąś pamiątkę. Przyjaciele z odległego kraju wykonali więc dla niego na karcie pergaminu kaligrafię, której treść stanowiło tłumaczenie na japoński dwóch wersów jednego z psalmów.

Podróż do Rzymu i z powrotem zajęła pątnikom osiem lat. Gdy w roku 1590 wrócili do ojczyzny, okazało się, że wszystko się w niej zmieniło. Oda Nobunaga nie żył, a jego następca Toyotomi Hideyoshi w roku 1590 wydał dekret przeciwko misjonarzom.

Japońskich pielgrzymów w Rzymie spotkał pochodzący z Rzeczypospolitej student teologii Bernard Maciejowski

Postanowienia dokumentu pozostać miały jeszcze długie lata wyłącznie na papierze, ale stanowiły ponurą zapowiedź przyszłej burzy. Ta zaś rozpętała się po przejęciu władzy przez ród Tokugawa, kiedy wszystkich katolickich duchownych wypędzono z Kraju Kwitnącej Wiśni i rozpoczęto prześladowania wiernych.

Tymczasem Bernard Maciejowski, dokończywszy studia, wrócił do Rzeczypospolitej. Szybko awansując w hierarchii kościelnej, został biskupem łuckim, a z czasem prymasem Polski. W roku 1599 podarował otrzymaną od japońskich przyjaciół, oprawioną w srebrną tabliczkę kaligrafię Akademii Krakowskiej.

Jeden z najniezwyklejszych artefaktów w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej wkrótce został całkowicie zapomniany. Przez wieki nie wzbudzał najmniejszego zainteresowania, aż w końcu znikła świadomość jego istnienia.

Jakie więc było zdziwienie władz UJ, gdy w roku 1999 przyszedł do nich list od pracującej na uniwersytecie w japońskim Kobe rosyjskiej badaczki prof. Ludmiły M. Jermakowej. Donosiła ona, że wewnątrz znajdującej się w jednym z japońskich muzeów włoskiej książki znalazła karteczkę… zapisaną po polsku i informującą o przekazaniu przez biskupa Maciejowskiego pamiątkowej srebrnej tabliczki krakowskiemu uniwersytetowi. Historyczka prosiła o umożliwienie zbadania artefaktu.

Bibliotekarze Biblioteki Jagiellońskiej rozpoczęli gorączkowe poszukiwania. Bezcenny zabytek znaleziono w wypełnionym luźnymi kartkami pudle podpisanym „ojciec Bernard". Dalsze śledztwo wykazało, że artefakt włożono do pudełka w roku 1914, gdy pracownicy uczelni ewakuowali zbiory biblioteczne i cenny dobytek swej Alma Mater do piwnic w Collegium Maius, by w wypadku zdobycia Krakowa przez Rosjan ocalić je od chciwych i barbarzyńskich łap moskalskich sołdatów.

Odnalezienie srebrnej tabliczki spotkało się z zainteresowaniem ze strony japońskich historyków, a prof. Jermakowa poświęciła tej niezwykłej historii całą książkę wydaną następnie w Japonii, której egzemplarz, jako wyraz wdzięczności za okazaną pomoc, przesłała do Biblioteki Jagiellońskiej.

Historia pielgrzymów z Japonii stanowi jeden z ciekawszych epizodów w dziejach kontaktów między Zachodem a Krajem Kwitnącej Wiśni. Co ciekawe, choć w Europie mało kto o niej wie, to w XX w. pątnicy zostali wchłonięci przez japońską popkulturę. W roku 1992 Japończycy mieli okazję na ekranach swoich telewizorów obejrzeć serial historyczny o Odzie Nobunadze „King of Zipangu", który otwierała scena audiencji udzielanej młodym samurajom przez papieża Grzegorza XIII. To właśnie towarzyszący młodzieńcom jezuita Luis Frois, wieloletni tłumacz Ody, jest bowiem narratorem snującym przed papieżem (i widzami) opowieść o niezwykłych losach wodza, który rozpoczął proces jednoczenia rozbitego wojną domową kraju. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że skoro w tej niesamowitej opowieści pojawia się wątek polski, to może i u nas jakiś pisarz lub filmowiec weźmie całą sprawę na warsztat.

©℗ Wszelkie prawrzeżone

W Japonii nazwisko zawsze stawia się przed imieniem i tejże tradycji trzymałem się w tekście, wyjątek robiąc dla ochrzczonych samurajów, którzy posługiwali się zachodnimi imionami.

eprasa.pl f4c7b261e1

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

W ramach niszczenia elit

Zapomniana – bardzo niesłusznie – postać Kazimierza Czarnieckiego i jego losy w Polsce Ludowej. Kim był, czym sobie zasłużył na taki los? Pochodził ze wsi Ostrów w województwie tarnopolskim. Był absolwentem Politechniki Lwowskiej przed wojną (Wydziału Rolniczo-Leśnego) i lokalnym działaczem Stronnictwa Narodowego, największej przed wojną partii politycznej. Nie znamy dokładnie jego życiorysu, dziś brakuje już świadków.

Kazimierz Czarniecki podczas okupacji (na tych terenach zaczęło się od Sowietów) działał w konspiracyjnych strukturach Stronnictwa Narodowego w Tarnopolu. Równolegle angażował się w konspiracji wojskowej – Narodowej Organizacji Wojskowej. Szerszą działalność można tam było rozwinąć dopiero po wejściu Niemców, czyli po czerwcu 1941 r. Został komendantem powiatu Tarnopol, posługując się pseudonimem Szymon Turzyński. Być może był również prezesem SN w tym powiecie.

Gdy w 1942 r. nastąpił rozłam w SN i NOW, Kazimierz Czarniecki z częścią podkomendnych znalazł się w NSZ. Szybko rozwinął tam działalność – nie tylko polityczną, lecz także wojskową. Organizował szkolenia w ramach konspiracyjnych szkół podchorążych (będąc tam również jednym z wykładowców) i szkolenia wojskowe, co było zbieżne z programem tej organizacji, szykującej swe szeregi do powstania powszechnego. Nie dysponujemy dokumentami konspiracyjnymi z tego terenu, ale wiemy, że struktury organizacyjne były rozwinięte, a rozmowy scaleniowe z AK bardzo zaawansowane.

Nie znamy jego dalszych losów, ale po wojnie znalazł się w Głubczycach. Nie ujawnił się, a z racji wykształcenia podjął pracę w szkole średniej. Tam grupa młodzieży zwróciła się do niego o opiekę i samokształcenie. Był to rok 1948. Okazało się, że produkują ręcznie pisane ulotki i rozwieszają je po mieście. Pożyczył im książkę Stanisława Grabskiego „Państwo narodowe" (wydaną we Lwowie w 1929 r.). Chłopcy szybko wpadli w łapy bezpieki, która szukała spisku i terrorystów. Dokładne rewizje u wszystkich (i ich rodzin) nie ujawniły broni. Ale jeden z chłopców miał… procę. Czyli był już „dowód rzeczowy" – posiadanie broni. Chłopiec miał urwane palce, nie mógł się więc procą posługiwać. To nic, komunistyczny biegły uznał, że i tak mógł z niej strzelać do „władzy ludowej". Był spisek, była grupa terrorystyczna. Zapadły wyroki. Nauczyciel otrzymał karę śmierci. Niepełnoletni chłopcy – kary więzienia.

Czarnieckiemu zamieniono (w drodze „łaski") wyrok na 15 lat więzienia. Długo nie siedział, zmarł na skutek warunków w wieku zaledwie 42 lat, choć przedtem był całkiem zdrowy. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć badacza

W 1888 r. Niedziela Palmowa wypadała 25 marca, jednak dla 43-letniego fizyka, Zygmunta Wróblewskiego, świąteczne popołudnie było normalnym dniem pracy. Światową sławę uzyskał kilka lat wcześniej, skraplając z Karolem Olszewskim tlen i azot, co umożliwiło opracowanie kaskadowej metody skraplania gazów. Wróblewski był typem naukowca badacza, a chemia jego największą miłością – być może dlatego nigdy nie założył rodziny.

Miał za sobą także chwalebny epizod patriotyczny – jako student Uniwersytetu w Kijowie wziął udział w powstaniu styczniowym, za co zapłacił kilkuletnim zesłaniem na Syberię. Karczowanie lasów w okolicach Tomska pogłębiło u niego wadę wzroku, groziła mu nawet całkowita ślepota.

Gdy pojawił się pod Wawelem, objął Katedrę Fizyki UJ, a wraz z Karolem Olszewskim stworzył znakomity duet naukowy. Niestety, niebawem do głosu doszły ambicje osobiste i w efekcie panowie zaprzestali współpracy. Duży wpływ na tę decyzję miało środowisko naukowe Krakowa, dla którego Wróblewski ciągle był postrzegany jako przybysz z zagranicy (urodził się w Grodnie, a obywatelstwo miał pruskie), zatem popierano pochodzącego z Galicji Olszewskiego.

Został jednak wybrany na dziekana Wydziału Filozoficznego UJ (Katedra Fizyki była jego częścią). Chociaż kadra naukowa nie przepadała za Wróblewskim, uznawano go jednak za wybitnego naukowca, a studenci tłumnie gromadzili się na jego wykładach.

Z powodu natłoku obowiązków administracyjnych w ostatnich latach życia koncentrował się wyłącznie na pracy teoretycznej, a za jeden z najważniejszych celów uznał wyliczenie stałych krytycznych dla wodoru. I właśnie nad tym zagadnieniem pracował wieczorem w Niedzielę Palmową 1888 r.

Relacje na temat tragicznego wypadku są sprzeczne. Nigdy dokładnie nie ustalono, czy naukowiec potrącił podczas pracy lampę naftową, wylewając jej zawartość na siebie, czy przypadkowo ją przewrócił, śpiąc na kanapie. Wiadomo tylko, że w ogniu stanęło jego ubranie. Płonąc, wybiegł na zewnątrz, gdzie dwóch studentów ugasiło ogień za pomocą własnych płaszczy. Obrażenia Wróblewskiego były bardzo poważne i następnego dnia naukowiec trafił do prywatnej lecznicy dr. Jana Gwiazdomorskiego, jednak nie udało się go uratować. Zmarł trzy tygodnie później.

Nie żegnali go najbliżsi – rodzina mieszkająca w Grodnie nie zdążyła przyjechać. Jednak pogrzeb był jedną z najważniejszych tego typu uroczystości u schyłku XIX stulecia w Krakowie. Wróblewski spoczął na cmentarzu Rakowickim, a na jego nagrobku wyryto: „Cierpiał za ojczyznę – zginął dla nauki". ©℗

eprasa.pl f4c7b261e1

Z Rafałem Dajborem, aktorem, dziennikarzem i pisarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Czterdziestolatek po półwieczu

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Opus vitae Jerzego Gruzy nigdy by nie powstało, gdyby władza ludowa nie zablokowała mu dwóch wcześniejszych filmów oraz gdyby doszła do skutku planowana przez niego realizacja telewizyjnej biografii Poli Negri?

RAFAŁ DAJBOR: Nie odpowiemy na to pytanie, bo – jak wiadomo – alternatywna wersja historii to wyłącznie ćwiczenie myślowe. Z pewnością jednak twórca potrzebował sukcesu po tym, jak jego dwa obrazy (kinowa „Przeprowadzka" i telewizyjne „Przyjęcie na dziesięć osób plus trzy") leżały na półkach, a projekt serialu o Poli Negri, planowany z Wiesławą Czapińską, nie wypalił.

Miał prawo wierzyć, że kolejna współpraca z Krzysztofem Teodorem Toeplitzem okaże się takim sukcesem i… się nie pomylił. Widzowie od razu polubili Karwowskich, a w ciągu lat upływających od produkcji serialu ta miłość nie wygasła, czego dowodem są nieustające powtórki, a także to, że niedawno Karwowski trafił również na scenę – musical na podstawie opowieści o inżynierze zrealizowała w teatrze Rampa Joanna Drozda.

Tytułem wyjaśnienia – mówię o „kolejnej" współpracy Gruzy z Toeplitzem, bo na początku lat 70. stworzyli oni razem sztukę teatralną „Akwarium 2", którą na deskach Teatru Współczesnego w Warszawie wyreżyserował Tadeusz Łomnicki, oraz komedię filmową „Dzięcioł", oczywiście w reżyserii Gruzy. Recenzenci teatralni dość przychylnie przyjęli „Akwarium 2", natomiast krytycy filmowi nie zostawili na „Dzięciole" suchej nitki, a na festiwalu filmowym w Łagowie „Dzięciołowi" przyznano antynagrodę Skisłe Grono i obwołano najgorszym filmem 25-lecia Polski Ludowej. Tyle że publiczność głosująca „nogami", czyli po prostu przychodząca na „Dzięcioła" do kin, wiedziała swoje. Gruza i Toeplitz zyskali przeświadczenie, że choć nie przekonali do siebie krytyków, to pu-

eprasa.pl f4c7b261e1

Najpierw wybrany został aktor do roli Karwowskiego, potem zaczęło się szukanie Magdy Karwowskiej
FOT. INPLUS/EAST NEWS

bliczność już tak. I że ich dalsza współpraca ma sens. Jak się okazało – miała!

Autorzy scenariusza jakoś podzielili się robotą?

Pracowali zawsze wspólnie, ale to Toeplitz przeważnie wymyślał problematykę kolejnych perypetii Karwowskiego, a Gruza perfekcyjnie obudowywał te pomysły w anegdotę, dialog, budował z nich sceny i ujęcia oraz znajdował puenty. Moim zdaniem stworzyli naprawdę fenomenalny tandem scenopisarski. Utrafili w oczekiwania widzów i stworzyli serial kultowy, który wrósł w naszą rzeczywistość kulturową i popkulturową.

Ingerencje cenzorskie w ich pracę się zdarzały?

Pojawiły się dopiero przy dwóch ostatnich seriach, z lat 1977 i 1978, czyli już po wydarzeniach w Radomiu, Ursusie i Płocku, gdy władza zaczęła dobitnie odczuwać narastające niezadowolenie społeczne. Cenzorom nagle zaczęło w „40-latku" przeszkadzać pokazywanie bolączek codziennego życia Polaków oraz prezentowanie „towarzyszy", zwłaszcza tych z wyższego szczebla, jako ludzi skupionych na własnych karierach i materialnej stronie życia, choć kwestionowano także sposób mówienia dyrektorów i wiceministrów, jako zbyt kwiecisty, zbyt najeżony propagandową nowomową. Cenzorzy całkiem trafnie wyczuwali, że Gruza i Toeplitz wyśmiewają „okrągłą gadkę" partyjnych bonzów.

Reżyser rozważał roszadę obsadową między Andrzejem Kopiczyńskim a Leonardem Pietraszakiem?

Od lat w mediach krążą takie legendy, choć Jerzy Gruza wielokrotnie podkreślał, że Andrzej Kopiczyński był jego pierwszym wyborem, którego dokonał wbrew tym, którzy chcieli go przekonać, iż nie ma sensu brać do głównej roli aktora powszechnie kojarzonego z Mikołajem Kopernikiem. „40-latek" był kręcony, gdy biografię astronoma, autorstwa Ewy i Czesława Petelskich, z Kopiczyńskim w roli tytułowej, emitowano jeszcze w kinach, a niebawem na szklane ekrany trafiły odcinki powstałego przy okazji serialu. Rozmawiałem o tym z wdową po Leonardzie Pietraszaku – Wandą Majerówną. Twierdzi, że Gruza po prostu sprawdzał sobie różne konfiguracje między aktorami. Testował, jak któremu z nich pasują poszczególne fragmenty scenariusza, ale była to zwykła podczas zdjęć próbnych reżyserska robota, a nie jakieś sensacje typu „mało brakowało, a Pietraszak byłby Karwowskim".

Anna Seniuk – używając współczesnej terminologii – wygrała casting?

Tak. Najpierw wybrany został aktor do roli Karwowskiego, potem zaczęło się szukanie Magdy Karwowskiej. Anna Seniuk wygrała zdjęcia próbne, pokonując wiele aktorek, w tym i byłą Miss Polonia – Alicję Bobrowską. Rolę z przyjemnością przyjęła, a potem… odrzuciła, gdyż okazało się, że dyrektor teatru Ateneum, Janusz Warmiński, nie może jej zwolnić na zdjęcia, ponieważ umieścił ją w obsadzie sztuki, która miała być realizowana. Ów spektakl spadł jednak z repertuaru, toteż już nic nie przeszkodziło w angażu Seniuk do „40-latka".

Serial podobał się nie tylko w Polsce?

Z sukcesem pokazały go telewizje wschodnioniemiecka, austriacka i francuska. Czyli przekroczył żelazną kurtynę. „Przekrój" zauważył nawet, że aktorka dubbingująca w wersji francuskojęzycznej Irenę Kwiatkowską stworzyła samym głosem doskonałą kreację, niestety nie podał nazwiska tej francuskiej artystki.

Nie byli nim zachwyceni jedynie budowlańcy…

Nie tylko oni. Lekarzy oburzyła jedna z początkowych scen pierwszego odcinka, w którym doktor Karol Stelmach, odziany w służbowy, biały lekarski strój, wysiada z ambulansu i kupuje koniak. Także ówczesne środowiska kobiece nie zareagowały pozytywnie na postać Magdy Karwowskiej, uważając, że jest zbytnio przerysowana. Ale rzeczywiście budowlańcy, którzy przecież pomagali w realizacji serialu (dzięki ich życzliwości „40-latek" mógł powstawać na budowach, o których opowiadał), potem kręcili nosem, że filmowcy ośmieszyli ich trud. Dochodziło nawet do oficjalnych spotkań reprezentantów obu ekip. Jedno z nich relacjonuję w książce. Trochę zabawnie się czyta wystąpienia pracowników budowlanych, którzy, w ramach ocieplenia wzajemnych stosunków, podkreślają społeczne walory filmu. Zupełnie, jakby chodziło o jakiś naprawdę poważny problem, a nie komediowy serial.

RAFAŁ DAJBOR
„40-LATEK. KULISY KULTOWEGO SERIALU"
WYDAWNICTWO KRYTYKI POLITYCZNEJ 2024

„40-latek" wpłynął na zawodową przyszłość odtwórców wiodących postaci?

Bardzo nie lubię słowa „odtwórca". Aktor to nie odtwórca, ale twórca, który mając do dyspozycji scenariusz,

eprasa.pl f4c7b261e1

własne warunki psychofizyczne oraz uwagi reżysera, tworzy z tych składników kreację. Tworzy – nie odtwarza. Ale wracając do pytania – wpłynął bardzo, szczególnie na życie zawodowe Andrzeja Kopiczyńskiego, który po „40-latku" nie zagrał już ani jednej głównej roli w filmie kinowym, a jako aktor teatralny wylądował ostatecznie w komediowym teatrze Kwadrat, choć przecież początki jego kariery w ogóle nie wskazywały, że będzie aktorem komediowym. Grywał wielkie role dramatyczne, pracował u Adama Hanuszkiewicza w Teatrze Narodowym.

Także Roman Kłosowski został „na wieki wieków" Maliniakiem, potrafił jednak umiejętnie czerpać z tego wizerunku, a bywało, że grywał też główne role niemające z Maliniakiem nic wspólnego. Kłosowski bał się zresztą trochę tej roli. Martwił się, że straci przez nią sympatię publiczności. Mogło tak się zdarzyć. Dlatego Kłosowski użył takich środków aktorskiego wyrazu, by nieco rozjaśniać lizusowską oślizgłość Maliniaka nieporadnością i pociesznością.

Anna Seniuk oderwała się od postaci Magdy Karwowskiej za cenę odrzucania przez dwa lata ról – jak mówi sama aktorka – „magdopodobnych", ale udało się jej dzięki rolom w m.in. „Bilecie powrotnym" Petelskich, „Pannach z Wilka" Wajdy, „Ćmie" Zygadły, „Ojcu królowej" Solarza i „Konopielce" Leszczyńskiego zaistnieć w rolach zupełnie odmiennych niż Magda.

Leonard Pietraszak niemal równolegle z „40-latkiem" kręcił „Czarne chmury", a w następnej dekadzie stworzył w filmach Juliusza Machulskiego „Vabank" i „Vabank II, czyli riposta" postać niegodziwego bankiera Gustawa Kramera, która w oczach tzw. masowego widza stała się jego najbardziej znanym ekranowym wcieleniem. O Irenie Kwiatkowskiej nawet nie ma co w tym kontekście wspominać. Była wielką gwiazdą i przed „40-latkiem", i po nim. Kobieta pracująca stała się jednym z jej najbardziej znanych wcieleń, ale nie wpłynęło to na bieg kariery tej wszechstronnej artystki.

Scenariusz wpisywał się w propagandę sukcesu?

Oczywiście. Zresztą sam Jerzy Gruza w ogóle się tego nie wypierał. Opowiadał, że gdy dekadę wcześniej, w epoce Gomułki, realizował „Wojnę domową", nie mógł znaleźć w Warszawie po zmroku jednego kolorowego, jasnego miejsca. Miasto było szaroczarne, smutne, puste i nudne jak flaki z olejem. A gdy kręcił „40-latka" – Warszawa rozkwitała. Widać to zresztą w serialu – kamera (za którą zasiadał najpierw wybitny operator Mieczysław Jahoda, a potem Jacek Stachlewski) wręcz z lubością syci się widokami kolorowej Warszawy, widokiem ulic, przechodniów, samochodów, zieleni miejskiej.

Wprost z serialu do mieszkań wielu Polaków przeszedł „łuk Karwowskiego", czyli półkoliste wykończenie framugi drzwi łączące się rzecz jasna z usunięciem samych drzwi.
Do dziś w wielu domach można spotkać takie rozwiązanie

Gruza przyznawał wprost, że w dekadzie lat 70. Warszawa zmieniła się na lepsze, zrobiło się barwnie i ciekawie, a z tego, że to wszystko dzieje się na koszt przyszłych pokoleń, nikt z przeciętnych Polaków nie zdawał sobie sprawy. Muszę jednak dodać, że główny bohater został inżynierem nie dlatego, by można było wychwalać wielkie budowy socjalizmu. Jerzy Gruza – co podkreślał w wywiadach – uwielbiał budowy. Pasjonował się technologią. Godzinami śledził wznoszenie hotelu Forum. Fach Stefana Karwowskiego stanowił pochodną zainteresowań reżysera.

Czemu inżynier Karwowski trafił do kina?

Ponieważ autorzy „40-latka" postanowili zdyskontować sukces telewizyjny. Jeden z odcinków rozbudowali do metrażu filmu kinowego. Powstała komedia pt. „Motylem jestem, czyli romans 40-latka", która – szczerze mówiąc – nie wyrobiła sobie własnego, autonomicznego miejsca i wygląda jak nieco dłuższy odcinek serialu. Osobiście bardzo „Motylem jestem…" lubię. Pojawiły się w nim ciekawe, nieobecne w samym serialu postacie w świetnym aktorskim wykonaniu. Dajmy na to homoseksualny tancerz Bohdana Łazuki, reżyser telewizyjny Wojciecha Pszoniaka, pięknie wyglądający i wciąż opowiadający o swojej przeszłości, ale obecnie występujący w estradowych chałturach artysta sceny Igora Śmiałowskiego. W „Motylem jestem…" zagrał także Mariusz Gorczyński, którego życiu i działalności poświęciłem założoną i prowadzoną przeze mnie stronę internetową. Wystąpił jako impresario piosenkarki Ireny Orskiej. Jednak najważniejsza postać tego filmu to oczywiście sama wokalistka, w którą wspaniale, moim zdaniem, wcieliła się Irena Jarocka. Gdy ogląda się jej sceny aktorskie, np. te w klubie Kamieniołomy, gdy Orska i Karwowski po raz pierwszy przeżywają wzajemnie zauroczenie, kiedy obserwuje się, z jaką finezją Jarocka prowadzi króciutką, ale treściwą grę spojrzeń z Karwowskim, jak naturalnie mówi swoje kwestie, aż trudno uwierzyć, że to piosenkarka, a nie aktorka.

Dlaczego koleżanki i koledzy Gruzy z Zespołu Filmowego „X" nie byli przychylni temu projektowi?

Zespół Filmowy „X", w którym powstawał „40-latek", tworzyli skupieni wokół Wajdy młodzi reżyserzy filmowi, dla których najważniejsze było kręcić filmy społecznie zaangażowane i zorientowane na kontestację PRL-owskiej rzeczywistości. To w „Iksie" powstały m.in. „Wodzirej" Feliksa Falka, „Niedzielne dzieci" Agnieszki Holland", „Pokój z widokiem na morze" Janusza Zaorskiego, „Indeks" i „Kung-fu" Janusza Kijowskiego, „Kobieta i kobieta" Janusza Dymka i Ryszarda Bugajskiego" – by zatrzymać się tylko na filmach kręconych w czasie, gdy realizowany był „40-latek", albo tuż po nim. Słowem – filmy z nurtu Kina Moralnego Niepokoju. Plus arcydzieła kierownika zespołu, z nominowaną do Oscara „Ziemią obiecaną" na czele. Ówczesne młode pokolenie reżyserskie uważało, że serial „40-latek" może i nie pasuje do wizerunku Zespołu Filmowego „X", ale po pierwsze – to przecież serial telewizyjny, a nie film kinowy, a po drugie – skoro szef zespołu, Andrzej Wajda, firmuje tę produkcję, to znaczy, że wie, co robi. Jednak kinowe „Motylem jestem…" wywołało już pewne kontrowersje. Notabene sam Wajda uważał, że wyprodukowanie kinowej wersji „40-latka" w „Iksie" było nieco zbyt daleko

eprasa.pl f4c7b261e1

idącym kompromisem pomiędzy oczekiwaniami artystycznymi a komercyjnymi.

Jak „40-latek" rzutował na popkulturę?

Nie tyle rzutował, ile wciąż rzutuje. Wprost z serialu do mieszkań wielu Polaków przeszedł „łuk Karwowskiego", czyli półkoliste wykończenie framugi drzwi łączące się rzecz jasna z usunięciem samych drzwi. Do dziś w wielu domach można spotkać takie rozwiązanie.

Do potocznej polszczyzny przeszło pierwsze zdanie tytułowej piosenki – „czterdzieści lat minęło", a do tego myślę, że niejeden czytelnik spotkał się z sytuacją, w której na czyichś 40. urodzinach śpiewano tę piosenkę zaraz po „Sto lat" albo wręcz zamiast „Sto lat". „Ja jestem kobieta pracująca, żadnej pracy się nie boję" – to kolejne zdanie z serialu, które wrosło w nasz codzienny język. Zwłaszcza że na swój sposób rozpropagował je także Lech Wałęsa, mówiąc przed wyborami prezydenckimi w 1990 r., że jest jak kobieta pracująca, żadnej pracy się nie boi, nawet prezydentury.

Dziś zaś mamy w Warszawie rondo Czterdziestolatka – na skrzyżowaniu Al. Jerozolimskich i al. Jana Pawła II, czyli przy Dworcu Centralnym. Maliniak – na równi z trenerem Jarząbkiem (Jerzy Turek) z „Misia" – stał się popkulturowym symbolem lizusa. Na popularności postaci z serialu bazowali twórcy reklam – zarówno telewizyjnych, jak i prasowych. „40-latek" to klasyka naszej narodowej kultury popularnej.

Jego ciąg dalszy mógł powstać wcześniej?

Gruza nosił się z tym pomysłem w latach 80. Tyle że był wówczas dyrektorem Teatru Muzycznego w Gdyni, na którego deskach urzeczywistniał (z powodzeniem!) swe marzenia o byciu twórcą spektakli musicalowych, by wspomnieć tu choćby „Skrzypka na dachu" czy „Jesus Christ Superstar". Siłą rzeczy skupiony był na innych tematach i klimatach. Pomysł na kontynuację zrodził się na dobre dopiero na początku lat 90. Tym bardziej że zainteresowanie produkcją wyrazili wszyscy najważniejsi współtwórcy. Tak powstał serial „40-latek. 20 lat później". Pierwszy odcinek spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem i krytyków, i widzów. A potem, z odcinka na odcinek, uznanie gasło. Czego zabrakło? Wydaje mi się, że dystansu. W 1989 r. w Polsce naprawdę zmieniło się – w sensie społecznym – właściwie wszystko. Gruza i Toeplitz próbowali za tym nadążyć, usiłowali tę nową rzeczywistość przedstawić we właściwym sobie krzywym zwierciadle. Miała być, tak jak 20 lat wcześniej, satyryczna opowieść. A wyszła trochę karykatura. Tym niemniej uważam, że widownia i krytycy obeszli się z „40-latkiem. 20 lat później" zbyt surowo. Ten serial ma swoje zalety, warto do niego wrócić i nieco wydobyć go z zapomnienia, na które skazało go niemal jednogłośne zlekceważenie w momencie premiery.

Irena Kwiatkowska wyrażała wobec kontynuacji sceptycyzm?

Z Kwiatkowską Gruza od początku pracował jak z wielką gwiazdą. Miała prawo przerabiać pisane dla niej monologi, jak chciała. I korzystała z tego prawa, jak wiemy – z korzyścią dla serialu, bo monologi kobiety pracującej to prawdziwe perełki. W „40-latku. 20 lat później" z udziału w niektórych odcinkach zrezygnowała, uznając, że nie są one dla niej wystarczająco dobre.

W pierwszej dekadzie XXI w. Gruza i Toeplitz napisali kolejną kontynuację „40-latka", tym razem dziejącą się na zajęciach Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Ówczesna TVP wykazała całkowity brak zainteresowania tym pomysłem, co Gruzę osobiście dotknęło

O radiowej wersji cyklu mało to wie...

W pierwszej dekadzie XXI w. Gruza i Toeplitz napisali kolejną kontynuację „40-latka", tym razem dziejącą się na zajęciach Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Ówczesna TVP wykazała całkowity brak zainteresowania tym pomysłem, co zresztą Gruzę bardzo osobiście dotknęło, czemu trudno się dziwić – należał przecież do grona twórców potęgi Telewizji Polskiej. To były inne czasy. Dziś mamy modelki, didżejki trzeciego wieku. Wtedy jednak telewizja (i nie tylko ona) wychodziła z założenia, że trzeba kręcić filmy i seriale o młodych i dla młodych, bo nikt nie chce oglądać „staruchów".

Wówczas, za radą swojej przyjaciółki, aktorki Tatiany Sosny-Sarno, Gruza zaniósł ten scenariusz do Teatru Polskiego Radia. Tak powstało wieloodcinkowe słuchowisko o Karwowskich emitowane jesienią 2011 r. Rzeczywiście mało kto o nim wie. Ale czy można się temu dziwić? Przecież Teatr Polskiego Radia to już od dawna elitarna rozrywka dla miłośników sztuki radiowej. Smutny był nieco ten koniec Karwowskiego. Przeszedł drogę od serialu, który – na równi z Hansem Klossem czy sprowadzonym z Zachodu Simonem Templarem, czyli „Świętym" w wykonaniu Rogera Moore'a – wyludniał ulice, przez przyjętą tak naprawdę z obojętnością kontynuację, do słuchowiska radiowego nieznanego niemal nikomu. Już pierwsze reakcje czytelnicze, które zbieram po ukazaniu się książki, wskazują, że dla wszystkich tych, którzy przeczytali moją książkę, to, że „40-latek" miał w 2011 r. swoją odsłonę radiową, stanowi odkrycie. Miło mi, że przyczyniam się do rozpowszechnienia tej wiedzy. Smutno mi jednak trochę z jednej strony, że inżynier Karwowski kończył swoją historię w taki sposób. Z drugiej strony... Być może lepiej, że kolejna kontynuacja telewizyjna nie powstała. Nie wiem, czy byłaby udana, bo patrząc na to, jak wychodziły kontynuacje hitów sprzed lat, można mieć wątpliwości. Nawet taki mistrz jak Janusz Majewski poniósł fiasko, kontynuując historię „C.K. Dezerterów". Może więc lepiej, że perypetie Stefana Karwowskiego w charakterze studenta Uniwersytetu Trzeciego Wieku zostały ostatecznie odmalowane jedynie głosami na falach eteru...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Rafał Dajbor – aktor i dziennikarz. Autor książek: „Jak u Barei, czyli kto to powiedział", „Mój mąż jest z zawodu dyrektorem, czyli jak u Barei 2" i najnowszej: „40-latek. Kulisy kultowego serialu".

eprasa.pl f4c7b261e1

Bracia Muzułmańscy podbijają Europę

Olivier Bault

W perspektywie kilkudziesięciu lat muzułmanie mogą stać się w niektórych europejskich krajach większością. Co to oznacza?

Listopad 2001 r. W szwajcarskiej miejscowości Lugano policja dokonuje najazdu na luksusową willę arabskiego bankiera, którego służby amerykańskie podejrzewają o udział w finansowaniu zamachów na WTC z 11 września. Posiadający podwójne obywatelstwo, egipskie i włoskie, Youssef Nada jest prezesem banku Al Taqwa (nazwa oznaczająca po arabsku pobożność), który współzałożył. Bank ten został wpisany przez Amerykanów na listę organizacji wspierających terroryzm. Zarządza on funduszami pochodzącymi przede wszystkim z krajów Zatoki Perskiej. Pieniądze te szerokim strumieniem zasilają powstawanie i działalność różnych organizacji i stowarzyszeń związanych z Bractwem Muzułmańskim w Europie, a Nada jest uważany za jednego z liderów tej organizacji. Przeszukując willę arabskiego bogacza, służby szwajcarskie natrafiają na odręcznie napisany 14-stronnicowy dokument w języku arabskim, zatytułowany „Projekt". Nosi datę 1 grudnia 1982 r. i zawiera szczegółową, 12-punktową strategię utworzenia islamskiego rządu światowego.

Projekt ten wpisuje się w ciąg tekstów napisanych przez liderów i myślicieli Bractwa Islamskiego, którzy na fali emigracji ludności z krajów muzułmańskich, korzystając ze swobody działania, którą cieszą się oni na naszym kontynencie, obrali Europę jako pierwszy przyczółek do podboju całego świata. Zadaniem każdego pobożnego muzułmanina, zdaniem Braci Muzułmańskich, jest bowiem przyczynianie się do rozprzestrzeniania religii Koranu na całą ziemię, gdyż tylko wtedy, gdy powstanie ogólnoświatowy kalifat rządzony prawem szariatu, ludzkość będzie żyła w pokoju i szczęściu, zgodnie z wolą Allaha. Od czasu wydania przez Egipcjanina Sayyida Qutba (1906–1966) książki „W cieniu Koranu" twórcy i ideolodzy Bractwa Muzułmańskiego otwarcie uzasadniają dżihad zbrojny jako środek do tego celu, czyniąc ze świętej wojny z niewierzącymi i niewiernymi jeden z filarów islamu.

POD RÓŻNYMI SZYLDAMI

Po obaleniu przez wojskową juntę w 2013 r. egipskiego prezydenta Muhammada Mursiego, człowieka Bractwa Muzułmańskiego, który wygrał wybory w 2012 r. na fali arabskiej wiosny oraz w następstwie represji ze strony nowych władz tego kraju, gdzie Bractwo Muzułmańskie powstało w latach 20. ubiegłego

eprasa.pl f4c7b261e1

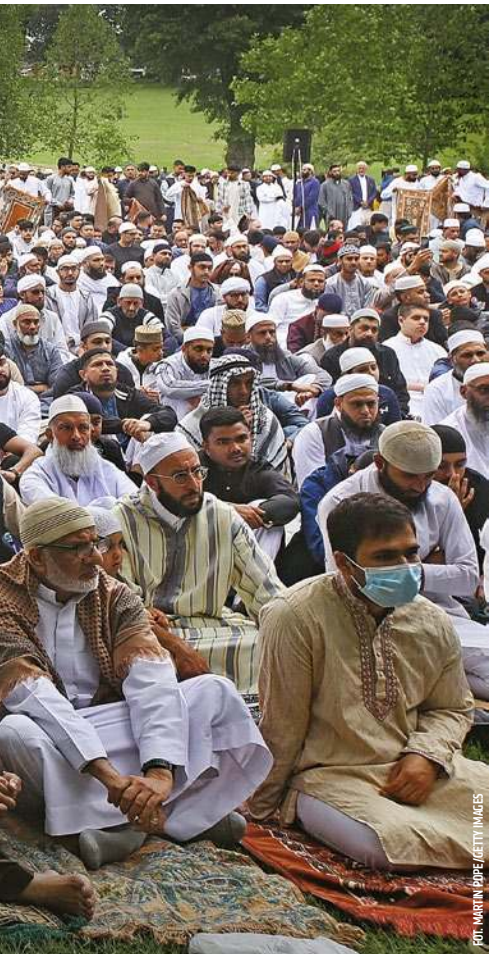
FOT. MARTIN BÉRE/GETTY IMAGES

wieku, a także z powodu presji ze strony władz Arabii Saudyjskiej i kilku innych krajów arabskich, światowe władze Bractwa przeniosły się do Turcji na zaproszenie prezydenta Erdoğana. I to Turcja jest teraz tą główną bazą, z której dokonuje się zapowiadany stopniowy podbój Europy.

Przypomnieć w tym kontekście należy słowa samego Recepa Erdoğana, człowieka powszechnie uważanego za związanego z Bractwem Muzułmańskim, gdy był jeszcze merem Stambułu w 1997 r.: „Meczety są naszymi koszarami, ich kopuły hełmami, minarety bagnetami".

Dziś Bractwo Muzułmańskie jest już obecne w całej Europie Zachodniej, gdzie utrzymuje ścisłe związki i aktywnie współpracuje z turecką paneuropejską organizacją nacjonalistyczną Millî Görüş, a obie organizacje są wspierane przez Diyanet, turecki dyrektoriat do spraw religijnych. W 2018 r. Erdoğan porównał członków i imamów Diyanet do „armii liczącej 140 tys. osób". Zarządza m.in. ok. 2 tys. meczetów poza Turcją. Jako organizacja inspirująca się ideologią zdecydowanie panislamistyczną, której celem było i nadal jest odtworzenie w pierwszej kolejności zjednoczonego kalifatu obejmującego obecny świat islamski (utraconego wraz z upadkiem imperium otomańskiego), Bractwo współpracuje także z salafizmem, czyli z sunnickim ruchem postulującym, podobnie jak Bractwo Muzułmańskie, powrót do źródeł islamu.

Obecność i rozwój salafizmu w Europie są aktywnie wspierane przez kraje takie jak Arabia Saudyjska i Katar. Katar jest zresztą drugim obok Turcji krajem mocno promującym Braci Muzułmańskich i ich działalność w Europie. Wśród organizacji należących do Braci Muzułmańskich należy wymienić palestyńską organizację terrorystyczną Hamas. Specyfiką Bractwa Muzułmańskiego w świecie islamu jest także to, że jednoczy sunnitów i szyitów, i choć mało się o tym mówi, to Bractwo miało swój udział w powstaniu Republiki Islamskiej w Iranie, z którego władzami wciąż utrzymuje związki. W poszczególnych krajach Bractwo pojawia się w postaci lokalnych organizacji i partii politycznych, tak jak obecnie w Tunezji, gdzie działa pod szyldem partii Ennahdha, która podobnie jak w Egipcie zdobyła tam władzę dzięki arabskiej wiośnie z 2011 r., ale utraciła ją w 2022 r. w związku z autorytarnym zwrotem prezydenta Kajsa Su'ajjida.

Islamski Front Ocalenia, którego wygrana w wyborach z 1990 r. w Algierii doprowadziła do unieważnienia tychże wyborów przez władze, a w konsekwencji do kilkuletniej, wyjątkowo krwawej wojny domowej w tym kraju, także wywodził się z Bractwa Muzułmańskiego. Udowodniono również personalne powiązania Bractwa z Al-Kaidą i później z Państwem Islamskim, nie wspominając już nawet o powiązaniach ideowych z tymi organizacjami oraz innymi islamskimi ruchami terrorystycznymi („dżihadystycznymi").

NA PODBÓJ EUROPY

Bractwo Muzułmańskie – od czasu założenia w 1928 r. w Egipcie przez nauczyciela wyznającego surową wersję islamu, Hasana al-Bannę, sprzeciwiającego się angielskiej dominacji nad krajem i dekadencji Zachodu – bardzo się rozrosło. W latach 30. XX w. przeżywało okres fascynacji faszyzmem i nazizmem, z którym doszło do pewnego rodzaju sojuszu. Po wojnie prominentni naziści wspierali rozwój Bractwa Muzułmańskiego, które traktowali m.in. jako narzędzie do kontynuacji walki z Żydami.

Dziś w Europie Bractwo Muzułmańskie stosuje strategię małych kroków w celu tworzenia społeczności islamskiej odrębnej od państw narodowych, w których społeczność ta żyje, przy czym ostateczny, długoterminowy ich cel to pozyskanie tych państw dla świata islamu i ustanowienie w nich prawa szariatu, kiedy liczebność muzułmanów w nich mieszkających na to pozwoli. Motto Bractwa brzmi: „Allah jest naszym celem, Prorok jest naszym przywódcą, Koran jest naszą konstytucją, dżihad jest naszą drogą, umieranie na drodze Allaha jest naszą najwyższą nadzieją". W przyszłej Europie pod władzą muzułmanów niewierzący będą nawracani siłą lub zabijani, a chrześcijanie i Żydzi, jako „Ludy Księgi", będą mogli żyć jako obywatele drugiej kategorii pod tzw. statusem zimmi.

Zanim do tego dojdzie, w perspektywie kilkudziesięciu, a może więcej lat (dla ustanowienia władzy Allaha nad całą ziemią nie ma to znaczenia), Bractwo Muzułmańskie, ramię w ramię z salafistami i organizacjami tureckimi, poszerza swoje wpływy wśród europejskich muzułmanów: buduje wielkie meczety ze szkołami koranicznymi i bibliotekami, organizuje konferencje i zjazdy, otwiera szkoły prywatne i centra akademickie oraz tworzy organizacje paneuropejskie (często wspierane finansowo przez Komisję Europejską), takie jak European Council for Fatwa and Research (ECHR) z siedzibą w Dublinie, publikujący nakazy i interpretacje prawa islamskiego dla muzułmanów w całej Europie, European Institute of Human Sciences (EIHS), obecny w Anglii, we Francji, w Niemczech i Finlandii, czy wreszcie Forum of European Muslim Youth and Student Organisations (FEMYSO) i European Forum of Muslim Women (EFOMW).

Do tego dochodzą liczne organizacje krajowe, a w wielu krajach także setki meczetów pod bezpośrednią kontrolą Bractwa Muzułmańskiego. A że jednym

eprasa.pl f4c7b261e1

ze sposobów Bractwa Muzułmańskiego na zdobywanie wpływów i przychylności wśród społeczności muzułmańskiej zawsze było prowadzenie działalności socjalnej i charytatywnej, nie bez znaczenia są bezpośrednie powiązania Bractwa z islamską organizacją humanitarną Islamic Relief, także korzystającą z hojnych dotacji unijnych.

Widocznym znakiem siły Bractwa Muzułmańskiego jest m.in. Kongres muzułmański w Bourget koło Paryża, gdzie zjeżdża się co roku ok. 100 tys. muzułmanów i w którym jako prelegenci udział biorą myśliciele Bractwa. Kongres ten organizuje stowarzyszenie Musulmans de France (poprzednio: UOIF), wpisane, podobnie jak wszystkie struktury związane z Bractwem Muzułmańskim, na listę organizacji terrorystycznych przez Zjednoczone Emiraty Arabskie – ale nie przez Francję. Musulmans de France, skupiający wiele muzułmańskich stowarzyszeń na terenie Francji, jest członkiem federacji organizacji islamskich w Europie (Federation of Islamic Organizations in Europe, FIOE), która to organizacja zrzesza większość organizacji Bractwa Islamskiego na naszym kontynencie, choć organizacje te, podobne jak robią to Musulmans de France, często negują jakiekolwiek związki z Bractwem Muzułmańskim. Jest to element stosowanej przez nich strategii opisanej m.in. w wymienionym na wstępie Projekcie, który wpadł w ręce szwajcarskich służb w 2001 r.

Odgałęzieniem FIOE w Niemczech jest Islamska Wspólnota Niemiec (Islamische Gemeinschaft in Deutschland, IGD), z siedzibą w Monachium, która zarządza siecią meczetów, ośrodków i stowarzyszeń w całych Niemczech Zachodnich. Organizacja ta powstała w latach 50. ubiegłego wielu, w celu zbudowania meczetu w Monachium, z pomocą i wsparciem byłego oficera SS nawróconego na islam.

BIERNOŚĆ WOBEC ZAGROŻENIA

Bractwo Muzułmańskie ma dziś także duże wpływy w Wielkiej Brytanii (dzięki sojuszowi z pakistańskimi islamistami), w Irlandii i Szwajcarii oraz rosnące wpływy we Włoszech i w Hiszpanii, a także w kilku innych krajach. Do tej pory Austria jest jedynym krajem europejskim, który miał odwagę zdelegalizować Bractwo na swoim terytorium w ramach nowej ustawy antyterrorystycznej przyjętej w 2021 r. Kilka miesięcy później grupa Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (EKR) w Parlamencie Europejskim – do której należy PiS – opublikowała raport dostępny w Internecie pt. „Network of Networks – The Muslim Brotherhood in Europe" (Sieć sieci – Bractwo Muzułmańskie w Europie), w którym opisana jest w szczegółach sieć organizacji należących do Bractwa lub z nim powiązanych na terenie Europy, a także lista dotacji i działań instytucji unijnych na rzecz tych organizacji.

Władze większości krajów unijnych pozostają bierne wobec szerzenia się na ich terytorium radykalnej, ofensywnej wersji islamu

Raport ten nie odbił się niestety szerokim echem i nie wpłynął istotnie na zachowanie Komisji Europejskiej i innych instytucji europejskich. Władze większości krajów unijnych również pozostają bierne wobec szerzenia się na ich terytorium radykalnej, ofensywnej wersji islamu.

Bracia Muzułmańscy umiejętnie posługują się zresztą retoryką odwołującą się do praw człowieka. Fakt ten interesująco skomentował Alexandre del Valle, francuski historyk i profesor geopolityki, znawca świata islamu, w wywiadzie dla „Le Figaro" sprzed czterech lat: „Domagają się, by muzułmanie, jako spadkobiercy kolonizacji, przestali być stygmatyzowani i by w imię wolności religijnej czyniono wyjątki. Są bardzo dobrzy w wykorzystywaniu naszego słownictwa. Nową doktryną Bractwa Muzułmańskiego jest wmawianie ludziom, że wyznają wartości praw człowieka, demokracji i sekularyzmu. Utrzymują, że prawo kobiet do noszenia muzułmańskiej chusty jest prawem człowieka. To bardzo sprytne posunięcie, ponieważ doskonale wiedzą, jak manipulować europejskim poczuciem winy, które trawi elity".

Prezydent Turcji Recep Erdoğan tymczasem tłumaczy, że integracja muzułmanów w europejskich społeczeństwach to zbrodnia przeciw prawom człowieka. Zresztą nie tylko Turcja, Katar, Arabia Saudyjska czy jeszcze Bractwo Muzułmańskie oraz powiązane lub sojusznicze organizacje islamistów starają się „od wewnątrz" zapobiegać integracji społeczności muzułmańskich w krajach ich zamieszkiwania w Europie.

Francuski polityk Jean-Frédéric Poisson w rozmowie, którą przeprowadziłem dla „Do Rzeczy" pod koniec 2019 r. (zob. „Do Rzeczy" nr 2/2020) powiedział: „W stolicy Kataru, Ad-Dausze, 57 krajów członkowskich Organizacji Współpracy Islamskiej (OWI) przyjęło plan działania pt. »Strategia islamskiego działania kulturowego poza światem islamskim« (ang. »Strategy of Islamic Cultural Action Outside the Islamic World«). Plan ten zakłada rozbijanie zachodnich społeczeństw poprzez reislamizację wspólnot muzułmańskich i ich wykorzystywanie do rozszerzania szariatu [...]. Całość cieszy się poparciem krajów członkowskich OWI, które zobowiązały się w owej Strategii do finansowego wspierania wszelkich stowarzyszeń, działających w duchu tego planu. I tak rzeczywiście czynią, gdyż np. Arabia Saudyjska finansuje rozwój wahabizmu w Europie, a Turcja wspiera w podobny sposób bezkompromisową koncepcję Koranu i islamu. A co do Katarczyków, dwóch francuskich dziennikarzy, Christian Chesnot i Georges Malbrunot, wydało kilka miesięcy temu książkę pt. »Qatar Papers«, w której wymieniają ok. 140 projektów realizowanych przez Katar na rzecz islamizacji Europy. To wszystko dzieje się teraz!".

Liczba wniosków o azyl w Europie – ponad 1,1 mln – wróciła w ubiegłym roku niemal do poziomu z roku 2015, a legalna imigracja z krajów muzułmańskich bije kolejne rekordy. Sześć lat po opublikowaniu głośnego raportu Pew Research Center o rosnącej populacji muzułmańskiej na Starym Kontynencie wszystko wskazuje na to, że to najbardziej pesymistyczny wariant prognoz Pew Research realizuje się na naszych oczach i że w perspektywie kilkudziesięciu lat muzułmanie mogą stać się w niektórych europejskich krajach większością. Tymczasem Bractwo Muzułmańskie pracuje nad tym, aby była to większość przywiązana do surowej, radykalnej i bezwzględnej wersji islamu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Centrum Komunikacji Instytutu Ordo Iuris.

eprasa.pl f4c7b261e1

Zbrodnia i kultura

Maciej Pieczyński

Figuralnie rzecz ujmując, w czasach carskich czy sowieckich połowa Rosjan siedziała w łagrach (wcześniej na katordze), druga połowa ich tam pilnowała. Między innymi dlatego romantyzacja przestępczości i zamiłowanie do przemocy są nieodłącznymi elementami kultury (a nie tylko polityki) rosyjskiej

Już 50 lat temu leningradzka ulica nauczyła mnie jednej zasady: jeśli bójka jest nieuchronna, to bij pierwszy" – to nie jest cytat ze wspomnień szefa rosyjskiej mafii, tylko wypowiedź prezydenta Rosji. Tymi słowami w 2015 r. uzasadniał rozpoczęcie operacji wojskowej w Syrii przeciwko ISIS. Władimir Putin nie tylko nigdy nie krył, lecz także otwarcie, z dumą przyznawał się do tego, że jego stal hartowała się w podwórkowych bitwach na pięści. Zawsze też chętnie posługiwał się więziennym czy przestępczym slangiem. Już w 1999 r., jeszcze jako premier, zapowiadając krwawą rozprawę ze zbuntowaną Czeczenią, obiecywał, że terrorystów będzie „topić w kiblu". Rosjanom podobały się nie tylko agresywna polityka, lecz także agresywny język. Rok później Putin był już prezydentem. Zresztą ze światem przestępczym łączyły go nie tylko podwórkowa młodość i polityczna retoryka. Pracując w latach 90. w merostwie Petersburga, prawdopodobnie współpracował z przemytnikami broni i handlarzami narkotyków.

Rosję można nazwać „bandyckim krajem", bo łamie prawo międzynarodowe, napada zbrojnie na sąsiadów czy bezprawnie likwiduje przeciwników władzy. Przyczyn takiego stylu prowadzenia polityki należy szukać w kulturze, która pełna jest z jednej strony kultu, a co najmniej usprawiedliwiania przemocy jako takiej, z drugiej zaś – romantyzacji przestępczości. Współczesny dramaturg rosyjski Iwan Wyrypajew stwierdził kiedyś, że Rosjanin „najpierw bierze do ręki siekierę, a potem Ewangelię". To oczywiste nawiązanie do „Zbrodni i kary". U Dostojewskiego nawet najgorszy przestępca zasługuje na drugą szansę, zgodnie z zasadą „jak nie zgrzeszysz, to się nie pokajasz". Fascynację światem zbrodni i wyrozumiałość dla morderców pisarz wyniósł z katorgi. Trafił tam z powodów politycznych, jako niedoszły rewolucjonista. Na miejscu jednak wyleczył się z antycarskich poglądów. Nabrał niechęci do więźniów politycznych (w tym do Polaków), zauroczył się natomiast prostym ludem rosyjskim. Czyli – zwykłymi kryminalistami. Przyjaciel Dostojewskiego, filozof Władimir Sołowjow, miał od niego usłyszeć, że jest dobrym człowiekiem, ale byłby jeszcze lepszy, gdyby przeżył katorgę.

TERROR TO KONIECZNOŚĆ?

Fascynacja przestępczością wynika też z kultu siły i przemocy. Znany współczesny publicysta opozycyjny Dmitrij Bykow słusznie kiedyś stwierdził, że Rosja jest jak beczka, która potrzebuje żelaznej obręczy, żeby się nie rozpaść. Tylko silna ręka dyktatora jest w stanie zapanować nad krwawym chaosem czy to chłopskiego buntu, czy to wojny domowej, czy to przestępczości (a często jedno z drugim i trzecim idzie razem). Pozornie trudno jest zrozumieć, dlaczego Stalin zgodził się na publikację „Cichego Donu" Michaiła Szołochowa, a samego autora bronił przed represjami, choć powieść przedstawia wojnę domową jako krwawą jatkę między bolszewikami a białymi, w której obie strony są równie brutalne i bezwzględne. Tymczasem dyktator właśnie takiego obrazu potrzebował. Z jednej strony, powieść pokazuje, że terror jest codziennością, wręcz koniecznością. Z drugiej strony, czytelnik może dojść do wniosku, że jedynym antidotum na chaos wojny domowej jest dyktatura. Terror to konieczność, byle był uporządkowany i zinstytucjonalizowany, a przez to – przewidywalny.

Carska katorga, a potem sowiecki Gułag nie mogły nie wpłynąć na kulturę rosyjską. Naród, którego połowa siedziała za kratami, a druga połowa tej pierwszej pilnowała, do dziś zafascynowany jest światem przestępczym. Rosjanie zakochali się w filmach i serialach kryminalnych, które romantyzują, a często nawet usprawiedliwiają przestępczość. Głównymi, z reguły pozytywnymi bohaterami są w nich nie stróże prawa, tylko ci, którzy to prawo łamią.

Status kultowych zyskały filmy „Brat" (1997) i „Brat 2" (2000) w reżyserii Aleksieja Bałabanowa. Główny bohater, Daniła Bagrow, to weteran wojny w Czeczenii, który po powrocie z frontu nie może znaleźć sobie miejsca w ponurej rzeczywistości prowincjonalnej Rosji lat 90. Dzięki wojennemu doświadczeniu rozprawia się z gangsterami, którzy prześladują jego brata – płatnego zabójcę Wiktora. Po gangstersku zresztą – mordując ich wszystkich. W drugiej

eprasa.pl f4c7b261e1

części Daniła i Wiktor lecą do Stanów Zjednoczonych, żeby pomóc rosyjskiemu hokeiście, oszukanemu przez amerykańskiego biznesmena i ściganemu przez kijowską mafię. Wymowa „Brata 2" jest jednoznacznie antyzachodnia i antyukraińska. „Powiedz mi, Amerykańcu, w czym tkwi prawdziwa siła? Czy naprawdę w pieniądzach? […] A ty masz dużo pieniędzy, i co z tego? Myślę, że siła jest w prawdzie. Kto ma prawdę, ten jest silniejszy. Oszukałeś kogoś i pieniądze zarobiłeś. I co, silniejszy się stałeś? Nie, bo prawdy w tobie nie ma" – ten patetyczny monolog zupełnie poważnie wygłasza Bagrow, trzymając na muszce nieuczciwego biznesmena. Wiktor w tym czasie zostaje otoczony przez policję, która ściga go za zabicie „banderowców" z ukraińskiej mafii. Na żądanie złożenia broni gangster odpowiada: „Rosjanie nigdy się nie poddają!".

Film, jak to się mówi w Rosji, rozszedł się na cytaty, które zna niemal każdy. Wiktor jest postacią komiczną, ale nie negatywną. Za to już Daniła jest bohaterem absolutnie pozytywnym, szlachetnym bandytą bez skazy, przedstawionym zupełnie nieironicznie. Grający go Siergiej Bodrow był bożyszczem swojego pokolenia. Na jego legendę wpłynęła też przedwczesna i tragiczna śmierć – w wieku 31 lat zaginął wskutek zejścia lawiny podczas kręcenia kolejnego filmu w górach Osetii Południowej. Jego ciała nigdy nie odnaleziono.

Zarówno „Brat", jak i „Brat 2" to filmy prymitywne w treści i przeciętne w artystycznej formie, a do tego w nachalnie oczywisty sposób romantyzujące przestępczość. A jednak jest to kino kultowe, uwielbiane przez miliony Rosjan. W finalnej scenie drugiej części Daniła wsiada na pokład samolotu z Chicago do Moskwy wraz z Daszą – rosyjską prostytutką, którą wyzwolił z rąk amerykańskich sutenerów. Gdy steward odmawia pasażerom podania alkoholu, tłumacząc, że podczas nabierania wysokości jest to zabronione, Dasza ściąga perukę, pokazując groźnie wyglądającą, ostrzyżoną na łyso głowę, i tonem nieznoszącym sprzeciwu żąda: „Chłopcze, nie zrozumiałeś. Przynieś nam wódeczkę, lecimy do domu". Tę słynną frazę zacytowała w filmiku Julia Nawalna, gdy na początku 2021 r. towarzyszyła mężowi w locie powrotnym do Rosji. To pokazuje, że na filmie Bałabanowa wychowali się nie tylko przestępcy czy putiniści, lecz także zwolennicy prozachodniej opozycji.

Kolejny przykład romantyzacji przestępczości to serial Aleksieja Sidorowa „Brygada" z 2002 r. Opowiada historię czterech przyjaciół, którzy w 1989 r. stworzyli jeden z najpotężniejszych moskiewskich gangów. Ich liderem jest Sasza Biełow ps. Biały, który właśnie wrócił z wojny w Afganistanie. Okazało się, że dziewczyna, z którą się spotykał, zdradziła go z gangsterem. Sasza wdaje się z nim w bójkę na dyskotece. Chcąc uprzedzić zemstę, samotnie wybiera się do siedziby gangu. Daje rywalowi wybór: albo zabije go na miejscu, okrywając się hańbą i zyskując na ulicy miano tchórza, albo zgodzi się na uczciwy pojedynek bokserski. Gangster wybiera to drugie – w końcu świat przestępczy rządzi się rycerskimi zasadami…

Jedynym naprawdę nieuczciwym bandytą okazuje się milicjant, zblatowany z przestępcami. Nawet ściąganie haraczu jest przedstawione w taki sposób, żeby widz za bardzo nie potępiał ściągających. Sasza proponuje „ochronę" biznesmenowi Arturowi Łapszynowi. Ten wstępnie wyraża zgodę. Gdy jednak, w ramach gestu dobrej woli, Biełow oddelegowuje do współpracy z Łapszynem swojego prawnika, zostaje on brutalnie pobity, wręcz doprowadzony do kalectwa, przez ludzi biznesmena. A wtedy już rozprawa z przedsiębiorcą (nawiasem pisząc, przedstawionym karykaturalnie) wydaje się zasłużoną, sprawiedliwą karą. „Brygada" to raczej oderwana od realiów bajka o czterech muszkieterach niż prawdziwy obraz Rosji lat 90. Gangsterzy są młodzi, silni, sympatyczni, zabawni i szlachetni. To paradoks, że serial cieszył się ogromną popularnością, choć powstał niedługo po zakończeniu opisywanej w nim epoki, i ówcześni widzowie musieli mieć pełną świadomość, że przedstawia on obraz zafałszowany. Być może jednak w ramach narodowej terapii Rosjanie potrzebowali obejrzeć bajkę, bo mroczną prawdę i tak znali. A być może usprawiedliwianie przemocy i przestępczości leży po prostu w ich naturze. Najpewniej i jedno, i drugie.

SŁOWO PACANA

Wreszcie, pod koniec 2023 r. pojawił się największy hit w najnowszej historii rosyjskiej popkultury. Serial Żory

eprasa.pl f4c7b261e1

FOT. ADOBE STOCK

Rozkwit bandytyzmu zazwyczaj następował po przegranych wojnach i politycznych kryzysach

Kryżownikowa „Słowo pacana", opowiadający o młodzieżowych gangach, grasujących na ulicach Kazania w czasach pierestrojki. Serial pobił wszelkie rekordy popularności na całym świecie rosyjskojęzycznym, również na Ukrainie, gdzie oglądany był nawet przez żołnierzy na froncie. Wywołał tym wściekłość ukraińskich publicystów i polityków, którzy albo krytykowali rodaków za zachwycanie się rosyjską popkulturą, albo wyśmiewali Rosjan za to, że nakręcili serial o bandytach, czyli o sobie samych, albo ubolewali, że Ukraina podobnego hitu nie potrafi stworzyć.

Świat przedstawiony przez Kryżownikowa dzieli się na dwie grupy. Jeśli należysz do bandy, to jesteś pacanem, czyli równym chłopakiem, który może liczyć na wsparcie kolegów. Jeśli nie należysz, to jesteś czuszpanem, czyli frajerem, którego pacan może bezkarnie bić i poniżać. W odróżnieniu od Bałabanowa i Sidorowa Kryżownikow nie romantyzuje przestępczości. Przedstawia skomplikowane postaci, które może i budzą sympatię lub współczucie, ale widać wyraźnie, że wybrana przez nie droga musi je zaprowadzić do tragedii. Choć też jest to droga bezalternatywna. W świecie wszechobecnej przemocy jednostka nie ma wyjścia – musi należeć do jakiejś grupy, żeby nie zginąć.

Alternatywami dla ulicznych gangów są milicja i Komsomoł, również dalekie od jakichkolwiek ideałów. Ścigający pacanów milicjant Ildar stosuje brutalne metody, a w jednej z finalnych scen strzela w plecy uciekającemu bandycie. W serialu nic też nie zostaje z ulicznej, przestępczej moralności, tak istotnej w „Bracie" czy „Brygadzie". Tytułowe „słowo pacana", czyli obietnica dana przez bandytę, obowiązuje tylko wobec pacanów. I też nie zawsze. Bodaj jedyny, który szczerze wierzy w ten zestaw ulicznych zasad, Marat Suworow, przeżywa ogromny zawód, zostaje przez grupę zdradzony i ostatecznie zmuszony do przejścia na stronę wroga.

Młodzieżowe gangi, opisane w „Słowie pacana", nie wzięły się znikąd. „Kułacznyj boj", czyli masowa bójka na pięści, to stara, wielowiekowa rosyjska tradycja ludowa. Gdy w 1968 r. kołchoźnikom pozwolono wyjeżdżać za chlebem, przywozili do miast swoje wiejskie zwyczaje. W tym regularne wojny z sąsiednimi wioskami, które w warunkach miejskich przerodziły się w wojny międzyosiedlowe. Przestępczość radykalnie wzrosła w efekcie amnestii wprowadzonej po śmierci Stalina. A gdy w dobie pierestrojki zaczęły pojawiać się pierwsze prywatne biznesy, weszła na nowy poziom – gangsterzy już nie tylko bili się dla „sportu", lecz także zaczęli zarabiać na ściąganiu haraczy. Nawet zatem teoretycznie dobre zmiany w warunkach rosyjskich prowadzą do opłakanych skutków… Bez żelaznej obręczy beczka pęka.

BANDYCI NA FRONCIE I NA KREMLU

Podobnie jak w „Bracie" i „Brygadzie", także w „Słowie pacana" szefem bandy zostaje weteran wojny, w tym wypadku afgańskiej. Zdaniem wielu recenzentów serial Kryżownikowa to nie tylko opowieść o zamierzchłych czasach, lecz także (niezamierzony przez twórców) obraz współczesnej, a być może nawet i przyszłej Rosji. Putin i jego ekipa zachowują się tak, jakby świat był wielkim miastem, podzielonym na terytoria osiedlowych gangów, które zajmują się walką z sąsiadami, biciem czy oszukiwaniem słabszych i korzeniem się przed silniejszymi. I to się wielu Rosjanom, wychowanym na kulturze przestępczej i kulcie siły, podoba.

Ponadto rozkwit bandytyzmu zazwyczaj następował po przegranych wojnach i politycznych kryzysach. I pociągał za sobą również polityczne konsekwencje. Rewolucja 1917 r. i następujący po niej koszmar niezwykle krwawej wojny domowej nie byłyby możliwe, gdyby z frontu nie wróciły tysiące sfrustrowanych i złamanych wojną ludzi, potrafiących zabijać. Granice między rewolucjonistami a zwykłymi przestępcami często były nieostre. Jeden z najsłynniejszych bandytów w dziejach Rosji, Miszka Japończyk, szef odeskiej mafii, aktywnie współpracował z bolszewikami. Stał się prototypem Beni Krzyka – głównego bohatera wybitnych „Opowiadań odeskich" Izaaka Babla. Również szeregi mafii rosyjskiej lat 90. zasilali byli funkcjonariusze resortów siłowych, słabo zarabiający po rozpadzie ZSRS, albo weterani wojny w Afganistanie.

Po każdej wojnie rośnie przestępczość. W obecnym konflikcie, jak wiadomo, po stronie Rosji walczą tysiące kryminalistów, powyciąganych z więzień jeszcze przez Jewgienija Prigożyna, który sam przecież zaczynał jako drobny gangster, zanim został „kucharzem Putina" i szefem słynnej prywatnej firmy wojskowej. Demobilizowani weterani „specoperacji" po powrocie do domu nie zrobią rewolucji (bo autorytet władzy wciąż jest bardzo silny), ale mogą doprowadzić do kolejnego renesansu przestępczości zorganizowanej. Przestępczości, która wraz z dojściem Putina do władzy została wyeliminowana w specyficzny sposób: drobni bandyci albo wystrzelali się nawzajem, albo trafili za kraty, za to ci poważniejsi zalegalizowali swoją działalność, współtworząc elitę Rosji. Bo w Rosji między bandytą a politykiem granica jest nieostra.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

Kogo ciągnie na Cypr

Witold Repetowicz z Cypru

Podobno marzeniem burmistrza cypryjskiego Pafos jest to, by Uniwersytet Jagielloński otworzył w tym mieście swoją filię. Tymczasem od kilku miesięcy trwa tam intensywna budowa innej uczelni: American University of Beirut. Liban może już wkrótce masowo przenosić się na tę wyspę, ale na razie to Polacy wygonili Rosjan z tamtejszych hoteli

W 1187 r. krzyżowcy z Królestwa Jerozolimy ponieśli sromotną klęskę w bitwie z Saracenami Salladyna nieopodal nieistniejącej już wioski Hattin. Miejsce to znajduje się w północnym Izraelu, niedaleko od granicy z Libanem. Jerozolima padła, a panująca tam dynastia Luzynianów przeniosła się na Cypr, którym władała przez kolejne trzy stulecia.

Historia lubi się powtarzać i już wkrótce wyspa może być świadkiem istnego exodusu z Bliskiego Wschodu. Nikt na Cyprze nie ma przy tym wątpliwości, że państwo to samo sobie nie poradzi. Niektóre szacunki mówią bowiem, że jeśli wojna w Strefie Gazy przeniesie się na Liban, a wiele na to wskazuje, to na wyspę ucieknie nawet milion uchodźców. W bardziej umiarkowanych prognozach mowa jest o 100–200 tys. Populacja Republiki Cypru to zaś raptem 900 tys. osób i już teraz ma ona najwyższą liczbę nielegalnych migrantów na tysiąc mieszkańców w Unii Europejskiej. Jest tak za sprawą Turcji, która wykorzystuje migrantów jako broń, ściągając ich na północną, okupowaną przez siebie część wyspy, by następnie przedzierali się oni przez ONZ-owską strefę buforową tak jak migranci Łukaszenki przedostają się przez białorusko-polską granicę. Tyle że Cypryjczycy nie uznają żadnej granicy na swojej wyspie i dlatego jedyne zabezpieczenia są po stronie tureckiej, a Turcy oczywiście usuwają je, aby przepuszczać migrantów.

Nielegalni migranci przedostają się też z Libanu, płynąc na łódkach, i ostatnio nie ma dnia, by jakaś nie dobijała do cypryjskiego brzegu. Przy czym są to nie Libańczycy, lecz Syryjczycy, którzy na wyspie nie są mile widziani. Wprawdzie tak jak u nas są grupy aktywistów, którzy protestują przeciwko cypryjskiej wersji push-backów, ale to właśnie się dzieje. Cypr pozbywa się ich, zawracając do Libanu, który z kolei przekazuje ich Syrii.

Cypr i Polska mają więcej ze sobą wspólnego, niż mogłoby się wydawać

eprasa.pl f4c7b261e1

Cypr ma już najwyższą liczbę nielegalnych migrantów na tysiąc mieszkańców wśród wszystkich państw Unii Europejskiej

FOT. YIANNIS KOURTOGLOU/REUTERS/FORUM

na pierwszy rzut oka. Jeden z cypryjskich profesorów powiedział mi, że nasze doświadczenia z Rosjanami są tym samym, co ich z Turkami, i trudno temu zaprzeczyć, choć przyjeżdżający na wyspę turyści raczej sobie tego nie uświadamiają. W 1974 r. Turcja dokonała krwawej inwazji na Cypr, który raptem 14 lat wcześniej odzyskał niepodległość. W rezultacie 200 tys. greckich Cypryjczyków musiało uciekać na południe i do dziś nie może wrócić do swoich domów. Turcja zajęła 37 proc. terytorium wyspy i proklamowała tam „Turecką Republikę Cypru Północnego", a Cypryjczycy nie rozumieją, dlaczego Unia Europejska inaczej traktuje rosyjską agresję na Ukrainę, a inaczej turecką na ich kraj. Warto przy tym dodać, że Cypr solidarnie przyłączył się do nałożonych na Rosję sankcji i zamknął swoją przestrzeń powietrzną dla rosyjskich samolotów. W przeciwieństwie do Turcji, która jednak mimo to często jest wskazywana jako ważny sojusznik przeciwko Rosji, podczas gdy Cypr wciąż ma łatkę „prorosyjskiego". To powoduje jeszcze większe rozgoryczenie na wyspie

Prawdą jest, że jeszcze niedawno na Cyprze roiło się od Rosjan i ich pieniędzy. Kraj ten miał opinię raju podatkowego i pralni brudnych pieniędzy, a w szczytowym momencie ponad 22 proc. ogółu turystów przybywających na wyspę pochodziło z Rosji. Wciąż zresztą w cypryjskich kurortach widać wszechobecne napisy w języku rosyjskim. W czasie zimnej wojny politykę zagraniczną Cypru definiowała przede wszystkim kwestia tureckiej inwazji i okupacji, a także kolonialnej przeszłości.

Cypr bowiem przez 100 lat znajdował się pod panowaniem brytyjskim i o niepodległość musiał walczyć zbrojnie. Ponadto Cypryjczycy obwiniają USA o to, że przyczyniły się do tureckiej okupacji, a członkostwo Turcji w NATO determinowało stosunek do sojuszu. To wszystko powodowało, że resentymenty wobec USA, Wielkiej Brytanii czy NATO są wśród Cypryjczyków wciąż żywe, a w czasie zimnej wojny Cypr widział swoje miejsce w ruchu państw niezaangażowanych i dążył przede wszystkim do utrzymywania symetrycznie dobrych relacji ze wszystkimi stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa, a więc zarówno z Rosją i Chinami, jak i USA oraz Wielką Brytanią. Z drugiej jednak strony Cypr nigdy nie miał tradycji autorytarnych i wartości demokratyczne ostatecznie przesądziły, że związał się z Zachodem.

POŻEGNANIE Z ROSYJSKIMI TURYSTAMI

Zdaniem wielu cypryjskich ekspertów, z którymi rozmawiałem, w ciągu ostatnich kilku lat doszło do gigantycznej reorientacji geopolitycznej Cypru, która jednak wciąż umyka uwadze zagranicznych komentatorów. Do zmiany tej przyczyniła się wojna na Ukrainie, ale pierwsze działania podjęte zostały znacznie wcześniej. Według rzecznika cypryjskiego MSZ Theodorosa Gotsisa już od co najmniej 10 lat polityka Cypru pokazuje, że kierowane pod adresem tego kraju oskarżenia o prorosyjskość są bezpodstawne. Gotsis powiedział mi, że wbrew różnym spekulacjom nigdy nie było mowy, by Cypr blokował sankcje na Rosję, i w 2014 r. w sposób jednoznaczny potępił okupację Krymu.

Cypryjczycy podkreślają przy tym dwie rzeczy. Po pierwsze, od czasu wstąpienia do UE ich stanowisko w sprawach dotyczących bezpieczeństwa w Europie zawsze było spójne z unijnym, więc nie wchodziło w grę to, by cokolwiek blokowali, jeśli był w danej kwestii konsensus. Dodają jednak, że jednocześnie oczekiwali i wciąż oczekują solidarności europejskiej w kwestii okupacji północy Cypru przez Turcję. Po drugie, w kwestii inwazji ich stanowisko było jednoznaczne, gdyż podchodzą do tego pryncypialnie. Tym, którzy jednak inaczej traktują kwestię rosyjskiej okupacji terytorium Ukrainy, a inaczej turecką okupację północnego Cypru, zarzucają hipokryzję.

Inną kwestią jest natomiast problem cypryjskiego raju podatkowego i prania brudnych pieniędzy. Cypr musiał z tego zrezygnować, skoro chciał być pełnoprawnym członkiem Zachodu. Zrobił to pod dużym naciskiem USA jeszcze przed pełnoskalową inwazją Rosji na Ukrainę. Już w 2020 r. USA zniosły embargo na sprzedaż broni dla Cypru, co było wyrazem uznania dla cypryjskich reform. Nawiasem mówiąc, Cypr całe uzbrojenie kupował od Rosjan, ale gdy po lutym 2022 r. wprowadzono sankcje, zaczął pozbywać się rosyjskiego sprzętu i przerzucać się na amerykański. Współpraca w zakresie bezpieczeństwa zaczęła się szybko rozwijać i tylko to, że Cypryjczycy mają świadomość, iż Turcja nigdy nie zgodzi się na ich członkostwo w NATO, powoduje, że się o to nie starają. Natomiast po 2022 r. władze Cypru zamknęły tysiące rosyjskich rachunków bankowych i zlikwidowały ogromną liczbę rosyjskich wirtualnych firm u nich zarejestrowanych. Zamknięcie nieba dla rosyjskich samolotów spowodowało zaś, że Rosjanie przenieśli się tam, dokąd mogli latać, czyli do Turcji i północnej części Cypru.

HUSARIA ZNAD WISŁY

To mogła być katastrofa dla cypryjskiej branży turystycznej, zwłaszcza że i tak dopiero co wychodziła ona ze strat związanych z pandemią i lockdownami. I wtedy pojawili się Polacy, niczym husaria Sobieskiego pod Wiedniem, tyle że oczywiście bez szabel i kopii, a za to ze swoimi portfelami. Od dwóch lat liczba polskich turystów przylatujących na

eprasa.pl f4c7b261e1

Cypr gwałtownie rośnie. W 2022 r. byliśmy już na czwartym miejscu, po Niemcach, Izraelczykach i Brytyjczykach. W 2023 r. liczba polskich turystów odpoczywających na Cyprze przekroczyła 300 tys. i przegoniliśmy Niemców, a Rosjan przyjechało pięć razy mniej niż nas. Samoloty do Pafos i Larnaki nawet poza sezonem startują kilka razy w tygodniu, i to nie tylko z Warszawy, lecz także z innych polskich miast. Wszystko wskazuje na to, że wkrótce awansujemy na drugie miejsce, a polski już jest trzecim, po greckim i angielskim, najczęściej słyszanym językiem na ulicach. Jeszcze trochę, a te wszystkie napisy po rosyjsku zastąpione zostaną polskimi. Ale w Pafos polskich śladów jest więcej. Od 60 lat pracują tam bowiem polscy archeolodzy i to dzięki ekipie prof. Kazimierza Michałowskiego można tam podziwiać starożytne Nea Paphos, które w 1980 r. zostało wpisane na światową listę UNESCO. Cały czas planowane są nowe wykopaliska, prowadzone obecnie przez ekipę z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Pafos w starożytności było stolicą Cypru, a nazwa pochodzi od mitycznego syna króla tej wyspy Pigmaliona i ożywionego przez Afrodytę jej posągu, czyli Galatei. Sama Afrodyta, bogini miłości, miała pierwsze swoje kroki na suchym lądzie stawiać właśnie na Cyprze, po wcześniejszym wyłonieniu się z morskiej piany. Dlatego Cypr znany jest też jako „wyspa miłości". Tyle że historia pokazuje, iż najczęściej była to zaborcza miłość do Cypru wykazywana przez licznych najeźdźców. Geograficzne położenie we wschodniej części Morza Śródziemnego, w niewielkiej odległości od wybrzeża dzisiejszej Turcji, Syrii, Libanu, Izraela i Egiptu, miało swoje plusy i minusy. Z jednej strony zapewniało rozkwit handlu, dzięki czemu na wyspie pojawiła się jedna z najstarszych cywilizacji. Wizyta w muzeum narodowym w Nikozji pozwala zobaczyć, że rozwijała się ona pod wpływem nie tylko greckim, lecz także fenickim oraz egipskim. Z drugiej strony towarzyszyły temu najazdy i dążenie do podporządkowania sobie tej wyspy. W VIII w. p.n.e. została podbita przez Asyryjczyków, których wyparli Egipcjanie, a następnie Persowie. Tych z kolei podbił Aleksander Macedoński, a po jego śmierci Cypr był przedmiotem rywalizacji między hellenistycznym Egiptem i takąż Syrią. W I w p.n.e. pojawili się Rzymianie, a po podziale cesarstwa wyspa należała do Bizancjum. W VIII w. na 200 lat opanował ją nowo powstały muzułmański kalifat, a cała ludność uciekła wówczas do Nowej Justynianii, położonej niedaleko Konstantynopola. Mieszkańcy wrócili wraz z Bizantyjczykami, ale w XII w. wyspa dostała się w ręce krzyżowców. Gdy w końcu królestwo cypryjskie upadło, pojawili się Wenecjanie, a po 100 latach ich rządów wyspa została podbita przez Turków, którzy władali nią przez kolejne 300 lat.

Migracja zawsze była częścią rzeczywistości Cypru, ale przybysze przybyszom nierówni

Turcy zostawili po sobie trwały ślad w postaci tureckojęzycznej ludności, która w chwili uzyskiwania przez Cypr niepodległości w 1960 r. stanowiła 18 proc. mieszkańców. Wystarczyło, by posłużyło to jako pretekst do tureckiej inwazji. Tak jak Rosjanie obecnie na Ukrainie „bronią" ludności rosyjskojęzycznej, tak Turcy „bronili" ludności tureckojęzycznej. Później proklamowano „Turecką Republikę Cypru Północnego", a obecnie przekraczanie „granicy" stało się poniekąd „atrakcją turystyczną". Problem w tym, że dla Cypryjczyków jest to smutne i nie ma „tureckiej" oraz „greckiej" strony, jak zwykli mawiać turyści, lecz są część wolna i część okupowana. Ponadto stolica Cypru, Nikozja, jest, od czasu zburzenia muru berlińskiego, jedynym miastem w Europie, które jest w ten sposób podzielone. Domy, które znajdują się w strefie buforowej, mają swoich właścicieli. Niektórzy mogą nawet ich dotknąć, ale nie mogą do nich wejść.

Natomiast Brytyjczycy, którzy stanowią największą grupę turystów odwiedzających Cypr, mogą się tam poniekąd czuć jak w domu. Chodzi nie tylko o to, że po rządach Anglików na wyspie pozostały skłonność do spożywania angielskiego śniadania oraz ruch lewostronny, lecz także o fakt, że Brytyjczycy utrzymali swoją suwerenność nad dwoma niewielkimi terytoriami na wyspie: Akrotiri i Dhekelia, na których mają też swoje bazy wojskowe. A zatem wyspa geograficznie leżąca w Azji jest częścią Unii Europejskiej, ale są na niej armie dwóch państw NATO, które nie są w UE, przy czym jedno jest tam legalnie, a drugie jako okupant.

Brytyjczycy przejęli kontrolę nad Cyprem w 1877 r., wykorzystując osłabienie tureckiego sułtanatu, a powodem ich zainteresowania tą wyspą było oczywiście jej strategiczne położenie. Obecnie Cypr ma ambicje stania się hubem bezpieczeństwa we wschodnim basenie Morza Śródziemnego, współpracując w tym zakresie z USA i Wielką Brytanią oraz utrzymując dobre relacje zarówno z państwami arabskimi, jak i Izraelem. Relacje Cypru z tym ostatnim są również szczególne, i to nie tylko ze względu na dużą liczbę turystów. W 1946 r. Brytyjczycy brutalnie przejęli dużą liczbę statków wiozących Żydów z Europy (w tym wielu ocalałych z Holokaustu) do Palestyny i przez trzy lata trzymali ich w obozach koncentracyjnych, które utworzyli na wyspie. Ponadto na Cyprze istnieje sporo ośrodków żydowskich, a w Larnace powstaje wielkie centrum chasydzkiej grupy Chabad-Lubawicz, Niektórzy uważają, że tak naprawdę to baza Mosadu, z którym bliska współpraca władz Cypru nie jest żadną tajemnicą i zabezpiecza wyspę przed infiltracją ze strony libańskiego Hezbollahu czy innych grup terrorystycznych. Hezbollah już próbował zbudować swój przyczółek na Cyprze, gdy toczył z Izraelem wojnę w 2006 r., ale się to nie udało i Cypryjczycy mówią, że jeśli teraz będzie w Libanie wojna, to też się to nie uda, choć próby będą na pewno.

Migracja zawsze była częścią rzeczywistości Cypru, ale przybysze przybyszom nierówni. Gdy na wyspę przybywali Ormianie czy libańscy maronici, bliskość kulturowa powodowała, że nie było mowy o problemach, a obie te grupy cieszą się specjalnym statusem. Jeśli zatem chrześcijanie libańscy będą starali się dostać na Cypr, to tamtejsze społeczeństwo powita ich z otwartymi ramionami. Inni nie będą mogli liczyć na podobną otwartość, a Cypr będzie chciał przejęcia odpowiedzialności za nich przez całą Unię Europejską.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

„Robczik” – o tożsamości litewskich Polaków

Adam Hlebowicz

„Robczik. Powieść wileńska” Bartosza Połońskiego jest próbą zmiany wizerunku litewskich Polaków. Próbą nawiązania kontaktu z najmłodszym pokoleniem

Tradycje odrębności Polaków w Wilnie i na Wileńszczyźnie sięgają dawnych lat. Przed wojną nie przepadało się tu za koroniarzami i galileuszami (tymi z Galicji), bo nie tylko mówili po polsku trochę inaczej, lecz także częstokroć próbowali narzucać rodzimym Litwinom swoje pomysły. Napisałem świadomie „Litwinom”, bo to pojęcie przed wojną, a zwłaszcza przed pierwszą wojną światową, miało inne znaczenie, niż jak je współcześnie rozumiemy. Można było być równocześnie i Litwinem, i Polakiem – jak Mickiewicz i Piłsudski – nie było to jednak analogiczne zestawienie, jak np. Wielkopolanin i Polak. Bo Litwa to nie jeden z regionów Polski, ale ziemie, które dawniej stanowiły potężną państwowość, którą było Wielkie Księstwo Litewskie. To dzięki niemu obszary Rzeczypospolitej Obojga Narodów sięgały do Smoleńska, Witebska i Połocka, a na południu kończyły się na Chortycy i Kudaku. W wyniku procesów politycznych, które dotyczyły całej Europy, już w latach 30. ubiegłego stulecia taka postawa podwójnej świadomości narodowej była niemalże nie do przyjęcia. Zwyciężyły nacjonalizmy, a za ostatnich obywateli, przynajmniej gdy chodzi o świadomość, Wielkiego Księstwa Litewskiego można uznać np. Jerzego Giedroycia, Józefa Mackiewicza czy Mariana Zdziechowskiego.

FOLKLOR NASZĄ SIŁĄ

Aneksja Wileńszczyzny przez Związek Sowiecki w 1944 r., wsparta decyzjami aliantów w Jałcie i Poczdamie, spowodowała nową sytuację. Tysiące naszych rodaków stanęły przed dylematem. Jechać w nowe granice „Polszy” czy zostać? Za wielu decyzję podjęły sowieckie resorty siłowe – albo wywożąc ich do łagrów na wschód, albo zmuszając do wyjazdu na zachód. Pozbyto się głównie inteligencji, ta była tu niepotrzebna, zarówno Rosjanom, jak i Litwinom, tym ostatnim niekoniecznie komunistycznej proweniencji. Zgodnie z sowiecką ideologią nie było także miejsca dla ludzi zamożnych. Dlatego ci, którzy pozostali, w większości mieszkali na wsi, nie posiadali majątku, byli poddawani masowej sowietyzacji i rusyfikacji.

W stolicy Litewskiej Republiki Sowieckiej i jej okolicach zostało jednak sporo polskich nauczycieli. Ci przez kilka dekad dźwigali ciężar podtrzymywania języka, kultury, odrębności nie tylko wobec Litwinów, którzy stali się większością, lecz także wobec tej odrębności regionalnej, lokalnej, tutejszej. Jednym z genialnych kroków w celu podtrzymania tej tożsamości było stworzenie wielu zespołów śpiewaczych, tanecznych – poczynając od słynnej Wilii (w 1955 r.) – które odwołując się do folkloru, ratowały tę odrębność, a jednocześnie tworzyły nową polską inteligencję.

Wileńszczyzna do dzisiaj takimi zespołami stoi. W warunkach wolności po 1991 r. stały się one niejako wizytówką polską Wilna i Wileńszczyzny, z powodzeniem koncertując na całym świecie. Dodajmy, że nasi rodacy mieszkający w tym jednym regionie Litwy stanowią ponad 92 proc. wszystkich Polaków Litwy. Dawny polski żywioł z Laudy, znad Dubissy, z Kowna uległ niemal całkowitej zagładzie – czy to przez represje sowieckie, czy to procesy asymilacyjne wobec litewskiej większości.

To, co było i nadal w jakimś stopniu jest dumą rodaków znad Wilii i Niemna, nie wszystkim do końca pasowało. W repertuarze zespołów folklorystycznych brakowało utworów czy strojów stąd. Ładne kostiumy łowicki lub krakowski przyciągały wzrok, na pewno odróżniały od Litwinów, nie do końca jednak stanowiły o regionalnej tożsamości. Oprócz kultury tradycyjnej niezbędne było tworzenie nowych dzieł, pisanych współczesnym językiem, będących atrakcyjnymi także dla Litwinów lub innych narodów. Pisał o tym wielokrotnie na łamach redagowanego przez siebie pisma „Znad Wilii” Romuald Mieczkowski, publicysta, reżyser i poeta. Choć grono utalentowanych poetów wśród miejscowej polskiej inteligencji, zwłaszcza po roku 1991, było i jest czynne, twórcze, to jednak brakowało większych przedsięwzięć: powieści, dyskusji literackich, serii wydawniczych. Łatwiej było się przebić ze swoim przekazem malarzom, muzykom, rzeźbiarzom, bo operują uniwersalnym językiem przekazu. Tak udało się przykładowo zaistnieć w szerszym audytorium malarzom Robertowi Blujowi, Ryszardowi Filistowiczowi,

eprasa.pl f4c7b261e1

Czesławowi Połońskiemu, rzeźbiarzowi i scenografowi Rafałowi Pieslakowi czy muzykom: Zbigniewowi Lewickiemu i Janowi Maksymowiczowi. Sprawa ma jednak wymiar szerszy, nie tylko literacki czy artystyczny.

JESTEM POLAKIEM Z LITWY

Ciekawy wymiar ma sprawa ubiegania się o Kartę Polaka na Litwie. Pod względem starań się o nią zdecydowanie Polaków litewskich wyprzedzają ich rodacy z Białorusi i Ukrainy. Oczywiście w tych krajach bezwzględna liczba Polaków jest większa niż na Litwie, ale zasadniczym powodem umiarkowanego zainteresowania dokumentem tożsamościowym jest inna sytuacja polityczna w tych państwach. Polak z Litwy po prostu żyje lepiej niż jego pobratymiec z Grodna, Brześcia, Żytomierza czy ze Lwowa. Litwa jako kraj Unii Europejskiej niewiele się różni od dzisiejszej, coraz bardziej zamożnej, Polski. A tego nie można powiedzieć o zamkniętej przez reżim Białorusi i wojennej Ukrainie.

Za tą wstrzemięźliwością stoi jednak coś więcej. To pewnego rodzaju manifestacja. Tak, jestem Polakiem, ale tak naprawdę niczego od tzw. Macierzy nie potrzebuję. Jestem dumnym Polakiem bez Karty Polaka. Swoje plany, marzenia, cele mogę realizować tu, na miejscu. W dużej mierze taka postawa wynika z rozczarowania polityką Warszawy wobec litewskich Polaków. Przez wszystkie ekipy polityczne rządzące Polską po 1989 r. traktowana albo jako niepotrzebny balast („najlepiej, gdybyście się rozpłynęli w morzu litewskim"), albo rezerwat przeszłości (Ostra Brama, marszałek Piłsudski, filomaci z Mickiewiczem na czele). Słusznie dr Barbara Jundo-Kaliszewska swoją pracę poświęconą rodakom z Wileńszczyzny, a wydaną w 2019 r., nazwała „Zakładnicy historii". Trudno się dziwić, że w ostatnich latach Polacy z Wileńszczyzny coraz częściej mówią: „Mamy swoje samorządy, mamy swoje środki finansowe, organizacje, instytucje kultury, chcemy się rządzić po swojemu, według swego rozumu i potrzeb, a nie dyrektyw, nie zawsze mądrych, napływających znad Wisły".

*Bycie „tutejszym" ma swój urok, wiesz. Jesteś taki w pewnym sensie unikatowy. Litwini nas uważają za egzotycznych. Polacy nas lubią, bo jesteśmy dla nich taką nieskazitelną wersją polskości.**

Zauważyć też należy zjawisko stosunkowo mocno posuniętej rusyfikacji Polaków litewskich, dotyczy to zwłaszcza Wileńszczyzny, głównie z południowych rejonów tego współczesnego terytorium. Wpływy kultury rosyjskiej, w jakimś stopniu białoruskiej, są o wiele większe niż dominującej w państwie kultury litewskiej. Ta sytuacja może powodować, obok wzajemnych historycznych antagonizmów, postawę niechęci do bliższej współpracy polsko-litewskiej, choćby na polu kultury. Zresztą wina o wzajemnym niepoznawaniu się jest po obu stronach narodowych.

Podkreślić trzeba, że my, rodacy znad Wisły, wnieśliśmy do tego balastu swój obciążnik w postaci traktowania Polaków z Litwy jako „ruskich", nie wspominając już o potomkach Mickiewicza z Białorusi i Ukrainy. W przypadku tych dwóch ostatnich krajów dla wielu osób z korzeniami polskimi stało się to powodem do świadomego porzucenia tej tożsamości na rzecz białoruskości lub ukraińskości. Powodami takiej postawy były obcy wschodni akcent, rusycyzmy, nieco odmienne obyczaje. Dotknęło to zjawisko wielu młodych ludzi przyjeżdżających do Polski na studia.

BARTOSZ POŁOŃSKI „ROBCZIK. POWIEŚĆ WILEŃSKA" CZĘŚCI PROSTE 2023

Bywali młode panienki z tymi turystami, ale my ich jakoś nie kadrili, bo oni zawsze wyglądali rozumniejsze i rozmawiali dużo ładniej niż my. Ja też jakoś wstydził się do nich zagadać, bo rozmawiał po tutejszemu – i cziuju, ich nie weźnisz tak prosto, bo trzeba dużo gadać pra różne „ważne" ciemy.

W obszarze stołecznego Wilna można zaobserwować nowe zjawisko multikulturowości młodego pokolenia. Światowe multi-kulti, anglicyzmy, skrótowość języka połączyły się na tym gruncie z lokalną mieszanką narodowościową, językową i tożsamościową.

„Robczik"

– To są moi koledzy Robczik i Leszek.

– O Boże, ja nie zapamiętam. Bardzo trudne imiona.

– Polskie.

– Po polsku ani bum-bum. Jesteście z Polski?

– Nie, z Wilna.

– Jesteście polaczki.

– Nie, jesteśmy wilniuki.

Bartosz Połoński, artysta, filmowiec z Wilna, syn wspomnianego wcześniej Czesława, obecnie już w średnim wieku, postanowił dać literacki wyraz tej odmienności litewskich Polaków. Sam po studiach w Polsce, po doświadczeniu pracy w Stanach Zjednoczonych, może dzięki temu miał zarówno łatwiejszą perspektywę widzenia z dystansu, nadwiślańskiego, rodaków znad Wilii, jak i krytyczną ocenę ich samych. Początki tej powieści sięgają nawet 20 lat wstecz. Publikowana najpierw w odcinkach w Internecie powieść o tytule „Robczik" nieoczekiwanie spotkała się z bardzo dobrym odzewem odbiorców. Autor postanowił uciec od mitologii, urwał się cieniom Mickiewicza i Piłsudskiego, pozostawił za sobą lata minione i zaproponował czytelnikom nowy obraz wielokulturowego współczesnego Wilna. „Robczik" to opowieść o kilku wileńskich licealistach, zazwyczaj o polskich korzeniach, choć trafniej byłoby powiedzieć o pomieszanej tożsamości, o ludziach z wileńskich blokowisk, z codziennymi problemami, dylematami i próbami odpowiedzi na nie. To powieść o dojrzewaniu.

Tę literaturę czyta się ciężko. I rzecz nie w licznych tu wulgaryzmach, często zresztą bardzo smakowitych, czy w młodzieżowym slangu. Żeby zrozumieć język wileńskich blokowisk, niezbędne są słowniczek umieszczony na skrzydełkach okładki, a także tłumaczenia poszczególnych słów i wyrazów, żeby coś pojąć z tego polsko-rosyjsko-białorusko-litewskiego wolapiku, okraszonego dodatkowo angielskimi zwrotami. Przy czym – ja przynajmniej tak miałem – im dalej wgłębiamy się w tę opowieść, tym bardziej nas ona wciąga, tym więcej poznajemy żargonowych słów, z którymi mamy coraz mniejsze kłopoty poznawcze. Coś, co początkowo

eprasa.pl f4c7b261e1

Ostra Brama w Wilnie

FOT. ADOBE STOCK

było żartem, potem odpowiedzią na prośby o kontynuację, nieoczekiwanie przerodziło się finalnie w spektakl teatralny i w końcu książkę. Połoński, choć – jak sam w wywiadach mówił, że na pisaniu „Robczika" uczył się, co to właściwie jest literatura – okazał się zdolnym twórcą. Z pewnością pomogły mu jego przygotowanie filmowe, pisanie scenariuszy, krótkich dialogów, co dobrze przełożyło się zarówno na scenę, jak i karty powieści. Dodatkowo udało mu się swoim utworem przełamać pewien wstyd kresowych Polaków, że gorzej mówią po polsku niż ich rodacy z kraju. To normalne, że mówią inaczej, świetne, że przechowują niektóre archaizmy, a zarazem tworzą nowe wyrazy, które dla nas są egzotyką.

Po powrocie z Polski na Litwę zawsze mam takie uczucie, jakbym był na wyższym poziomie intelektualnym. Mam czasami wrażenie, że Polacy na Litwie są krótkowzroczni… Cała ta polskość ograniczona do rejonu wileńskiego. Tylko jak się wyjeżdża za granicę, to dopiero się widzi, że świat jest szerszy i ludzie mają różne poglądy.

Na pewno jest to próba zmiany wizerunku litewskich Polaków. Próba nawiązania kontaktu z najmłodszym pokoleniem – takie zjawisko obserwujemy na całym świecie. Coraz trudniej bowiem znaleźć nam wspólne kody kulturowe już nie między pokoleniami, ale poszczególnymi rocznikami. Każdy język ma niejako dwie jego odmiany – tę oficjalną, literacką i popularną, uliczną, slangową. Zatrzymanie na papierze zmian dokonujących się w języku, co udało się Połońskiemu, doceniają naukowcy, jak dr Irena Masojć z Uniwersytetu Kowieńskiego. Witalność etnolingwistyczna Polaków z Litwy, ich bogate słowotwórstwo wskazują na to, że ten język nie zamiera. Inscenizacja teatralna „Robczika" spotkała się z gorącym odzewem w Wilnie, spektakl trafił już także do Polski – a dodać warto, że sami aktorzy dopisali spore fragmenty nowych dialogów w stylu „robczikowskim" – co pokazuje, że mamy do czynienia z czymś ważnym, nowym, może wyznaczającym trend następnym pokoleniom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN.

*Fragmenty zaznaczone kursywą pochodzą z powieści Bartosza Połońskiego „Robczik. Powieść wileńska", Gdańsk 2023.

eprasa.pl f4c7b261e1

Premier Mateusz Morawiecki zrezygnował z weta, godząc się na zaostrzenie polityki klimatycznej. Na zdjęciu: z szefowę KE Ursulą von der Leyen, Konstancin-Jeziorna, 2022 r. FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Zielony Ład. Kto zawinił?

Tomasz Cukiernik

Politycy PiS gardłują, że unijny Zielony Ład jest groźny dla rolnictwa i całej gospodarki, a sami przyłożyli do niego rękę

Politycy PiS odżegnują się od Europejskiego Zielonego Ładu, a będąc u władzy, go popierali. W 2021 r. prezes Jarosław Kaczyński mówił, że „odrzucenie Zielonego Ładu oznaczałoby ustawienie się na marginesie i innego rodzaju kłopoty". Twierdził, że „to plan, w którym warto uczestniczyć nawet za pewną cenę". Zdymisjonowany minister Piotr Naimski, pełnomocnik rządu do spraw strategicznej infrastruktury energetycznej, w zdjętym z anteny programie w TV Republika na pytanie dziennikarki Ewy Stankiewicz, czy dążenie do zamknięcia kopalni i elektrowni węglowych nie jest samobójstwem, mówił wprost, że „gdyby nie było tych uwarunkowań, które płyną z naszego członkostwa w Unii Europejskiej, to można by było tak do tego podejść, ale mamy te uwarunkowania". Wielokrotnie pozytywnie na temat Zielo-

eprasa.pl f4c7b261e1

nego Ładu wypowiadał się także Janusz Wojciechowski, unijny komisarz do spraw rolnictwa z PiS.

„PiS w sprawie Zielonego Ładu stosuje metodę kłamstwa w żywe oczy. To element polityki klimatycznej UE, którą rząd Mateusza Morawieckiego realizował i na którą się zgadzał. Na wszystkich poziomach: gospodarczym, energetycznym. To na mocy porozumienia zawartego przez rząd PiS został zaostrzony cel redukcji gazów cieplarnianych. Planem wykonawczym miał być Zielony Ład, popierany przez PiS. Odcinanie się dziś od tego jest hipokryzją" – ocenił w rozmowie z Wirtualną Polską wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak z Konfederacji.

JAK TO BYŁO?

Zatem – jak to z tą polityką klimatyczną było? Zacznijmy od początku. Na unijny pakt energetyczno-klimatyczny (tzw. 3 x 20, czyli ograniczenie o 20 proc. emisji gazów cieplarnianych, wzrost o 20 proc. efektywności energetycznej i osiągnięcie 20 proc. udziału energii produkowanej z odnawialnych źródeł energii) na posiedzeniu Rady Europejskiej zgodził się premier Donald Tusk w 2008 r. Wkrótce potem pakt został przegłosowany w Parlamencie Europejskim. Następnie Komisja Europejska prowadziła procedurę wdrożenia ram polityki klimatyczno-energetycznej Unii Europejskiej do roku 2030, co przegłosowano w europarlamencie w latach 2013–2014. Natomiast ramy zostały przyjęte przez Radę Europejską w październiku 2014 r. W imieniu Polski zrobiła to premier Ewa Kopacz. To wtedy premier solennie zapewniała, że po 2019 r. polski prąd nie zdrożeje dla odbiorców. „To jest ten moment, kiedy zaszyto wszystkie nieprawidłowości i głupoty obecnego systemu" – komentuje na łamach „Forum Polskiej Gospodarki" dr Grzegorz Chocian, prezes Fundacji Konstruktywnej Ekologii Ecoprobono. „To był straszny plan dla Europy, jeśli chodzi o nieuczciwość ekologiczną. Bo nie chodziło o wyrównywanie szans, nie chodziło o zmniejszanie emisji, a o to, żeby pewne technologie były promowane, a inne przemysły zamykane".

Następnie w grudniu 2020 r. Rada Europejska zatwierdziła podwyższenie celu zmniejszania emisji gazów cieplarnianych w całej Unii z co najmniej 40 proc. do co najmniej 55 proc. w 2030 r. w porównaniu z 1990 r. To tzw. Fit for 55. „Fit for 55", który jest uaktualnieniem i poszerzeniem ram polityki klimatycznej z 2014 r. Zanim podjęto decyzję, premier Mateusz Morawiecki samotnie blokował te unijne regulacje, walcząc głównie o to, by nie zmniejszono unijnego Funduszu Modernizacyjnego, z którego Polska miała dostawać pieniądze na transformację. Zrezygnował jednak z weta, godząc się na zaostrzenie tzw. polityki klimatycznej. – Polityka klimatyczna jest dziś jednym z kluczowych narzędzi polityki gospodarczej i przemysłowej UE. Dlatego dobrze się stało, że wbudowaliśmy w nią kilka elementów, które służą gospodarce Polski i uwzględniają jej nietypowy charakter – powiedział potem premier Morawiecki.

Serwis Deutsche Welle opisywał, że na finiszu negocjacji Morawiecki został „postawiony przed wyborem – albo zgadza się na 55 proc. połączone z obietnicą, że główne elementy polityki klimatycznej będą w gestii szczytów, albo cel 55 proc. oficjalnie poprze cała reszta (lub prawie cała) krajów Unii bez Polski. To drugie wyjście rodziłoby spore ryzyko, że Unia zaczęłaby uchwalać swe kluczowe przepisy o CO_2 już tylko w zwykłej procedurze legislacyjnej, w której dla zatwierdzenia reform wystarcza większość 15 z 27 krajów Unii. A to przynajmniej teoretycznie pozwoliłoby na przegłosowywanie Polski".

Serwis WysokieNapiecie.pl dodawał w grudniu 2020 r., że „polski rząd od początku nie rozważał zawetowania zapisów konkluzji o podwyższeniu celu klimatycznego, bo nic by to nie dało – Komisja Europejska i tak ma mandat, żeby proponować cel 55 proc. jako część Nowego Zielonego Ładu. Nowa wersja dyrektywy ETS zostanie przyjęta kwalifikowaną większością głosów państw, bez względu na zapisy konkluzji".

NIEMOŻLIWE PROCEDURALNIE

Adam Guibourgé-Czetwertyński, wiceminister klimatu, tłumaczył później w serwisie wPolityce.pl, iż „nieprawdą jest, że premier Polski na forum Rady Europejskiej w 2020 r. mógł cokolwiek zablokować. To Komisja Europejska przedstawia propozycje legislacyjne wtedy, kiedy uzna, że dany obszar wymaga regulacji. Nie ma tu znaczenia, czy otrzyma do tego upoważnienie w konkluzjach Rady Europejskiej czy nie. Komisja bardzo często podejmuje inicjatywy legislacyjne, co do których nie ma zgody wszystkich państw członkowskich". I tak miało być również z pakietem „Fit for 55", którego nie można było zawetować. „Jest to niemożliwe proceduralnie wobec prawie wszystkich dokumentów pakietu. Nie jest możliwe również zablokowanie przyjęcia dokumentów poprzez zebranie grupy państw formujących mniejszość blokującą, ponieważ w kwestiach klimatycznych Polska pozostaje w mniejszości" – wyjaśnił Guibourgé-Czetwertyński.

Żeby zamazać złe wrażenie, po powrocie z Brukseli premier Morawiecki ogłosił sukces, chwaląc się unijnymi srebrnikami. Mówił wtedy, że „porozumienie tworzy także warunki dla sprawiedliwej transformacji polskiej energetyki. Nasz kraj uzyskał na ten cel duże środki na poziomie 220–230 mld zł. Nasi partnerzy w UE wiedzą, że polska energetyka ma unikalny charakter i dlatego udało się uzyskać zapisy, które pozwolą nam zrównoważyć wyższe wydatki związane w przyszłości z systemem emisji uprawnień, czyli tzw. ETS".

Natomiast smutne jest to, że szkodzące Polakom, poszczególne regulacje pakietu „Fit for 55" były przegłosowywane w Parlamencie Europejskim również przez polskich europosłów. Zakaz sprzedaży nowych samochodów spalinowych osobowych i lekkich dostawczych po 2035 r. oraz nowelizację dyrektywy w sprawie charakterystyki energetycznej budynków z marca 2023 r. poparli m.in. europosłowie lewicy i PO: Robert Biedroń, Leszek Miller, Sylwia Spurek, Marek Belka, Łukasz Kohut, Marek Balt czy Włodzimierz Cimoszewicz.

KONSEKWENCJE FINANSOWE

Niestety to, na co przystał premier Morawiecki, jest już historią. Czeka nas jeszcze większe zaostrzenie Europejskiego Zielonego Ładu. Już w styczniu tego roku wiceminister klimatu Urszula Zielińska popisała się skandaliczną wypowiedzią, sprzeczną z polską racją stanu, że UE „musi absolutnie przyjąć ambitne cele i musimy przyjąć cel redukcji emisji o 90 proc.". Pogroziła, że „zrobimy wszystko, aby osiągnąć ten cel, jeśli zostanie on uzgodniony [...]. Polska zwiększy swoje wysiłki w tym zakresie".

eprasa.pl f4c7b261e1

Niedługo potem Komisja Europejska oficjalnie ogłosiła redukcję emisji dwutlenku węgla już nie o 55 proc., a o 90 proc. do 2040 r. oraz o 100 proc. do 2050 r. w porównaniu z poziomami z 1990 r. Na ograniczenie emisji CO_2 do zera eurokraci planują zmarnować gigantyczną sumę nawet 290 mld euro rocznie. „Frankfurter Allgemeine Zeitung" podała, że Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji Europejskiej, chciałaby, aby tylko do 2030 r. w ochronę klimatu „zainwestowano" 3 bln euro. Tymczasem z wyliczeń think tanku Institut Rousseau wynika, że osiągnięcie przez Unię Europejską tzw. neutralności klimatycznej do 2050 r. będzie kosztowało aż 40 bln euro! Z tej kwoty 2,4 bln euro (ponad 10 bln zł) przypadnie na Polskę. To niemal 10 razy więcej niż wszystkie dotacje, które Polska otrzymała od Unii Europejskiej w latach 2004–2023! Institut Rousseau wyliczył, że na działania związane z transformacją Polska ma ze wszystkich krajów członkowskich Unii wydawać najwięcej w relacji do PKB. Co roku ma to być aż 13,6 proc. PKB.

Konsekwencje finansowe Europejskiego Zielonego Ładu spadną na barki wszystkich Polaków. Czy Polska może się jeszcze jakoś wywinąć z tej polityki?

W 2019 r. Ministerstwo Środowiska poinformowało mnie – o czym pisałem też w mojej nowej książce „Dwadzieścia lat w Unii. Bilans członkostwa", nad którą patronat objął m.in. tygodnik „Do Rzeczy" – że „Polska, wstępując do Unii Europejskiej, przyjęła na siebie obowiązek stosowania prawa wtórnego, to jest przepisów wydawanych na podstawie traktatów założycielskich, w tym m.in. pakietu energetyczno-klimatycznego. W związku z powyższym nie ma możliwości zrezygnować z jego wdrażania".

Resort dodał, że „niewypełnienie przez Polskę postanowień pakietu energetyczno-klimatycznego podlegałoby karze Trybunału Europejskiego w związku z naruszeniem prawa UE".

Jedyną szansę widzi dr Chocian.
– Czym się wygrywa w Unii Europejskiej? Nie wygrywa się ideologią. Wygrywa się procedurami. A ja podnoszę to, że w Komisji Europejskiej schrzanili właśnie procedury. Skoro procedury zostały naruszone, to żądajmy przestrzegania procedur przez tę Komisję przecież pilnowanych – podpowiada dr Chocian.

SKARGI DO TSUE

I rzeczywiście pod koniec swojej kadencji rząd PiS zaczął tak działać. Odpowiednie dokumenty przygotowało Ministerstwo Klimatu i Środowiska. Polska zaskarżyła do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej sześć aktów prawnych będących częścią pakietu „Fit for 55". Chodzi o zakaz rejestracji pojazdów spalinowych po 2035 r., podwyższenie unijnego celu redukcji emisji gazów cieplarnianych, zmniejszenie liczby bezpłatnych ETS dostępnych na rynku, ingerencję w gospodarkę leśną krajów unijnych, mechanizm dostosowywania cen na granicach z uwzględnieniem emisji dwutlenku węgla i system handlu przydziałami emisji gazów cieplarnianych oraz decyzję w sprawie ustanowienia i funkcjonowania rezerwy stabilności rynkowej dla unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji gazów cieplarnianych. – Polska walczy o swoje interesy w UE i do tej pory złożyła cztery skargi na rozstrzygnięcia pakietu „Fit for 55". Uważamy, że unijne propozycje mogą zagrozić bezpieczeństwu energetycznemu naszego kraju, dlatego zgodnie z wcześniejszymi deklaracjami składamy kolejne skargi – mówiła w sierpniu 2023 r. minister klimatu i środowiska Anna Moskwa. Na przykład w przypadku rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady ustanawiającego mechanizm dostosowywania cen na granicach z uwzględnieniem emisji dwutlenku węgla podstawą zaskarżenia jest niewłaściwa podstawa prawna i zastąpienie zasady jednomyślności zasadą większości.

Niestety – jak poinformował Reuters – nowy rząd Donalda Tuska przygotowuje się do wycofania pozwów złożonych przez rząd PiS i w związku z tym mają w resorcie klimatu trwać analizy. W tej sytuacji sprawa jest rozstrzygnięta. Skoro nie tylko pozostałe kraje członkowskie Unii Europejskiej, lecz także nowy polski rząd uważają, że bez względu na koszt należy wdrażać Europejski Zielony Ład i doprowadzić do urojonej tzw. neutralności klimatycznej w 2050 r., to gdybanie o decyzjach sprzed lat nie ma większego sensu.

Jedyną możliwością, by uniknąć klimatycznego szaleństwa, jest wyjście Polski z Unii Europejskiej. Inaczej Brukseli doprowadzi nas do ruiny gospodarczej i finansowej. – Najwięcej straci klasa średnia, która nie skorzysta z działań osłonowych. Nie będzie jej stać na posiadanie dóbr, nieruchomości, a w przyszłości pojazdów – stwierdza dr Chocian. No ale najpierw do świadomości polskiego społeczeństwa musiałoby dotrzeć, w jakim znajduje się niebezpieczeństwie, tkwiąc nadal w Unii Europejskiej. I to nie tylko z powodu Zielonego Ładu. Wbrew temu, czego chce władza, polskie społeczeństwo powinno żądać polexitu, biorąc pod uwagę również to, co napisało w 2019 r. Ministerstwo Środowiska.

A trzeba zdać sobie sprawę również z tego, że głosy naukowców twierdzących, iż człowiek nie ma zasadniczego wpływu na zmiany klimatu, są wyciszane. Zmarły w zeszłym roku prof. dr hab. inż. Piotr Wolański, przewodniczący Komitetu Badań Kosmicznych i Satelitarnych PAN, jednoznacznie stwierdzał, że „najważniejszy wpływ na klimat mają: Słońce, aktywność wulkaniczna, gazy cieplarniane, prądy morskie (cyrkulacja ciepła w oceanie, jak np. El Niño, Golfsztrom) i w mniejszym stopniu inne czynniki, takie jak np. precesja osi Ziemi". Jego zdaniem „udział antropogenicznej emisji CO_2 na efekt cieplarniany jest mniejszy niż 1 proc. i nie ma zauważalnego wpływu na obserwowane zmiany klimatu na Ziemi", a co więcej, „nawet zupełne zaprzestanie emisji CO_2 do atmosfery generowanego przez działalność człowieka nie wpłynie na zmiany klimatu na Ziemi!".

Zarówno prof. Wolański, jak i np. Brytyjskie Towarzystwo Królewskie podkreślają, że to wzrost temperatury powoduje zwiększanie się zawartości CO_2 w powietrzu, a nie na odwrót. A to dlatego, że wzrost temperatury powietrza prowadzi do wzrostu temperatury wody w oceanach, a tym samym do uwolnienia większej ilości dwutlenku węgla z oceanu.
– Walka z „globalnym ociepleniem" przypomina niegdysiejszą walkę o uniknięcie zaćmienia Słońca. Władzę w tej kwestii uzurpował sobie faraon, a poddani mu byli zmuszani do składania kolejnych ofiar na jego rzecz, aby uniknąć w ten sposób rzekomej straszliwej katastrofy – powiedział w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność" Kazimierz Grajcarek, były przewodniczący Sekretariatu Górnictwa i Energetyki NSZZ „Solidarność".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Skąd pieniądze na zbrojenia?

Zawsze dobrze mieć odpowiednio silne – odpowiednio do zagrożeń i swych możliwości – siły zbrojne. A dziś sytuacja w sąsiedztwie Polski jest taka, że lepiej mieć te siły jeszcze silniejsze.

I dlatego dobrze się dzieje, że Polska wreszcie wydaje na rozbudowę i modernizację armii sporo więcej niż jeszcze niedawno, gdy nie tylko nie wzmacniano naszej stałej armii, lecz także formalnie zawieszono, a faktycznie zlikwidowano pobór do wojska, a więc zamknięto drogę do tworzenia odpowiednio licznej armii rezerwowej.

Dobrze też, że prezydent Andrzej Duda – głowa państwa, które wydaje dziś na armię 4 proc. PKB – zachęca innych członków NATO do zwiększania wydatków na ten cel do co najmniej 3 proc. PKB.

Wszelako nie powinno nas dziwić, że nie wywołuje tymi napomnieniami specjalnego entuzjazmu. W końcu nie trzeba być nie lada jakim znawcą ekonomii, by wiedzieć, że namawianie kogoś do przeznaczania na cokolwiek więcej pieniędzy – i to więcej aż o 1 punkt procentowy PKB, oznacza, że namawia się tego kogoś, żeby na coś innego przeznaczył aż o 1 p.p. PKB pieniędzy mniej. I oczywiście przekonał do tego wyborców, bo przecież tak to działa w państwach demokratycznych, że dla wydawania pieniędzy podatników trzeba uzyskać zgodę tychże podatników i zarazem obywateli państwa. Nawet jeśli idzie o wydatki na coś tak dziś ważnego, jak rozwój sił zbrojnych – zwłaszcza gdy leży się w takim miejscu Europy jak Polska lub w jego pobliżu.

W tym kontekście wielka szkoda, że także w Polsce nie rozmawiamy o naszym wspólnym budżecie w taki właśnie sposób – konkretnie, rzeczowo. A o gigantycznych wydatkach, idących w grube dziesiątki czy raczej już chyba w setki miliardów złotych – jak kredyty zaciągnięte ostatnio na zakup uzbrojenia w USA, Korei Południowej czy Szwecji – zamiast przed czasem i od własnych polityków dowiadujemy się po czasie, i to z zagranicznych mediów.

Albowiem, owszem, to dobrze, że wydajemy dziś na wzmacnianie armii aż 4 proc. PKB – może zresztą powinniśmy wydawać jeszcze trochę więcej, kto wie? Wszelako nie powinniśmy zapominać, że wydając o każdy 1 p.p. PKB więcej na zbrojenia, o ten sam 1 p.p. PKB mniej wydajemy na coś innego. I nie od rzeczy byłoby wiedzieć, na co wydajemy mniej? A może politycy, bojąc się gniewu wyborców, nie tną wydatków, lecz po cichu jeszcze bardziej zadłużają nasze – podatników – przyszłe dochody? Bo przecież nie zdobędą pieniędzy na spłatę zaciągniętych długów inaczej, jak tylko opodatkowując nas jeszcze bardziej.

A każdy 1 p.p. PKB Polski to dziś nieco ponad 30 mld zł, czyli po prawie 800 zł do zapłaty przez każdego Polaka, niezależnie od wieku. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kucharka na czele

Uważam, że tydzień pracy powinien zostać skrócony" – zadeklarowała pani minister Agnieszka Dziemianowicz-Bąk.

Ja natomiast uważam, że każdy powinien otrzymać 50-metrowe mieszkanie w Monako. I śmiem twierdzić, że moja deklaracja ma identyczną wartość co deklaracja pani minister.

Można odnieść wrażenie, że nominacje w rządzie Donalda Tuska przynajmniej na niektóre stanowiska odbyły się w drodze losowania, przy czym dopuszczone były do niego wyłącznie osoby w odpowiednim stopniu niekompetentne. Tak jest z edukacją, do której zarzynania z maczetą w ręku zabrała się pani Barbara Nowacka. Tak jest z resortem pracy, gdzie wkroczyła pani Dziemianowicz-Bąk.

Doprawdy, wzruszyłem się. Zwłaszcza tym passusem o miłości

„Technologia poszła do przodu, a efektywność pracy nie równa się jej długości. Polacy są tymi pracownikami, którzy są jednymi z najdłużej pracujących w UE, i brakuje im czasu na życie, na przyjaźń, na miłość, na spędzanie czasu z rodziną. Skrócenie tygodnia pracy to byłaby inwestycja społeczna" – powiedziała pani minister. Doprawdy, wzruszyłem się. Zwłaszcza tym passusem o miłości. Chodzi zapewne o kochanie rządu pana Tuska.

Może ktoś jednak powinien pani minister wytłumaczyć, że jeśli skróci się tydzień pracy, to pracownicy będą musieli w krótszym czasie wykonać identyczną ilość pracy, co w ogromnej części przypadków nie będzie możliwe. I teraz zagadka: Czy oznacza to, że zarobią mniej (bo mniej wytworzą) czy że za mniejsze efekty będą musieli otrzymać identyczne co wcześniej wynagrodzenie? Może też ktoś powinien powiedzieć pani minister, że istnieje taki dział gospodarki jak usługi. Tam nie da się „zwiększyć wydajności", jeśli usługa polega na kontakcie z klientem. A to oznacza, że pracodawcy będą musieli płacić za ogromną liczbę nadgodzin.

Nieoceniony towarzysz Włodzimierz Lenin miał powiedzenie, że w socjalizmie nawet kucharka będzie mogła rządzić państwem. Patrząc na to, jak druzgocące skutki miał socjalizm dla każdego państwa, gdzie się instalował, można uznać, że towarzysz Iljicz miał rację: wziąwszy pod uwagę jego niszczącą moc, kompletnie wszystko jedno, czy na czele stoi kucharka, kanalarz czy profesor. I tak niczego nie uda się uratować.

Czytając o pomysłach pani minister Dziemianowicz-Bąk, można odnieść wrażenie, że jesteśmy już prawie na tym etapie. ©℗

eprasa.pl f4c7b261e1

Bilety do raju

Jacek Przybylski

Wstęp do Wenecji od 25 kwietnia kosztuje 5 euro. Coraz więcej miast i państw próbuje ograniczyć zjawisko overtourismu, stawiając na majętnych gości, a pozostałych zniechęcając do przyjazdu. Kraj rekordzista pobiera podatek w wysokości niemal 400 zł za każdy dzień pobytu

Według Światowego Barometru Turystyki UNWTO globalny ruch turystyczny w roku 2023 wrócił już niemal na poziomy obserwowane przed pandemią. Coraz więcej państw i miast ma już jednak dość masowej turystyki i skarży się na tzw. overtourism, czyli zjawisko, w którym turystów jest w danym miejscu tak dużo, że niszczą zabytki, przyrodę i sprawiają, że w danym miejscu nie da się już normalnie funkcjonować. Aby odwiedzić najsłynniejsze atrakcje globu, coraz częściej trzeba więc przeznaczyć w budżecie już nie tylko pieniądze na bilet, zakwaterowanie i wyżywienie, lecz także na opłatę wjazdową.

NOWY PODATEK NA WYSPIE TYSIĄCA ŚWIĄTYŃ

Indonezyjska wyspa Bali 14 lutego 2024 r. zaczęła pobierać daninę od zagranicznych turystów w wysokości 150 tys. rupii (równowartość ok. 40 zł). Podatek należy uiścić za pośrednictwem strony internetowej Love Bali lub aplikacji o tej samej nazwie, co ma zapobiegać tworzeniu się kolejek przy wjeździe do kraju. Ci, którzy tego nie zrobią, mogą zapłacić również na miejscu, w hali przylotów międzynarodowego lotniska w Denpasar.

Balijscy urzędnicy z ogromnym apetytem spojrzeli na wypchane portfele gości – każą sobie bowiem płacić za każdorazowy wjazd, czyli turysta, który wakacyjną bazę zrobi sobie na Bali, ale chce zobaczyć różne indonezyjskie wyspy, musi być przygotowany, że podatek za wjazd na Bali zapłaci za każdym razem, gdy będzie wracał na wyspę.

Pieniądze teoretycznie mają być przeznaczane na ochronę przyrody i kultury. W praktyce danina od turystów będzie początkowo wydawana na gospodaro-

eprasa.pl f4c7b261e1

FOT. ADOBE STOCK

wanie odpadami, ponieważ Bali nie radzi sobie ze śmieciami.

WYŻSZA DANINA NA WYSPACH GALAPAGOS

Od ponad ćwierć wieku, a dokładnie od 1998 r., opłatę za wstęp od cudzoziemców odwiedzających wyspy Galapagos pobierają władze Ekwadoru. Każdy obcokrajowiec, który marzy o zobaczeniu na żywo głuptaków, fok, legwanów i jednych z największych żółwi na świecie, musi na samym początku wizyty uiścić tzw. podatek wejściowy.

Przez długie lata wynosił on 100 dol. (ok. 400 zł). Taka kwota przestała już działać odstraszająco i wyspę zamieszkaną przez zaledwie 30 tys. osób znów zaczęło odwiedzać niemal 300 tys. turystów rocznie. Aby nieco zahamować napływ ciekawskich obcokrajowców, od 1 sierpnia opłata ta wzrośnie więc dwukrotnie, czyli do 200 dol. (równowartość 800 zł). Na dzieci nadal ma przysługiwać bilet ulgowy. Żadna opłata nie dotyczy zaś dzieci poniżej drugiego roku życia.

„Podwyżka opłaty za wstęp, pierwsza od 26 lat, jest niezbędna" – przekonuje w oświadczeniu minister turystyki Ekwadoru Niels Olsen, dodając, że specjalny podatek ma sprawić, że turystyka na wyspach Galapagos pozostanie „zrównoważona i przyniesie obopólne korzyści zarówno dla środowiska, jak i naszych lokalnych społeczności". Pieniądze zbierane od turystów mają być przeznaczane na modernizację infrastruktury i inwestycje mające na celu zmniejszenie śladu ekologicznego masowo przybywających na wyspę turystów.

DO WENECJI TYLKO Z REZERWACJĄ

Na problemy z zalewem turystów od lat skarżą się mieszkańcy Wenecji. Początkowo władze miasta zakazały gigantycznym statkom wycieczkowym przepływania obok placu św. Marka i przez kanał Giudecca. To jednak nie wystarczyło. Od 25 kwietnia 2024 r. (to włoskie Święto Wyzwolenia i dzień patrona miasta – św. Marka) do 14 lipca ma więc w Wenecji obowiązywać eksperymentalny system rezerwacji wizyt. Opłata w wysokości 5 euro pobierana ma być od tych turystów, którzy przyjadą do miasta w godzinach od 8.30 do 16 i nie zamierzają w Wenecji zostać na noc. W romantyczne wieczory miasto ma już być bezpłatnie otwarte dla wszystkich.

Bramki wejściowe stoją już zarówno przy popularnym wśród turystów parkingu dla samochodów indywidualnych i autokarów na Piazzale Roma, jak i na stacji Santa Lucia, na którą z lądu docierają do Wenecji turyści preferujący podróże pociągami. Opłaty nie muszą uiszczać dzieci poniżej 14. roku życia, uczniowie i studenci, którzy do Wenecji przybyli na wycieczkę szkolną, osoby z niepełnosprawnościami i ich opiekunowie, a także mieszkańcy regionu Wenecja Euganejska. Nawet ci, którzy mogą po Wenecji poruszać się bezpłatnie, i tak powinni zarezerwować wizytę na specjalnie stworzonej stronie internetowej. Swój przyjazd muszą także zarezerwować ci, którzy zamierzają zatrzymać się w Wenecji – dopiero wówczas otrzymają bowiem wymagany przez władze QR kod. Kary za brak stosownej opłaty (lub rezerwacji) mają wynosić od 50 aż do 300 euro.

Władze Wenecji nie ukrywają, że ich celem jest ograniczenie szkodliwej dla słynnego miasta turystyki masowej. Rocznie najbardziej romantyczne miasto świata odwiedza aż 5 mln osób, które niemal dosłownie zadeptują zabytkowe uliczki. Masowa turystyka jest na tyle szkodliwa dla miasta kanałów, że UNESCO w sierpniu zeszłego roku ostrzegło, że rozważy dodanie Wenecji do listy zagrożonych obiektów światowego dziedzictwa kulturowego. Po okresie próbnym władze wprowadzą zapewne poprawki do systemu opłat. Wątpliwe jest jednak, aby z niego całkowicie zrezygnowały. – Chcemy uczynić to miasto bardziej przyjaznym do życia – zapowiedział bowiem na konferencji prasowej burmistrz Wenecji, Luigi Brugnaro.

AMSTERDAM NIECHLUBNYM REKORDZISTĄ

Podatki „pobytowe", „klimatyczne" czy „turystyczne" od dawna pobiera wiele państw w Europie. Na długiej liście są m.in. Austria, Belgia, Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Francja, Grecja, Hiszpania, Niemcy, Portugalia, Słowenia, Szwajcaria, Węgry czy Włochy.

Dodatkowe opłaty za wstęp od cudzoziemców wprowadza również coraz więcej miast, których władze wolą gości mniej, ale bardziej zamożnych. Najwyższy podatek turystyczny w Europie i czwarty pod względem wysokości na całym świecie obowiązuje w Amsterdamie – od 2024 r. wynosi on aż 12,5 proc. od osoby za nocleg. Stawka dla pasażerów statków wycieczkowych odwiedzających holenderskie miasto wzrosła zaś do 11 euro. Zdzierając pieniądze od gości, stolica Holandii nawet nie udaje, że pieniądze zainwestuje w lepszy komfort zwiedzania. Turystyczny haracz ma być przeznaczony dla budowę schronisk dla bezdomnych i system ochrony zdrowia.

Od 1 stycznia drożej jest również w stolicy Francji. Paryż jest w tym roku gospodarzem letnich igrzysk olimpijskich, podatek turystyczny (opłata dopisywana jest do rachunku za pokój) wzrósł więc o ok. 200 proc. i w zależności od standardu obiektu hotelowego wynosi obecnie od 0,75 do 15 euro za każdą noc.

eprasa.pl f4c7b261e1

Od 25 kwietnia w Wenecji obowiązuje już opłata za wejście do miasta FOT. ANDREA PATTARO/AFP/EAST NEWS

Popularna hiszpańska Barcelona – odwiedzana średnio przez ponad 30 mln turystów rocznie – decyzję o wprowadzeniu dodatkowej opłaty (poza regionalnym podatkiem turystycznym) podjęła już w 2021 r. Danina pobierana jest od 2022 r. od turystów nocujących w mieście (jego wysokość zależy od klasy hotelu), a także od pasażerów statków wycieczkowych, którzy w stolicy Katalonii spędzają ponad 12 godzin. Pieniądze mają trafiać na rozwój infrastruktury, budowę dróg, poprawę połączeń autobusowych etc. Opłata została podwyższona w ubiegłym roku i wzrośnie znów w roku obecnym: najbliższa podwyżka „haraczu" czeka turystów już 1 kwietnia. Znani z pazerności Katalończycy dyskutują także o tym, aby miejski budżet Barcelony podreperować, wprowadzając opłatę doliczaną dodatkowo turystom przy każdej wizycie w restauracji. Przedsiębiorcy z sektora gastronomicznego na razie skutecznie się przeciw temu buntują, tłumacząc, że to na kelnerów spadłby obowiązek weryfikacji, czy dany klient jest mieszkańcem czy turystą, w którym katalońskie miasto widzi najwyraźniej głównie chodzącą sakiewkę.

Więcej na przybyszach chcą też zarabiać urzędnicy portugalskich miast i miasteczek. Popularna miejscowość Olhão w regionie Algarve od kwietnia do października pobiera od gości opłatę w wysokości 2 euro za noc, a od listopada do marca stawka daniny wynosi 1 euro. Władze miasteczka mają jednak litość dla turystów i opłata jest pobierana maksymalnie przez pięć nocy (może więc wynieść maksymalnie 10 euro). W regionie Algarve opłaty od turystów ściągają również władze Faro (od marca do października wynosi ona 1,5 euro za noc i jest pobierana maksymalnie przez siedem dni z rzędu) oraz Vila Real de Santo António (1 euro za noc, również przez siedem dni). Wprowadzenie podatku od turystów ogłosiły również m.in. władze znanego surferom z całego świata miasteczka Peniche. Specjalną daninę od gości pobierają też m.in. takie portugalskie miasta jak Braga, Cascais Coimbra, Faro, Lizbona, Mafra, Santa Cruz czy Sintra. W drugiej połowie obecnego roku podatek turystyczny ma być również pobierany w wielu gminach Madery, czyli portugalskiej wyspy wiecznej wiosny.

W 2023 r. podatek turystyczny – jako pierwsze miasto w Wielkiej Brytanii – wprowadził również Manchester. Opłata w wysokości 1 funta dziennie doliczana jest automatycznie do rachunku za nocleg. W przeciwieństwie do władz Amsterdamu urzędnicy w Manchesterze deklarują jednak, że za zebrane pieniądze chcą „poprawić wrażenie gości". Plany wprowadzenia podobnej opłaty ma już wiele innych brytyjskich miast, choć część – jak choćby Oxford czy Bath – po rozważaniu plusów i minusów zrezygnowały z pomysłu skubania turystów.

Dodatkowe opłaty od przybyszy chętnie pobierają także Amerykanie. Na przykład na Hawajach turyści poza podatkiem hotelowym (3 proc.) płacą także dodatkowy podatek w wysokości 10,25 proc. stawki za nocleg. Dodatkowej opłaty od turystów żądają również choćby władze San Francisco.

TAJLANDIA (WCIĄŻ) BEZ PODATKU

Nad wprowadzeniem nowej daniny dla turystów chcących podziwiać szerokie, rajskie plaże, majestatyczne góry i niezwykłą roślinność (o słoniach już nawet nie wspominając) zastanawiały się władze Tajlandii. Opłata miała wynosić 300 batów (równowartość ok. 33 zł) dla turystów przybywających samolotami i 150 batów dla gości, którzy do tego popularnego kraju docierają drogą morską lub lądową. W wyniku presji ze strony linii lotniczych i przedsiębiorców działających w tajskiej branży turystycznej datę wprowadzenia nowego podatku w 2023 r. dwukrotnie przesuwano, aż w końcu w grudniu ubiegłego roku minister turystyki i sportu Tajlandii, Sudawan Wangsuphakijkosol, ogłosiła, że decyzja o poborze podatku zostaje zawieszona do czasu, aż poprawi się sytuacja branży turystycznej, która mocno ucierpiała podczas pandemii koronawirusa.

BHUTAN PRZESADZIŁ Z CENĄ

Na nietypowy krok zdecydowały się z kolei władze Bhutanu. Himalajskie królestwo – w którym zamiast produktu krajowego brutto wylicza się poziom szczęścia brutto – po pandemii COVID-19 zdecydowało się podwyższyć tzw. sustainable development fee (opłatę na rzecz zrównoważonego rozwoju) z 65 na 200 dol. dziennie. Przeliczając na złote, cena wzrosła więc z ok. 256 zł do ok. 788 zł. Okazało się jednak, że nawet w czasach masowej turystyki są granice skubania z pieniędzy zagranicznych gości. Gdy ruch turystyczny spadł, władze Bhutanu ogłosiły zmianę strategii i we wrześniu 2023 r. obniżyły opłatę z 200 do 100 dol. Opłata w wysokości ok. 394 zł dziennie ma obowiązywać do 31 sierpnia 2027 r. Jej wysokość nadal sprawia jednak, że odwiedziny w tym górzystym azjatyckim kraju, słynącym z buddyjskich świątyń, zabytkowych klasztorów na zboczach oraz zapierających dech w piersiach widoków, planować mogą jedynie najzamożniejsi globtroterzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

UNIA WSPIERA „NARÓD ŚLĄSKI”?

Ponad dekadę temu polski Sąd Najwyższy uznał, że nie powinno zostać zarejestrowane Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej. Powód? Taka nazwa wprowadzałaby w błąd, sugerując, że istnieje naród śląski. Sąd rejonowy nakazał potem zmienić nazwę stowarzyszeniu. Ono samo zostało zlikwidowane w 2015 r., ale jego członkowie poskarżyli się do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Ten orzekł właśnie, że Polska, nakazując likwidację stowarzyszenia, złamała art. 11 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Zdaniem ETPC polskie władze nie wykazały, że nazwa i postanowienia statutu odnoszące się do „narodu śląskiego” mogły stanowić zagrożenie dla porządku publicznego.

FOT. ADOBE STOCK

„IDI NA CH..” JAKO ZNAK TOWAROWY

Rosyjski okręcie wojenny, pierd.. się! – te słowa powtarzały wszystkie media na świecie, gdy pierwszego dnia wojny odpowiedział tak Ukrainiec na Wyspie Węży, gdy do poddania się wezwała załoga rosyjskiego krążownika „Moskwa”. Ukraińska straż graniczna już dwa lata temu złożyła w unijnym Urzędzie ds. Własności Intelektualnej wniosek, aby zdanie wypowiedziane przez mundurowego zastrzec jako znak towarowy. Unijny urząd się nie zgodził. Ukraińcy właśnie złożyli odwołanie – uważają, że to słowa, które ktoś może chcieć przywłaszczyć i zarabiać na nich pieniądze.

BANK, KTÓRY ROZDAWAŁ PIENIĄDZE

Pieniądze za nic – słowa dawnego przeboju Dire Straits pasują jak ulał do historii, która wydarzyła się w Etiopii. Klienci największego banku w kraju – Commercial Bank of Ethiopia – odkryli, że mogą wypłacić z bankomatu więcej pieniędzy, niż mają na koncie. Natychmiast utworzyły się długie kolejki po gotówkę. W kilka godzin, zanim bank zatrzymał wszystkie transakcje, z bankomatów i za pomocą przelewów do innych banków zniknąć miało nawet 40 mln dol. Według etiopskich mediów wiele z tych pieniędzy wypłacać mieli studenci i część z nich miała dobrowolnie oddać tę gotówkę policji.

PRAKTYKI NA FRONCIE

W Rosji studenci medycyny dobrowolnie wstępują do armii i jadą pomagać w agresji na Ukrainę. Teraz władze postanowiły ich do tego dodatkowo zachęcić. Władze kraju przygotowują rozwiązanie, które pozwoli studentom odbywać praktyki medyczne na froncie. Będą mogli tam odbyć staż pielęgniarski lub pomocy chirurgom. Materiału do nauki na pewno tam nie zabraknie. Jest tylko jeden haczyk – z takich praktyk można wrócić w takim stanie jak pacjenci, którym na froncie nie można już pomóc. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Groźny bezsens bez zmian

Zmiana czasu z zimowego na letni w tym roku odbędzie się w nocy z 30 na 31 marca, a więc w Święta Wielkanocne. Bezsens? Oczywiście, że tak.

Jakiekolwiek gospodarcze pozytywne efekty zmiany czasu są już od lat podawane w wątpliwość. Nie brakuje naukowców, którzy sugerują, że nieprzestawianie wskazówek zegarków nie tylko nie przyniosłoby straty, lecz także mogłoby dać setki milionów euro oszczędności.

Wiadomo również na pewno, że zmiana czasu dwa razy w roku wywołuje całą masę negatywnych konsekwencji. Zwłaszcza po cofnięciu wskazówek zegarków odnotowuje się istotny wzrost śmiertelnych wypadków drogowych. Więcej jest też pomyłek lekarskich oraz wypadków w pracy. Częściej dochodzi również do zwiększenia liczby zawałów serca, a także udarów, powikłań w ciąży i objawów depresji. Można więc bez wielkiej przesady napisać wprost, że zmiana czasu prowadzi do obniżenia nie tylko jakości życia, lecz także średniej długości życia.

Na szczęście unijni urzędnicy już o tym wszystkim wiedzą. Nie tylko poznali różne raporty, lecz także uruchomili nawet wielką urzędniczą machinę, której zadaniem było upewnienie się, czy Europejczycy chcą nadal zmieniać czas czy mają już przestawiania wskazówek po dziurki w nosie...

Co się okazało: mieszkańcy UE absolutnie nie chcą zmieniać czasu. Podobne wyniki przyniosły kolejne badania opinii publicznej. Według CBOS zdecydowana większość z nas (ponad 70 proc.) nie chce majstrować przy zegarkach. Efekt? Zmiana czasu obowiązuje i będzie obowiązywać nadal. Nic tak dobrze nie pokazuje, gdzie zdanie wyborców mają politycy...

eprasa.pl f4c7b261e1

Joanna Bojańczyk

Kłopoty ze spadkiem

Gdy umierają właściciele wielkich fortun, zaczyna się akcja. Kłótnie, chciwość i intrygi spadkobierców, pieniądze, zawiść, krew i łzy...

Globalny sukces seriali „Dynastia" i „Dallas" w latach 80., a ostatnio Netflixowej „Sukcesji" pokazał, że bogacze i ich pieniądze to murowany temat na hit. Nie od teraz spadki i wynikające z nich awantury rodzinne inspirowały autorów kryminałów. Kaprysy spadkodawców, chciwość i intrygi potencjalnych spadkobierców. Pieniądze, zawiść, krew, pot i łzy…

Czasem rzeczywistość dostarcza ciekawszych fabuł niż wymyślone opowieści. Współczesnymi bohaterami są często beneficjenci show-biznesu, mediów, Internetu. Prawdziwą wylęgarnią miliarderskich fortun stał się przemysł dóbr luksusowych. Moda generuje miliardy, jej bohaterowie są dobrze znani, ponieważ znajdują się w ciągłej ekspozycji medialnej. Rezydencje, jachty, prywatne samoloty tych bohaterów i ich kolorowe życia budzą nieustanne zainteresowanie publiczności.

Najbogatszym człowiekiem na świecie jest obecnie Bernard Arnault, szef koncernu LVMH zrzeszającego marki mody i kosmetyków (wartość 500 mld dol.). Siedemdziesięciopięcioletni, trzeba przyznać dyskretny w swoich poczynaniach, prezes cieszy się dobrym zdrowiem i czuwa nad przygotowaniem swoich pięciorga dzieci do roli przyszłych następców.

Nie jest tajemnicą, że Arnault próbował do swego imperium pozyskać również Hermesa, markę niegdyś kaletniczą, obecnie producenta dóbr z najwyższej półki, w tym słynnych toreb Kelly i Birkin. Mały warsztat kaletniczy Thierry'ego Hermesa, syna francuskiego karczmarza, który zaczynał od produkcji siodeł, zatrudnia obecnie na świecie 20 tys. pracowników, a wartość giełdowa marki oceniana jest na 232 mld euro. Zrozumiałe, że batalia o Hermesa toczyła się długo, Arnault poniósł porażkę i firma pozostała niezależna. Francuzi, którzy uznają Hermesa za część dziedzictwa kulturowego, uznali to za triumf.

SYTUACJA NIETYPOWA

A tymczasem ostatnio we Francji gorącym tematem stała się sprawa Hermesa, ściśle mówiąc – jego spadkobiercy Nicolasa Puecha. Jest to prawnuk Thierry'ego Hermesa, założyciela firmy, potomek jednej z trzech gałęzi rodziny: Dumasow, Guerrandów i Puechów. Nicolas Puech posiada największy indywidualny pięcioprocentowy pakiet akcji Hermesa. Ten „niewielki", wydawałoby się, udział szacuje się, jak podają szwajcarskie media, na ok. 10 mld euro.

Mieszkający w Szwajcarii pan Puech ma 81 lat i jest bezdzietnym kawalerem. W lutym zmarł jego brat Bertrand. A teraz, ku zaskoczeniu rodziny i zdziwieniu opinii publicznej, biznesmen zdecydował swoim spadkobiercą uczynić 51-letniego nikomu nieznanego Marokańczyka Jadila Butraka, który przez wiele lat pracował dla niego jako „złota rączka", ogrodnik i człowiek do wszystkiego. Wbrew pozorom w tej dość nietypowej sytuacji Jadil potrafił wzbudzić sympatię. Nie zachowywał się jak bezwzględny wyłudzacz fortun czyhający na śmierć dobroczyńcy. Nie ma tu też mowy o ukrywanym związku homoseksualnym bogatego starszego pana z młodym chłopcem. Jadil jest prostym człowiekiem, żonatym, szczęśliwym ojcem dwojga dzieci. Lubi czytać, układa kompozycje rzeźbiarskie z kamieni i wydaje się zaskoczony zaszczytami, które na niego spadły.

Z Puechem poznali się w roku 1992 w Hiszpanii. Wtedy 21-letni Marokańczyk, analfabeta z biednej rodziny, pracował jako robotnik na budowie obiektów Wystawy Światowej w Sewilli. Zwrócił uwagę starszego pana, który zatrudnił go w Quatro Vientos, swojej ogromnej posiadłości w Andaluzji. Jadil pracował jako ogrodnik w ogromnym parku, wykonywał naprawy, remonty, zbudował wodociąg. Pracodawca był hojny: płacił 10 tys. euro miesięcznie, czasem dorzucał tyle samo ekstra, jednocześnie czuwając nad uzupełnieniem przez młodego człowieka podstaw wykształcenia. Ten szybko się uczył. Najpierw podawał do stołu, wkrótce zasiadł przy nim jako gość.

ZMIENIŁEM ZDANIE

W 2002 r. Jadil się ożenił. Wbrew obawom Puecha nowa małżonka, zamiast

eprasa.pl f4c7b261e1

Nicolas Puech, udziałowiec przedsiębiorstwa modowego Hermes, uważanego przez Francuzów za część dziedzictwa kulturowego FOT. B. BISSON/SIPA/EAST NEWS

odebrać mu wiernego pracownika, okazała się być serdeczną i pomocną pracownicą i pielęgniarką, która troskliwie zaopiekowała się protektorem, gdy ten był chory. Młodym urodziły się dzieci (w 2003 r. dziewczynka, w 2011 r. chłopiec), Puech traktował ich jak własną rodzinę.

W tym czasie, dziedzicząc po matce udziały w Hermesie, aby uniknąć podatku spadkowego, Nicolas Puech założył w Szwajcarii Fundację Isocrate. Cel: walka z dezinformacją w mediach społecznościowych. Fundacja co roku zasilana była milionami euro. Według statutu w razie śmieci założyciela i darczyńcy jej kapitał z braku spadkobierców przechodził na własność fundacji. A Nicolas Puech nie ma rodziny.

Tu następuje zwrot akcji. W odręcznie napisanym liście z lutego 2023 r. Puech nagle wycofuje się z Isocrate. Twierdzi, że został „wprowadzony w błąd" i zamierza powziąć inne decyzje spadkowe. Szok. Adwokat fundacji twierdzi, że list nie ma skutku prawnego, gdyż na rozwiązanie umowy muszą zgodzić się obie strony. – To kuriozalne, że Isocrate działała przez 13 lat i przez ten czas statut był w porządku – wyjaśnia. Nagle okazał się błędny.

Nicolas Puech zmienia zatem adwokata. Ale jedynym sposobem na rozwiązanie umowy jest znaleźć spadkobiercę.

W tej sytuacji pan Puech udaje się z dyskretną wizytą do Maroka, gdzie w obecności Jadila udaje mu się skłonić jego rodziców, aby zrzekli się praw rodzicielskich. Jest to pierwszy krok do adoptowania Jadila. Szwajcarskie prawo nie zabrania adopcji człowieka dorosłego, a także nie określa warunków, kiedy można ją przeprowadzić.

Przy okazji ujawnia się, że miliarder zrobił już wcześniej hojne zapisy na rzecz Marokańczyka. O wartości – bagatelka – 63 mln euro. Pięćdziesiąt cztery nieruchomości w Hiszpanii, mieszkanie w Huelvie, dom w Montreux, liczne posiadłości w Hiszpanii i Portugalii…

Komentarze nie ustają. Znajomi i rodzina Nicolasa Puecha uważają, że w tej sprawie jest sporo niejasności. Wydatki nagle drastycznie wzrosły, biznesmen żyje w całkowitej izolacji, a wszystkim rządzi zaborcza Maria, żona Jadila, której namiętnością jest luksusowy shopping. Cała rodzina wraz ze swoim dobroczyńcą udaje się prywatnym odrzutowcem na lato do Meksyku, chociaż Puech nie znosi upału.

Ze swej strony starszy pan zapewnia, że to wszystko jest jego prywatną sprawą. On chce po prostu zalegalizować wieloletnią sytuację, w której czuje się całkowicie szczęśliwy. Maria odpiera zarzuty rozrzutności, twierdząc, że są wyssane z palca, ona – przeciwnie, jest oszczędna i nie ma wielkich potrzeb.

Ta historia jeszcze się nie skończyła. Niewykluczone, że nastąpią zwroty akcji. Jeszcze bardziej nieoczekiwane niż dotychczas.

TRUDNA SUKCESJA

Często zdarza się, że prowadząc bujne życie zawodowe, zamożni ludzie wracają do pustego domu. A gdy się starzeją i nie ma rodziny, najbliższe otoczenie zaczyna się po cichu zastanawiać, komu przypadnie scheda.

Zmarły pięć lat temu Karl Lagerfeld, pracując dla Chanel z wynagrodzeniem 10 mln euro rocznie, stał się gwiazdą niemal większą niż jego poprzedniczka. Media wspominały o siostrach, ale oficjalna wersja mówiła, że w chwili śmierci nie miał bliskiej rodziny. Nie znaczy to, że do spadku szacowanego na 200 mln euro brak było pretendentów. Karl był człowiekiem zamożnym, ale w kwestii finansów wszystko było równie mroczne, jak dane o jego wieku. Kilka lat przed śmiercią zaczął pozbywać się majątku. Sprzedał wtedy kolekcję XVIII-wiecznych mebli, zbiór przedmiotów grupy Memphis, cenne eksponaty Bauhausu i art déco. Pozbył się także zamku w Bretanii, gdzie pochowana jest jego matka. „Chcę być lekki, nic nie mieć" – mówił.

Nie wiadomo, czy ten pogląd pochwalili trzej mężczyźni z jego najbliższego otoczenia: Sébastien Jondeau, Baptiste Giabiconi i Brad Kroenig. Nie były to związki homoseksualne, raczej ojcowsko-przyjacielskie. Pierwszy, bliski przyjaciel Lagerfelda był jego ochroniarzem, sekretarzem, kierowcą, modelem, także twórcą kolekcji dla marki Karl Lagerfeld, popularnej na rynku niemieckim. Giabiconiemu, który traktował Karla jak ojca, wytatuował sobie datę spotkania z nim – 8 czerwca 2008 r. – miało przypaść 30 proc. sumy 200 mln euro.

Nicolas Puech zdecydował swoim spadkobiercą uczynić 51-letniego nikomu nieznanego Marokańczyka Jadila Butraka, który przez wiele lat pracował dla niego jako „złota rączka", ogrodnik i człowiek do wszystkiego

Tak tylko szacowano, bo liczne nieruchomości trudno było wycenić, bywało, że do jednej pretendowało kilka osób. Na wyjaśnienie spraw sukcesji czekał także fiskus, który swoje należności oceniał na 20 mln euro.

Cała sprawa ciągnęła się latami i nie wiadomo, czy już się zakończyła. W sierpniu 2023 r. tygodnik „Paris Match" sugerował, że jeszcze nie. „Spadek amatora odchudzania chudnie z miesiąca na miesiąc" – napisał.

Dziś tylko beneficjenci mogą coś konkretnego powiedzieć na ten temat. O ile zechcą, bo przecież dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4c7b261e1

FOT. JAP

SUZUKI S-CROSS 1.5

Nowy, hybrydowy S-Cross to auto dla osób, które nie potrzebują fajerwerków i codziennego zastrzyku sportowych emocji, ale szukają dobrze wyglądającego, praktycznego i rozsądnie wycenionego auta.

Odświeżona wersja S-Crossa z zewnątrz wygląda atrakcyjnie, zwłaszcza w czerwonym ubarwieniu. Jego stylistyka nie wyróżnia się jednak zbytnio na zatłoczonym rynku SUV-ów i crossoverów.

Pod maską znajduje 1,5-litrowa wolnossąca, czterocylindrowa jednostka DualJet Hybrid, współpracująca z silnikiem elektrycznym i sześciostopniową skrzynią biegów AGS. Łączna moc układu hybrydowego wynosi 116 KM. Ścigać się tym nie da rady, ale do codziennej jazdy po mieście taka moc jest już wystarczająca. Nawet do skrzyni AGS da się też przyzwyczaić...

Plusem jest prześwit, który wynosi 17,5 cm, co pozwala na sprawne pokonywanie podmiejskich dróg i wysokich krawężników. Zawieszenie jest bardzo przyjemnie zestrojone. Auto prowadzi się pewnie, a jednocześnie podróż jest komfortowa. Średnie spalanie podczas testu wynosiło 5,5 l/100 po mieście, 7 l/100 km na trasie ekspresowej i 8,7 l/100 km na autostradzie.

Kabina jest funkcjonalna. Wykończenie jest poprawne, ale nieco zbyt oszczędnie. Dominujące we wnętrzu twarde plastiki są za to poprawnie spasowane. Nic nie skrzypi i nie trzeszczy. Fotele ze skórzanymi wstawkami są wygodne i dobrze podtrzymują ciało na zakrętach. Centralne miejsce na desce rozdzielczej zajmuje dziewięciocalowy ekran dotykowy z przejrzystą grafiką. Bardzo ciekawym dodatkiem jest też system kamer 360 stopni, który jest standardowym elementem wyposażenia testowanej wersji Elegance.

Gadżeciarze mogą się czepiać, że w okolicach skrzyni biegów nie ma bezprzewodowej ładowarki, a port USB do ładowania smartfonów w całej kabinie jest tylko jeden (a do tego zamiast USB-C jest to port USB starego typu). Najważniejsze, że system infotainment jest gotowy do współpracy z Android Auto lub Apple CarPlay. Bardzo mnie też cieszy to, że klimatyzację nadal obsługuje się w tradycyjny sposób, czyli za pomocą zwykłych pokręteł. Szybko, wygodnie i bezpiecznie. Bezpieczeństwo zwiększa też wiele systemów wspierających kierowcę: monitorowanie martwych pól lusterek, ostrzeganie przed niezamierzoną zmianą pasa etc.

Minusem jest za to niewielki kuferek, bo sporo miejsca zabierają ogniwa i układ hybrydowy. Bagażnik o pojemności 293 l – z możliwością powiększenia po złożeniu tylnej kanapy do 665 l – to jednak trochę za mało jak na rodzinne auto.

Ceny nowego S-Crossa z silnikiem 1.4 l zaczyna się od 111,9 tys. zł. Za wersję z 1,5-litrową jednostką 1.5 DualJet Hybrid z napędem na przednią oś trzeba zapłacić co najmniej 128,9 tys. zł, a w testowanej wersji wyposażenia Elegance 138,9 tys. zł. Ta sama wersja silnikowa, ale z napędem na cztery łapy kosztuje odpowiednio 140,9 tys. zł oraz 155,9 tys. zł.

MOBILNY ROUTER 5G ZTE MU5120

Szybki transfer danych, niezły zasięg, wiele obsługiwanych pasm 5G, bezproblemowe przełączanie między sieciami 5G i LTE, pojemna bateria oraz banalnie prosta obsługa – to największe zalety przenośnego routera chińskiej firmy ZTE.

Wyjazd z rodziną przyzwyczajoną do streamingu gdzieś daleko od domu ze światłowodem? Delegacja służbowa w miejsce, gdzie nie ma szybkiego stałego łącza? Jeszcze kilka lat temu byłby to poważny problem. Coraz bardziej rozbudowana sieć 5G pozwala już jednak na szybkie surfowanie po Internecie nawet podczas podróży.

Testowany mobilny router 5G wielkością przypomina grubszy smartfon. Prostokątne urządzenie o wymiarach 159 x 73 x 18 mm i wadze 240 g bez problemu mieści się w plecaku czy torbie na laptopa. To, co robi największe wrażenie, to liczba obsługiwanych pasm 5G zarówno w trybie NSA, jak i SA – tłumacząc na ludzki: z tym urządzeniem i wykupionym pakietem danych w roamingu można podłączać się do sieci 5G w ponad 100 krajach świata.

Router może służyć jako towarzysz podróży biznesowej albo jako wielki hotspot. Model ZTE MU5120 jest bowiem w stanie obsłużyć jednocześnie do 64 urządzeń. Co więcej, nie trzeba każdemu klientowi/znajomemu dyktować hasła do sieci. Wystarczy bowiem włączyć NFC w smartfonie i zbliżyć go do modemu, aby w ciągu kilku sekund połączenie wi-fi nawiązało się automatycznie. Testowane urządzenie pracuje w dwóch pasmach: 2,4 GHz oraz 5 GHz. Wygodne jest też to, że do obsługi tego routera nie trzeba ściągać żadnej aplikacji.

Zaletą testowanego urządzenia jest również bateria o pojemności 10 000 mAh, która pozwala na wielogodzinne surfowanie po sieci. Ewentualnie zapas energii można też wykorzystać, posługując się routerem niczym powerbankiem.

Sercem urządzenia jest Qualcomm Snapdragon X62, który obsługuje sieci 5G, 4G i 3G i wspiera agregację pasm. Maksymalna prędkość pobierania danych w sieciach 5G wynosi 3,6 Gbps, a wysyłania 1,6 Gbps. Nie znalazłem takiego miejsca, w którym sieć byłaby aż tak dobra, ale kilkaset Mbps w downloadzie udało się podczas testu osiągnąć, co pozwala już na oglądanie filmów lub udział w telekonferencjach.

Wady? Brak portu LAN. Jeśli więc ktoś chciałby podłączyć przewodowo laptopa, drukarkę etc., to w tym przypadku nie da rady. Minusem jest też brak możliwości podłączenia zewnętrznych anten, co może być kłopotliwe zwłaszcza w miejscach o słabszej jakości sygnału. Szybsze mogłoby też być ładowanie routera (moc ładowarki to 27 W). Cena: 1279 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl f4c7b261e1

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Kuchnia międzywojnia

Polska kuchnia międzywojnia była prawdziwą skarbnicą pomysłów, smaków i… językowych odkryć. Potrawy takie jak auszpik, forszmak czy sztufada są dziś praktycznie nieznane, a ich nazwy wymagają dodatkowych objaśnień. Auszpik to danie pod galaretą, przygotowywane najczęściej na bazie gotowanych nóżek cielęcych, forszmak to zapiekanka z ziemniaków, często ze śledziami, a sztufada to nadziewana słoniną i długo duszona wołowina.

Jedzono raki, żaby (najsmaczniejsze ponoć pod koniec lata) i śledzie pocztowe (sprowadzane pocztą z Holandii). Wśród warzyw obecne były topinambur, skorzonera i salsefia. Najczęściej dania z warzyw podawano osobno albo jako „garnitur", czyli okładano nimi podane na talerzu mięso. W dwudziestoleciu zaczęto jeść warzywa na surowo, czego wcześniej nie robiono. Odkrycia naukowe o zawartości witamin przekazywane były gospodyniom w poradnikach oraz książkach kucharskich i zmieniły nieco menu międzywojennych Polaków.

Jedzono zupy na słodko. Nasza babcia Małgosia zaserwowała nam kiedyś zupę nic. Była zrobiona z jakichś owoców z mlekiem i miała kluseczki z ubitego na sztywno białka z cukrem. Przed wojną popularny był też garus – zupa z jabłek i gruszek zaciągnięta mlekiem i roztrzepanym jajkiem z ziemniakami. Podejrzewamy, że musiała smakować trochę jak deser. À propos – nie obawiano się wówczas blamażu. Był to bowiem rodzaj deseru w formie kremu.

Obecnie popularny jest w Polsce post dr Dąbrowskiej. Okazuje się, że nasi przodkowie także doceniali tę formę leczenia. W przedwojniu miejscem, do którego jeżdżono na posty i gimnastykę na świeżym powietrzu, był Kosów Huculski, gdzie praktykę prowadził dr Apolinary Tarnawski.

Ale o poście pisałyśmy już sporo, za chwilę Wielkanoc, więc proponujemy jedno z popularniejszych dań międzywojennej kuchni, czyli sztufadę. Przepisów na nią jest kilka, podawała go też Lucyna Ćwierczakiewiczowa i jej przepis tu cytujemy. Zasadniczo potrzebne są wołowina, i to ta tańsza jej część, oraz słonina. Można podać ją na świąteczny obiad lub śniadanie – smakuje bowiem wyśmienicie także na zimno.

Boeuf à la mode (sztufada) jest to kawał sześciofuntowego zrazowego mięsa, obrany z żył i kości, zbity, naszpikowany grubą słoniną wewnątrz, nasolony na godzinę, włożony w rondel na rozpalone do rumianości masło, a następnie obracany we wszystkie strony, aby się na wielkim ogniu zrumienił (naturalnie bez pokrywy). Gdy mięso rumiane, kładzie się kilka krajanych marchwi, cebuli, parę listków bobkowych, parę ziarnek angielskiego ziela, wlewa się szklankę wina białego lub lepiej czystej wódki, bo od wódki mięso kruszeje, i przykrywszy rondel, stawia się go na wolnym zupełnie ogniu i dusi pod pokrywą cztery do pięciu godzin, ale aby zaledwie znać było, że się dusi. Gdy potrzeba wydać, wyjąć, obsypać całą pieczeń mąką, włożyć w sos, aby zgęstniał, a następnie przecedzić przez rzadkie sito od razu na półmisek postawiony na blasze, żeby nie wystygło. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Dalajlama

To, co chcemy nazwać szczęściem, nie jest identyczne ani z pomyślnością, ani z wielką radością, ani z posiadaniem wielkich dóbr [...]. Szczęściem jest trwałe, pełne i uzasadnione zadowolenie z życia" – pisał Władysław Tatarkiewicz w książce „O szczęściu", jednej z moich ukochanych młodzieńczych lektur. Ktoś z rodziny podsunął ją 17-latce szukającej odpowiedzi na życiowe pytania. Nie znalazłam w niej jednak łatwych odpowiedzi; nie była pisana z intencją praktyczną, lecz teoretyczną.

Jednak ta lektura dała mi coś znacznie cenniejszego niż szybki zestaw porad. Było to odkrycie osoby autora, która wyłoniła się zza stron książki. Człowieka XIX-wiecznego w najlepszym sensie tego słowa. Z wielką wiedzą, skromnością, życzliwością dla ludzi i pogodą ducha. Człowieka, który nie znał słów „sukces" i „kariera", w znaczeniu takim, jakim znamy je dzisiaj. Nie był ascetą uciekającym od przyjemności życia, ale patrzył na nie z dystansem. Głupio się do tego przyznać, ale został wtedy moim idolem, którego nie znalazłam ani w osobie rockmana, ani aktora. I do dziś nim pozostaje.

Teraz wpadła mi w ręce niewielka książeczka Dalajlamy „Ponad religią" (wydawnictwo PIW, przekład: Adam Kozieł). „Jestem duchownym, ale uważam, że religia nie rozwiąże wszystkich problemów ludzkości" – mówi autor tak, jakby tłumaczył się z tytułu. Patrząc na współczesny świat, można zauważyć, że religia może nie tylko nie rozwiązać problemów, lecz także wielu przysporzyć...

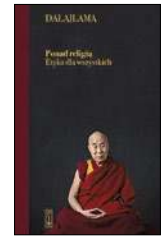

DALAJLAMA „PONAD RELIGIĄ" PIW 2024

Mamy tu garść mądrych refleksji o wszystkim, co dotyczy naszego życia, o podstawowych kategoriach moralnych i wartościach. O szczęściu, cierpieniu, współczuciu, emocjach, o sprawiedliwości, miłości. Napisane tak, że można by czytać dziecku, przy czym nie oznacza to języka infantylnego, ale zrozumiały i przejrzysty, jak przejrzysta jest myśl autora. Dalajlama daje proste przykłady z życia, unika nakazywania i straszenia. Przypomniałam sobie Tatarkiewicza – on też tak pisał. W języku lamy jest łagodność, on rozmawia z czytelnikiem, nie usiłując go przekonać.

Dzisiaj słowo „sukces" patrzy na nas z okładek wszystkich pism. Kiedyś na kursach dla dziennikarzy w Ameryce dowiedziałam się, że najlepiej umieścić je na okładce, gdyż jest jednym z dziesięciu, które najlepiej sprzedają gazetę. Profesor Tatarkiewicz i Dalajlama zdziwiliby się, gdyby to usłyszeli. Nie przyszłoby im do głowy, że sukces to willa z basenem i wakacje w Miami. ©℗

eprasa.pl f4c7b261e1

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zwycięstwo i klęska pod Warką

JACEK KOMUDA

Rok 1655 to fatalny czas dla Rzeczypospolitej, okres upadku morale i zdolności bojowych jej armii. Długotrwała wojna z Kozakami i Tatarami, ciągnąca się od siedmiu lat i nieprzynosząca zwycięstw, klęski hetmanów koronnych i rzeź pod Batohem, w której zginęła elita oficerów, najazd moskiewski, wreszcie potop szwedzki. Ta beznadziejna sytuacja podkopała morale wojska do tego stopnia, że masowo przechodziło na stronę Szwedów. Dopiero koniec roku przyniósł odmianę, kiedy skuteczna obrona Jasnej Góry dała nadzieję na zwycięstwo, a powrót Jana Kazimierza z wygnania podsycał opór i walkę podjazdową szlachty, chłopów i mieszczan przeciwko najeźdźcy. W marcu król Szwecji Karol X Gustaw usiłujący dopaść polskiego władcę został osaczony w widłach Wisły i Sanu pod Sandomierzem. Okrutni weterani wojny trzydziestoletniej nie dali rady rozbić wojsk Jana Kazimierza, ulegli trudnym warunkom panującym pod koniec zimy 1656 r. W tej sytuacji wydawało się, że wojna może zostać rozstrzygnięta bardzo szybko totalną klęską Szwedów, a może nawet wzięciem do niewoli ich króla. Stało się jednak inaczej...

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. OBA

Widząc beznadziejność sytuacji, Karol X Gustaw powiadomił 16 marca swego brata Jana Adolfa przebywającego w Warszawie, aby ten wysłał mu na odsiecz korpus szwedzki. Wkrótce ze stolicy wymaszerował potężny podjazd złożony z rajtarii i dragonii dowodzonej przez Fryderyka Badeńskiego liczący ok. 3 tys. żołnierzy. Po drodze miały dołączyć do niego inne oddziały – z Radomia. Marsz był wolny z powodu walk z chłopskimi kupami i szlacheckimi partiami, które atakowały Szwedów w Puszczy Kozienickiej. Margrabia z trudnością dotarł wreszcie do zamku Janowiec nad Wisłą, gdzie oczekiwały na niego nowe rozkazy od króla – okazało się, że teraz z kolei miał zawrócić do Warszawy, unikając walki i oszczędzając żołnierzy. Skąd taka nagła zmiana decyzji?

Otóż wymarsz Szwedów z Warszawy wcale nie miał na celu zorganizowania odsieczy dla głównej armii odciętej w widłach Wisły i Sanu. Na przeprowadzenie tego grupa Fryderyka Badeńskiego była za słaba. Natomiast Karol Gustaw miał nadzieję na odciągnięcie spod Sandomierza części polskich oddziałów, aby podjąć próbę samodzielnego przebicia się przez polskie i litewskie umocnienia. Plan ten się powiódł – na spotkanie rzekomej odsieczy wyruszyły pułki Stefana Czarnieckiego i Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, natomiast w obozach pod Sandomierzem pozostały tylko oddziały pospolitego ruszenia i wojska litewskie.

Margrabia miał małe szanse na zwycięstwo albo w ogóle wyjście z matni. Popełnił w ogromny błąd, czekając jeszcze na posiłki idące z Radomia. Opóźnienie to pozwoliło poruszającej się komunikiem jeździe polskiej na dopadnięcie przeciwnika i osaczenie go w okolicach Warki. Najpierw jazda Czarnieckiego przebyła wpław rzekę Pilicę powyżej osady Winiary i uderzyła na przeciwnika w miasteczku. W tym czasie kolejne grupy jazdy okrążały kolumnę maszerujących Szwedów, którzy minęli wieś Piaseczno. Kiedy Warka została opanowana i naprawiono most, przez który przeprawiła się pozostała jazda polska, los najeźdźców został przypieczętowany. Najpierw Lubomirski rozbił idący w straży tylnej oddział płk. Rittera, potem Fryderyk, widząc, że nie ujdzie, zawrócił swoje kompanie i przyjął bitwę pod lasem niedaleko wsi Piaseczno, ustawiając rajtarów w polu, a spieszonych dragonów w zasadzce. Na początku nie powiodły się ataki pułku Lubomirskiego, powstrzymane ogniem, jednak kiedy nadciągnął Stefan Czarniecki z jazdą, Szwedzi ulegli szarży chorągwi husarskich. Oddział margrabiego badeńskiego został rozbity, a niedobitków wyłapywali chłopi, podczas gdy jazda polska ścigała ostatnie zorganizowane oddziałki uciekające na Chynów i Czersk. Fryderyk zdołał zbiec, dotarł do zamku z garścią dragonów, jednak pozostała część jego wojska legła na pobojowisku.

Zwycięstwo pod Warką przełamało złą passę armii koronnej, jednak było zarazem klęską. W czasie, kiedy oddziały Lubomirskiego i Czarnieckiego walczyły ze Szwedami nad Pilicą, król Karol X Gustaw przebił się pod Sandomierzem przez osłabione oddziały litewskie i wymknął z matni. Pisałem o tym szerzej w jednym z poprzednich felietonów. Dziś miejsce bitwy jest dostępne, choć nie ma już lasu, przy którym odbywało się główne starcie. Potyczki rozegrały się w Winiarach nad Pilicą, będących dziś częścią Warki i w samym miasteczku. Główna bitwa zaś odbyła się nieco na północ od pobliskiego Piaseczna i w otaczających je lasach, mniej więcej na zachód od drogi 731. ©℗

eprasa.pl f4c7b261e1

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Saperka myli się tylko raz?

Kanada przekazuje Ukrainie 4 mln dol. na akcję rozminowywania… uwzględniającą płeć. Tak, ja też jak państwo myślałem, że to fejk albo pułapka na tropicieli genderyzmu, ale sprawdziłem. Tak, to prawda. Stoi jak byk w „National Post". Człowiek pomyśli, że to wariactwo, ale nie należy się rozleniwiać i wypada podążyć za logiką tych wiadomości.

Ottawa da kasę na rozminowanie, ale ta robota, jak każda wedle ideologii (przepraszam: ludzi) gender, nie może się odbyć bez inkluzywności. Tak stoi w genderowych regułach i nawet przecieka to do naszego prawa pracy w postaci (na razie tylko) szkoleń czy dętych strategii w zakresie gender equality oraz chociażby przy startowaniu do unijnych przetargów, gdy trzeba w zgłoszeniu oferty uwzględnić czynniki genderowe, choćby miało to dotyczyć wybudowania mostu. No więc jak wszędzie – to wszędzie. A więc i przy rozminowywaniu też.

Ukraińskie prawo zrobiło już miejsce na takie cuda. Do 2017 r. zabraniało kobietom prac przy rozminowywaniu, teraz stanowią one do 30 proc. wszystkich saperów w akcji zainicjowanej przez projekt HALO, o którym tu mowa. A więc można powiedzieć, że równościowe idee feminizmu i genderyzmu osiągają swoje cele, nie wiadomo tylko, czy kobiety się z tego cieszą. W uzasadnieniu akcji dochodzi do argumentów, że panie sobie po prostu… dorobią, co ma im dać odpowiednią siłę i niezależność, czego byłyby pozbawione bez tego zajęcia. Na dowód tych błogosławieństw w kampanii promującej projekt powołano się na słowa saperki menedżerki z Zimbabwe, która dziękuje aktywistom za możliwość zarobienia i wysłania dzieci do szkół dzięki programowi zrównoważonego rozminowywania.

Takie podejście samo siebie doprowadza do absurdu, ale samiście tego chcieli. Nie ma wyjątków od równości, a to oznacza, że zrobienie rekrutacji do rozbiórek starych domów, pracy na przodku czy w kamieniołomach będzie musiało uwzględniać parytety – nawet nie chcę już mówić o możliwych permutacjach płci, które przecież zakłada gender. Gdzie więc będą „zabezpieczone" równościowe prawa niebinarnych hutników, zbrojarzy czy szambonurków?

No i w końcu: Co z parytetami czołgistko, ogniomistrzyń czy snajperix? Ktoś się tym zajmuje? Co na to siostry? Gdzie te błyskawice? Ma przecież być równo. Czy będzie też taki przymus jak w ordynacji wyborczej, że ma być ileś tam kobiet na jedynkach, co po wojskowemu będzie się przekładać na parytety kobiece w pierwszej linii szarżującej tyralierą równości na okopy jak najbardziej zmaskulizowanego wroga? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Kosy na sztorc!

Idąc w pochodzie protestujących rolników do centrum Garwolina, usłyszałem m.in. wyrazy żalu, że tak niewielu mieszkańców miast włącza się w protesty. – Wszyscy powinni być na tych protestach! Proces gotowania żaby trwa i jeśli nie wyskoczymy z tego wrzątku, to zginiemy! Idą po nas wszystkich, ale my pierwsi stanęliśmy im na drodze – mówi jedna z manifestantek.

20 marca na proteście rolników pod Garwolinem przeżyłem kilka zaskoczeń. Po pierwsze, podziw dla trafności diagnozy, którą potrafią w kilku zdaniach wyrazić protestujący. Kwestia produkcji rolnej ze Wschodu zalewającej rynek, o dziwo, nie jest pierwszoplanowa. Obok katalogu utrudnień wynikających z unijnych regulacji, z którymi zmagają się w swoich gospodarstwach, mówią przede wszystkim o szaleństwie polityki klimatycznej, bo Zielony Ład to tylko jeden z elementów. Nie ceny skupu, dopłaty czy rekompensaty są ich największą bolączką.

Prości, ciężko pracujący ludzie są realistami. Bliskość natury, włączenie w cykl regulowany porami roku, konieczność planowania w dłuższej perspektywie i rachunek ekonomiczny w naturalny sposób kształtują u nich zdolność widzenia świata takim, jakim jest. Są mniej podatni na propagandę. Choć najbliższa im jest opłacalność własnej produkcji, to moi rozmówcy nie tylko mają zdolność dostrzegania poszczególnych drzew, lecz także widzą cały las. Dlatego potrafią jednym tchem krytykować motywowane ideologicznie nakazy ugorowania ziemi, likwidację opalania drewnem czy węglem, zakaz rejestracji samochodów spalinowych, dyrektywę budynkową oraz zmiany traktatów UE rozszerzające kompetencje Brukseli na edukację, zdrowie czy obronę granic.

Drugim zaskoczeniem jest wiek protestujących. Wśród kilkuset właścicieli olbrzymich ciągników pozostawionych na drodze S17, którzy w zwartej kolumnie idą do miasta, dominują ludzie młodzi. To już nowe pokolenie wsi, które dorastało po przystąpieniu Polski do UE. Dziś przejęli gospodarstwa, zmodernizowali produkcję, spłacają kredyty i biorą odpowiedzialność nie tylko za własne rodziny i firmy, lecz także za samowystarczalność żywnościową kraju.

Trzecim zaskoczeniem są autentycznie oddolny charakter protestu, ogromna determinacja i samoorganizacja. Kilkuset rolników potrafiło się skrzyknąć, połączyć w sieć z innymi regionami, zgłosić protesty (a było ich tego dnia w Polsce ponad 400!), zadbać o nagłośnienie, dopilnować godnego przebiegu całej demonstracji. Tym, czego brakuje, a co stało się już w Holandii, jest kwestia reprezentacji politycznej. Czy im się uda? Na razie jeszcze nie budują struktur, choć wyraźni liderzy już się dali poznać. Panowie – powodzenia! ©℗

eprasa.pl f4c7b261e1

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Netflix w opałach...

Minister Bodnar zdecydował o wycofaniu wniosku o uchylenie immunitetu prezesowi NIK Marianowi Banasiowi. Stop. Z nagranej rozmowy między Banasiem a Chmajem wynika, że prezes NIK przed wyborami miał robić wiele, aby zaszkodzić PiS. Stop. Nie wiem, czemu to napisałem, bo jedno z drugim nie ma nic wspólnego, a wniosek nie był właściwie uzasadniony. Stop.

Netflix może mieć w Polsce kłopoty, odkąd ruszyła komisja do spraw Pegasusa, no co tam są za asy, co za asy. Stop. Przewodnicząca komisji, nadkomisarz Magdalena Sroka, dzielnie walczyła przez kilka godzin z językiem polskim ze skutkiem zmiennym, ale... Stop. Efektem jej potyczek jest wzbogacenie polszczyzny m.in. o następujące frazy: „Bardzo proszę państwa dziennikarzy o zabranie miejsc", „Pan przewodniczący Trela zadaje odpowiedź" czy wisienka na torcie: „Proszę dalej pozwolić mi kontynuować". Stop. Podobno z powodu niekonwencjonalnego prowadzenia obrad koalicja demokratyczna chce ją wycofać z komisji, ale na to zgody opinii publicznej nie ma, bo Magdalena sprawia, że nie można się oderwać od ekranu. Stop. Z komisji niesłusznie wyrzucono posła Jacka Ozdobę, który ubogacał ją pytaniami do Witolda Zembaczyńskiego, byłego właściciela naleśnikarni, typu: „Te naleśniki były z serem czy szynką?". Stop. Odpowiedzi nie poznaliśmy.

Dwadzieścia tysięcy więźniów opuści więzienia – poinformowała wiceminister sprawiedliwości Maria Ejchard, nazywana przez złośliwców Niedubois, ponieważ więzienia są przeludnione. Stop. W moim mniemaniu to jakieś ultrakuriozalne uzasadnienie. Wypuszczać przestępców, bo więzienia są przeludnione? Stop. Ponieważ w Polsce jest ok. 78 tys. więźniów, oznacza to, że co czwarty znajdzie się przedwcześnie na wolności. Pewnie przestępczość gwałtownie spadnie. Stop.

Ludzie starający się o pracę od dwóch tygodni wpisują z dumą do CV: „Nie studiowałem/studiowałam na Collegium Humanum". Stop. To, szczególnie w Warszawie, robi wrażenie. Stop. Skoro już jesteśmy przy tej uczelni, to zauważyć należy proces systematycznego usuwania z Internetu różnych filmików z uroczystości CH. Stop. Jacy tam bywali goście, z najwyższej półki politycy, biznesmeni, artyści i purpuraci! Stop. Śpieszmy się lampić na filmy, tak szybko są kanselowane...

Pracownicy neo-TVP mają kłopoty w bankach – doniosły Wirtualne Media. Stop. Banki, udzielając kredytów, nie udzielają im kredytów, bo firma, w której pracują, jest przecież w stanie likwidacji, więc nie rokuje. Stop. W sumie to chyba nie jest największy problem, bo media systematycznie donoszą, że pracownicy neo-TVP uprzejmie upraszają szefów o zapłatę pensji. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Jakoś to będzie

Zaskakujący raport przedstawiła w marcu Najwyższa Izba Kontroli. Dotyczy on stanu przygotowania naszego państwa do ewentualnego konfliktu zbrojnego. Powszechnie wiadomo, że współczesna wojna toczona jest nie tylko przez siły zbrojne, lecz także przez całe walczące państwo i wszystkich jego mieszkańców. Tylko mobilizacja różnorakich zasobów kraju, poparta zdeterminowanym wysiłkiem zorganizowanych obywateli, dawać może jakiekolwiek szanse na sukces. Mówimy tu o takich zadaniach jak: podtrzymanie produkcji przemysłowej niezbędnej do funkcjonowania gospodarki, zabezpieczenie transportu, dystrybucji żywności, masowej opieki medycznej dla rannych żołnierzy i cywilów. Jednym z czynników pozwalających na podtrzymanie siły moralnej walczącego narodu jest zapewnienie cywilom względnego bezpieczeństwa, zaopatrzenie w niezbędne do przeżycia produkty i zorganizowanie obrony cywilnej.

Wsłuchajmy się w raport Najwyższej Izby Kontroli: „Dwa lata po wybuchu wojny na Ukrainie w Polsce na miejsce w schronach i ukryciach może liczyć niecałe 4 proc. mieszkańców, obrona cywila nie istnieje, a obywatele nie wiedzą, gdzie w razie zagrożeń mogą szukać bezpiecznego miejsca schronienia". Wiadomość, że miejsca w schronach znaleźć się mogą dla co 25. obywatela (w dużych miastach proporcje te mogą być jeszcze gorsze), wywołać powinna wstrząs. Tymczasem wiadomości o raporcie NIK nie spowodowały w mediach żadnej pogłębionej debaty. Poświęcone mu notki przemknęły przez media głównego nurtu, szybko tracąc uwagę czytelników. Nie pytano o odpowiedzialnych za katastrofalną sytuację, która narazić może na śmierć i kalectwo tysiące cywilnych mieszkańców Polski. Temat nie skłonił do refleksji ani wszechwiedzących telewizyjnych ekspertów, ani „internetowych husarzy".

Podobnie obojętni okazują się Polacy na informacje, że nasze siły zbrojne zamawiały dotychczas w rodzimym przemyśle po kilka tysięcy pocisków artyleryjskich kalibru 155 mm rocznie. Roczna produkcja amunicji artyleryjskiej w Polsce wystarczyłaby armii ukraińskiej na cały dzień walki, rosyjskiej na kilka godzin, gdyż zużywa jej ona kilkakrotnie więcej. Dane te, chociaż dostępne w mediach, funkcjonują w swoistej „rzeczywistości równoległej" i nie docierają do świadomości polskiej opinii publicznej. Gdyby płynące z nich zagrożenia miały się zmaterializować, to właśnie społeczeństwo zapłaciłoby za ten stan rzeczy najwyższą cenę. Winić moglibyśmy wtedy jedynie siebie, gdyż temat naszej gotowości do wojny wydawał się wszystkim błahy i niegodny uwagi. ©℗

eprasa.pl f4c7b261e1

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Malwy w Kopenhadze

Jedną z najpopularniejszych w latach stalinowskich tzw. pieśni musowych, śpiewanych na pochodach, akademiach, nadawanych nieustająco w radiu, były „Miliony rąk": „Tysiące rąk, miliony rąk / A serce bije jedno / Wzniesiemy dom / Ludową Rzecz / Słoneczną, niepodległą".

Autorem słów był młody „pryszczaty" Krzysztof Gruszczyński, który obok Wiktora Woroszylskiego należał do najbardziej gorliwych socrealistów. Napisał też „Piosenkę pierwszomajową"; wiele piosenek wojskowych, zwykle o polsko-sowieckiej drużbie, oraz polskie słowa do Hymnu Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej – „Naprzód, młodzieży świata", a także „Swiaszczennoj wojny", ukochanej przez Stalina, najsłynniejszej pieśni sowieckiej drugiej wojny światowej do muzyki Aleksandrowa.

Produkował również wiersze agitki, m.in. „Stalin, inżynier naszych marzeń", „Lenino", drukowane w „Trybunie Ludu", a także socrealistyczne dramaty, wystawiane obowiązkowo przez wiele scen, m.in. „Dobry człowiek", wyróżniony Nagrodą Państwową (o towarzyszu Żdanowie, członku speckomisji do walk z nadużyciami i szkodnictwem) oraz „Pociąg do Marsylii" (o Francuzce, która przykuła się do torów, aby uniemożliwić transport broni na wojnę w Wietnamie).

„Był komunistycznym literatem i gówniarzem z serii urzędowo zatwierdzonych grafomanów. Zarabiał co najmniej 5 tys. miesięcznie za idiotyczne paszkwile i nieprzytomne panegiryki" – pokpiwał z „Gruszcza" w swoim „Dzienniku" Tyrmand. Prywatnie Gruszczyński należał natomiast do najinteligentniejszych, oczytanych i towarzyskich biesiadników kawiarni Związku Literatów, gdzie mieszkał na drugim piętrze razem z żoną i synkiem. Po październiku 1956 r. zaczął pisać filmowe scenariusze. Najbardziej udany napisał do filmu Stanisława Barei „Małżeństwo z rozsądku" – banalnego, ale pełnego wdzięku, z gwiazdorską obsadą w postaci m.in. Elżbiety Czyżewskiej, Daniela Olbrychskiego i Bohdana Łazuki.

Żona Gruszczyńskiego – Zosia, lekarka – miała niewielką, ale stałą pensję, on natomiast dochody nieregularne, ale niemałe, z tantiem za pieśni i piosenki, sztuki teatralne, scenariusze. Mimo to latami nie płacił składek członkowskich w Związku Literatów, symbolicznego czynszu za związkowe mieszkanie, pobyty w Oborach, nie uiszczał opłat za obiady na kredyt w związkowej stołówce. „Sprawa zadłużenia kolegi Gruszczyńskiego" była częstym tematem obrad Zarządu Głównego, który wyznaczał mu kolejne terminy spłat. Nic sobie jednak z tego nie robił, czuł się bezkarny, wiedząc, że noszonym na rękach „pryszczatym" pupilom Putramenta wszystko uchodzi płazem. Dopiero gdy w 1958 r. nowy, odwilżowy Zarząd Antoniego Słonimskiego skreślił go z listy członków ZLP, spłacił dług i wówczas przyjęto go z powrotem.

„Z powodu żydowskiego pochodzenia w marcu 1968 r. zmuszono go do wyjazdu z Polski" – powtarzają marcową kliszę życiorysy Gruszczyńskiego, choć zdziwił tym wszystkich i zaskoczył, bo „Małżeństwo z rozsądku" grały kina w całej Polsce, nie wyrzucono go z partii, a żony ze szpitala, syn dostał się na uniwersytet. Znienawidził jednak nagle reżim i „Gomułkowo" – jak nazywał teraz Polskę – choć ochoczo je przecież współtworzył, i to z pieśnią na ustach, co mu przypominano.

Jednak tak naprawdę wyjazdu chciała przede wszystkim jego żona. Utrzymywała dom i syna, mąż bowiem tracił wszystko na imprezy w kawiarni Związku, kończące się nad ranem w ich mieszkaniu, gdzie ciągle ktoś wpadał i nigdy nie mieli spokoju. On zresztą zapalił się również do możliwości wyrwania się z szarego „Gomułkowa" na atrakcyjny Zachód. Osiedli więc w gościnnej dla marcowych emigrantów Danii. Dostali szeregowy domek na przedmieściach Kopenhagi. Zosia dostała świetnie płatną pracę w szpitalu, syn studiował reżyserię, „Gruszcz" natomiast był znów na utrzymaniu swojej żony. Przetłumaczył jedynie z duńskiego kilka drobnych tekstów dla paryskiej „Kultury". Czekano jednak na coś większego, na dzieło, które miał napisać w wolnym, bogatym kraju, pozbawiony materialnych trosk, ale przez 25 spędzonych tam lat nie napisał nic, zamilkł. Sparaliżował go niewidzialny blok, z powodu którego bardzo cierpiał, i choć nadrabiał miną, to żałował decyzji o wyjeździe. Wszyscy zresztą do Polski tęsknili – Zosia hodowała w ogródku malwy, Olek przyjeżdżał często do Polski.

Po 1989 r. „Gruszcz" postanowił wrócić do kraju, ale nic już z tego nie wyszło. W 1992 r., gdy miał zaledwie 66 lat, skosił go rak.

Maciej Słomczyński często jeździł razem ze swoją żoną na Zachód, odwiedzał Gruszczyńskiego i nie chciał, aby zostały po nim tylko „Miliony rąk", obecne w każdym filmie o latach stalinowskich. Po jego śmierci wydał własnym kosztem garstkę napisanych przez niego w Danii gorzkich wierszy o tym, że „do bliskich daleko, do obcych blisko". Szczuplutki tomik, który zatytułował „Exodus", rozdał jego przyjaciołom i znajomym, ale już o nim zapomnieli. Ukazała się tylko jedna jedyna recenzja. ©℗

eprasa.pl f4c7b261e1

WYWŁASZCZENIE

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Przed drugą wojną światową obaj moi dziadkowie zostali bogatymi ludźmi według kapitalistycznego modelu „z pucybuta milionerem". A po wojnie nastał komunizm i każdy z nich został z milionera pucybutem.

Przedwojenny kapitalizm to była dla nich szansa. Był kryzys, ciężko, ogromna liczba ludzi w głębokiej biedzie, a bieda to jest doskonała okazja, by zostać bogaczem. Z tym że musi to być bieda w prawdziwym kapitalizmie bez zasiłków. Bieda w kapitalizmie dopinguje i głód dopinguje, bo kapitalizm jednocześnie daje perspektywę rozwoju. Ta perspektywa nie musi być w zasięgu ręki; nawet lepiej, gdy nie jest, bo gdy jest zbyt łatwo, to ludzi rozleniwia i nie chce się chcieć.

Trudności rodzą ludzi twardych, odpornych, dzielnych, ambitnych. Łatwizna robi z ludzi miękkie parówki, którym wystarcza minimum socjalne. To mamy teraz. Cała masa ludzi w cywilizacji Zachodu przestała się ścigać i wystarcza im byle co. Byle było co do gara włożyć. Są transmisje z mundialu, piwko i karkówka, jest git.

Dziadek numer jeden mieszkał na wsi i nie miał nic. Zakochał się w mojej babci. Poszedł prosić o rękę i dostał kosza od przyszłego teścia:

– Chłopcze, nie masz nic poza gołą dupą, więc ci mojej córki nie dam. Bo jak ją utrzymasz?

Utrudnienie. Dziewczyna zgodziła się trochę poczekać (tyle zrobić mogła za przyzwoleniem swego ojca). Dziadek rzucił wszystko, pojechał do Francji, najął się do roboty w dużym gospodarstwie, nauczył francuskiego, a także hodowli koni pociągowych (czasy przed traktorem), nowoczesnej uprawy ziemi i wrócił po kilku latach z workiem złotych monet. Postawił ten worek na stole przyszłego teścia i mówi mu tak:

– Dupa była goła, ale mam też głowę i ręce.

Założył porządne gospodarstwo, kupił mocne konie i maszyny, wziął ślub. Był bogaty, bo kapitalizm działał.

Okupacja niemiecka go nie zniszczyła, bo za okupacji nadal działał kapitalizm, dopiero po wojnie przyszła komuna i go wywłaszczyła z majątku, z dorobku życia. Dupa znowu była goła, ale w przeciwieństwie do systemu kapitalistycznego za komuny nie mogłeś z tym nic zrobić.

Komunizm wywłaszcza, a gdy ludzie nie mają majątku, nie ma na czym zbić majątku. Gdy nikt nic nie ma, nie ma jak się dorobić, nie ma z kim robić interesów – żyjesz na niskim poziomie dopuszczonym przez dyktaturę i – jak to się mówiło za komuny – „wyżej dupy nie podskoczysz", a ta jest goła. To pieniądz rodzi pieniądz, a gdy się ludziom odbierze majątki, to brakuje podstawowego narzędzia pomnażania pieniędzy.

Te czasy właśnie wróciły. Trwa wielkie wywłaszczanie milionów obywateli UE. Unijni komisarze wywłaszczają inaczej niż komisarze ludowi za komuny – wtedy to była rewolucja proletariacka, dekret wywłaszczeniowy hurtowo i szybko po sprawie. Teraz są dyrektywy, które wywłaszczają po kawałku. Był nowy ład czerwony, obecnie jest zielony.

***

UE planuje przepisy drogowe – kierowcy powyżej 60. roku życia mają przechodzić badania, powtarzane co dwa lata. Nie zabiorą ci auta wprost, ale sam sprzedasz, gdy nie przejdziesz badań. Wywłaszczenie z samochodu.

Konfiskata aut za niektóre przestępstwa drogowe już jest. A do tego różne ograniczenia wjazdu do miast, których wprowadzają coraz więcej: masz diesla i nie wpuszczają, zbyt stary model auta, który się komisarzom nie podoba, nie takie emisje… Część osób mieszkających w miastach dochodzi do wniosku, że auto im po nic, skoro nie wolno nim jeździć, i sprzedaje. Wywłaszczenie.

Celem jest to, by ludzie nie mieli własnych samochodów i byli zmuszeni do korzystania ze środków transportu publicznego, które kontroluje władza.

Za tym idzie ślad węglowy. Kto go przekroczy, nie kupi biletu na pociąg, bo już swoje dozwolone limity podróżowania wyczerpał. Gdyby miał własne auto, toby może dokądś pojechał, a tak będzie musiał siedzieć w domu.

***

Równolegle odbywa się odbieranie ludziom pieniędzy. Na rachunku możesz sobie mieć stos forsy. Ale co z tego, gdy nie możesz za nią kupować? Tak było za komuny: auta były na przydział, mieszkania były na przydział i mogłeś mieć forsę, ale nie dało się za nią kupić.

Santander dołączył do banków, które wprowadziły „informację" o indywidualnym śladzie węglowym klientów. Z kolei szwedzki fintech wprowadził kartę, która odrzuci transakcję, jeżeli przekroczysz limit śladu węglowego. Aha, czyli obserwują, co kupujesz, i jeżeli masz nakupowane za dużo towarów zakazanych, to więcej nie kupisz pomimo forsy na rachunku. Wywłaszczenie z własnych pieniędzy. Do tego limity transakcji gotówkowych i limit wypłat z bankomatu, abyś przypadkiem nie ominął systemu. A gdy całkowicie zlikwidują gotówkę, to mają nas.

***

UE wprowadza za trzy lata zakaz ogrzewania domów piecami gazowymi i węglowymi. Jeszcze rok temu do pieców gazowych dopłacaliśmy, teraz je wyrzucamy. Zmuszali ludzi do wymiany pieca na gazowy, bo gaz był paliwem czystym. Elektrociepłownie w Warszawie przechodziły z węgla na gaz. W 2030 r. nie będzie można instalować pieców gazowych. Aby zastosować się do nowej dyrektywy, właściciele domów muszą wydać tysiące złotych.

Dyrektywa budynkowa. Dostaniesz przymusowy „paszport budynku" z oceną emisyjności i albo dostosujesz budynek do unijnej ideologii klimatycznej (masz na to pięć lat), albo zastosujemy kary, które będą (cytuję artykuł 31): skuteczne, proporcjonalne i odstraszające. Zbadają emisyjność i jeżeli cię nie stać na remont, to przejmą twój dom i sami go dostosują. Tu nie chodzi o emisje, tutaj chodzi o eksmisje.

KTOŚ JESZCZE UWAŻA, ŻE POLEXIT TO ZŁY POMYSŁ? ©℗

eprasa.pl f4c7b261e1

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

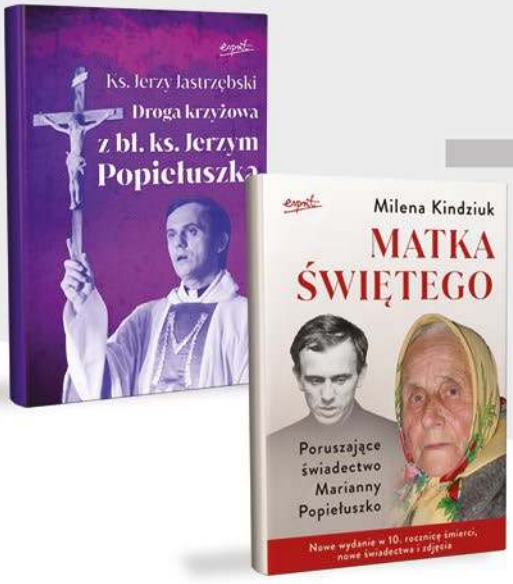

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

KS. JERZY JASTRZĘBSKI: „DROGA KRZYŻOWA Z BŁ. KS. JERZYM POPIEŁUSZKĄ", MILENA KINDZIUK: „MATKA ŚWIĘTEGO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~532 ZŁ~~

236,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 296 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f4c7b261e1

NARODOWY BANK POLSKI

100. ROCZNICA UTWORZENIA BANKU POLSKIEGO SA

Srebrna moneta kolekcjonerska NBP

W tym roku obchodzimy 100. rocznicę utworzenia Banku Polskiego SA – banku emisyjnego II Rzeczypospolitej, który wprowadził do obiegu nową polską walutę – złotego. Z tej okazji Narodowy Bank Polski emituje srebrną monetę kolekcjonerską o nominale 10 zł – *100. rocznica utworzenia Banku Polskiego SA*.

100 lat

STULECIE UTWORZENIA BANKU POLSKIEGO SA I WPROWADZENIA ZŁOTEGO DO OBIEGU

Emisja wartości kolekcjonerskich stanowi okazję do upamiętniania ważnych historycznych rocznic i postaci oraz do rozwijania zainteresowań polską kulturą, nauką i tradycją.

Moneta kolekcjonerska do nabycia od 11 kwietnia br. w Oddziałach Okręgowych NBP oraz w sklepie internetowym: KOLEKCJONER.NBP.PL

eprasa.pl f4c7b261e1